

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



- Jak jara klasa średnia
- Gniazdownicy, Zetki mieszkają z rodzicami
- Iwan Krastew: nowe wojny są dziwne



**WYSOKIE
OBCASY**
Smutek i lęk,
które
zamrażają

FOT. ANNA EFETOVA/GETTY IMAGES



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Lukasz Simlat

Nie otworzyłem listu od ojca

FOT. MACIEK JAZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Łowcy
krokodyli**
Jak z zabójcy stać
się wybawcą



**Simon Sebag
Montefiore**
Świat zawsze
napędzały wojny

**Byłam na I Kongresie
Mężczyzn**
Jak go opisać, żeby nie
narazić się wszystkim? ► 34

Agnieszka
Kublik

Niby nie ma głupich pytań, a jednak...

Mariusz Kamiński przedstawił się sejmowej komisji śledczej do sprawy wyborów kopertowych jako poseł i więzień polityczny. Dwa razy nieprawda.

Do awantury doszło, kiedy Dariusz Joński, szef komisji, zapytał Kamińskiego o spotkanie w willi premiera Mateusza Morawieckiego przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. O tej rozmowie ciekawie opowiedział komisji Michał Wypij z partii Jarosława Gowina. Gowin był wówczas przeciwny prezydenckim wyborom kopertowym, z automatu stał się więc wrogiem Jarosława Kaczyńskiego.

Gowinowcy mówili o technicznych trudnościach: m.in. braku chętnych do komisji, kłopotach z przekazywaniem spisów wyborczych. W pewnym momencie szef MSWiA wpadł w furję, mówił – relacjonował Wypij – że za nasze działania powinniśmy trafić do więzienia, zostać zniszczeni, że to, co robimy, to działalność antypaństwowa.

Wypij był taką reakcją ministra zaskoczony, bo rozmowa nie była polityczna, ale czysto techniczna. – Pamiętam reakcję Kaczyńskiego, który próbował gestem ręki uspokajać Kamińskiego – zeznał.

We wtorek o te zeznania Joński chciał przepytąć Kamińskiego. Kamiński starał się Wypija zdyskredytować, rzucił, że to „po-

stać anonimowa” i że Wypij „złożył takie zeznania, gdy byłem przez was więziony politycznie, co było podłością”.

Chyba jednak, nie taka „anonimowa” skoro został zaproszony na spotkanie z samym Kaczyńskim.

No i fakt, że Wypij zeznawał

przed komisją, kiedy Kamiński siedział w więzieniu, też wiarygodności słowom Wypija nie odbiera.

Joński pytał Kamińskiego: „Dlaczego podczas spotkania w willi Morawieckiego wpadł pan w furję? Chciałbym pana wprost zapytać, czy był pan pod wpływem środków bądź substancji odurzających – krótko mówiąc, czy był pan trzeźwy? Pytam dlatego, że trudno sobie wyobrazić, że koordynator służb specjalnych mógł wpadać w furję. Pytam pana wprost, czy był pan wtedy trzeźwy?”.

– Odpowiem, jest pan świnią – rzucił były minister.

Ostatecznie nie zaprzeczył, że był nietrzeźwy. Ale też Wypij przed komisją niczego takiego nie sugerował. Jeśli Joński chciał udowodnić, że Kamiński na spotkaniu w willi premiera był nietrzeźwy, to mu się nie udało. Pokazał, że Kamiński potrafi się zde nerwować. Na trzeźwo. Niektórzy podejrzewają, że Kamińskiemu puściły nerwy na pokaz – chciał stać się ofiarą obecnej władzy. Taką hipotezę może potwierdzać zachowanie Kamińskiego – po „świni” opuścił salę posiedzeń komisji. Ale potem wrócił.

Jeżeli Joński nie dysponuje żadnymi dowodami na nietrzeźwość Kamińskiego podczas tamtej rozmowy, to takie pytanie jest insynuacyjne. A nie dysponuje, skoro ich nie pokazał.

W sumie, to po raz kolejny się dowiedzieliśmy, że Kamiński kłamie bez mrugnienia okiem, a komisja śledcza to grupa nieporadnych śledczych z tendencją do głupich pytań. ●

Andrzej rysuje



Majówka w Paryżu Tylko Mona Lisa nie tańczy



Przez cały maj Luwr będzie salą gimnastyczną, co prawda tylko rankami, przed otwarciem. Francuski choreograf Mehdi Kerkouche opracował cykl treningów tanecznych i sportowych. Wśród arcydzieł.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

56HT3SG

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 27-28.04.2024 r.

Kocham mojego ojca alkoholika



Co to znaczy być dorosłym dzieckiem alkoholika? Gościem Agnieszki Jucewicz w podcaście „Moja Odwaga” jest Konrad Aksinowicz, autor filmu „Powrót do tamtych dni”.
Stuchaj ► Wyborcza.pl/podcast

FOT. MICHAŁ RYŃIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nowy film Vegi Życie i śmierć cyfrowego Putina

Misją mojej produkcji jest przekazanie wiadom >>instrukcji obsługi<< Putina, aby zmniejszyć strach i niepewność dominujące w dzisiejszym świecie” – deklaruje w rozmowie z PAP reżyser Patryk Vega. Rosyjskiego dyktatora, odpowiedzialnego za szereg zbrodni wojennych, nazywa w niej „jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci współczesnej polityki”.

Vega — niewątpliwie jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci polskiej kinematografii — o planach nakręcenia biografii Putina mówił już w 2022 r. Na konferencji prasowej w PAP w lutym dodawał, że akcja filmu obejmuje 60 lat z życia dyktatora: od dzieciństwa



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w Gruzji, przez działalność w KGB, po objęcie władzy w Rosji. – Pokazuję też w filmie śmierć Putina, gdyż uważam, że jest to obraz, którego podświadomie ląkanie wolny świat — diagnozował.

Vega deklaruje, że postanowił nie obsadzić w roli Putina ani profesjonalnego aktora, ani naturšczyka, że jego ekipa wygenerowała rosyjskiego prezydenta cyfrowo. Stworzenie odpowiedniej technologii miało zająć dwa lata. Choć Vega chwali się „pionierską technologią napędzaną AI, która pozwoliła stwo-

żyć filmową postać bez posługiwania się modelem prawdziwego człowieka”, w obsadzie filmu na pierwszym miejscu wymieniony jest Sławomir Sobala. Tak nazywa się wrocławski przedsiębiorca zajmujący się wynajmem samochodów, który dwa- naście lat temu zaczął występować jako sobowtór Putina, głównie w reklamach.

Premiera filmu zapowiedziana jest na 26 września. Dystrybucja zaplanowana jest równolegle w 35 krajach, m.in. USA i Indiach.

Emilia Dłużewska

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Życie po zdradzie

Jak odkleić się od ról kata i ofiary, i przyjrzeć się swojej relacji: jak nam było przed zdradą? Czego sobie nie mówiliśmy?

Reportaż Aleksandry Szyłto



Co nam mówią listy przed eurowyborami

Pojedynek na nazwiska

O tym, kto wygra 9 czerwca, zdecydują najtwardsze części elektoratów
Prawa i Sprawiedliwości i Koalicji Obywatelskiej.

Wielowieyska



Wybory do Parlamentu Europejskiego mają olbrzymie znaczenie, ponieważ pokażą, czy i w jakim stopniu swoją pozycję umocnią partie radykalne i antyeuropejskie, ale też antyukraińskie. Mimo tego zagrożenia frekwencja może być w nich bardzo słaba. Przed 2019 rokiem sięgała 20-25 proc. Wyjątkowo w 2019 roku poszybowala do 45 proc. Wtedy też PiS osiągnął rekordowe 45 proc. głosów i zdobył 27 mandatów. Jednak wówczas sytuacja była diametralnie inna niż dziś. Wybory europejskie odbywały się przed parlamentarnymi i były swego rodzaju przygrywką do kluczowego jesiennego głosowania. Teraz emocje krajowe opadły, co pokazały wybory samorządowe, mobilizacja może być więc mniejsza. Frekwencja może sięgnąć np. 30 proc.

W tym roku Polska obsadzi 53 mandaty. Będzie to pojedynek na twarde elektoraty. A w przypadku PiS-u jest on największy, poza tym jest zdeterminowany, by swą partię wspierać w ciężkich dla niej czasach. Koalicja Obywatelska zajmuje pod tym względem drugie miejsce. Dlatego nie dziwi, że obie partie stawiają na głośne nazwiska, cieszące się największą popularnością w gronie najwierniejszych zwolenników.

Tu nie zabiega się o polityczne centrum, o wahających się, tylko utwardza to, co już i tak jest niezłomne. Stąd na listach Jacek Kurski, Mariusz Kamiński czy Mariusz Wąsik. A także Patryk Jaki, Dominik Tarczyński oraz były prezes Orlenu Daniel Obajtek. Ci politycy mają przyciągnąć wyborców PiS.

Jarosław Kaczyński oczywiście rozdaje też miejsca na listach, żeby nagrodzić najwierniejszych. Obajtek może spiskował przeciwko kolegom i zbierał na nich haki — jak wynika z nagranych rozmów z Piotrem Nisztorem. Jednak nigdy nie powiedział złego słowa na Kaczyńskiego, był lojalny i wszystko konsultował z Nowogrodzką. Na przykład akcja z ryzykownymi szwajcarskimi kontraktami, na których Orlen stracił 1,6 mld zł, nie była jego indywidualną decyzją, lecz operacją przeprowadzoną w porozumieniu z PiS-owskimi służbami specjalnymi. Mogłyby o tym świadczyć ostatnie wypowiedzi Obajtka, w których nie jest w stanie obrobić tych transakcji i zwała wszystko na kolegów.

Kamińskiego i Wąsika Kaczyński też nie mógł zostawić na lodzie, mają w PiS status męczenników. W partii nie są lubiani, ale nikt się nie wyrывa z krytyką, aby nie siać wątpliwości w sercach zwolenników PiS. Gdy prokuratura rozesłała listy 31 osobom w sprawie Pegasusa, wzywając ich na przesłuchania w charakterze świadków, adresaci



• **Jacek Kurski jest w PiS nie lubiany, ale Jarosław Kaczyński wie, że wśród wyborców tej partii ma wielu zwolenników** FOT. DAMIAN KRAMSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

z obecnej koalicji rządzącej pochwalili się tym natychmiast.

Ale ludzie z PiS nic o tym głośno nie mówią, choć wiadomo, że niektórzy też takie listy dostali, m.in. były rzecznik prasowy PiS Adam Hofman, dziś przedsiębiorca, były minister skarbu Dawid Jackiewicz, a poseł Konfederacji Przemysław Wipler zasugerował, że w tym gronie jest też zażarty krytyk Kaczyńskiego Jan Krzysztof Ardanowski. Są pewnie i inni, ale się nie ujawniają, by nie narazić się na gniew lidera. Chodzi o to, by nie padł cień na dzielnych wojowników, czyli na Kamińskiego i Wąsika, a wewnętrzne klótnie trzeba wyciszyć.

Specyficznym przypadkiem jest Jacek Kurski, który nie do końca był wierny Nowogrodzkiej. Stanowisko prezesa TVP stracił, kiedy zaczął się przechylać, iż Kaczyński mu nic nie zrobi i może obsadzać ośrodki regionalne, tak jak zechce. Naraził się wtedy przyjacielce prezesa PiS Janinie Goss. Jednak jest lubiany w twardym elektoracie, więc prezes uznał, że jego start będzie sporą korzyścią dla partii. Choć Kurski wciąż jeszcze awanturuje się o lepsze miejsce na listach.

Walka jest ostra, bo PiS może stracić nawet siedem mandatów w porównaniu z poprzednimi wyborami europejskimi. Postawienie na Kurskiego może być ryzykowne. Frakcja Mateusza Morawieckiego go nie znosi i do jakiegoś stopnia będzie torpedować jego kampanię. Nie dziwi też, że Kurski nie chce być na mazowieckiej liście razem z Adamem Bielanem. Nie ma między nimi chemii, a urazy pochodzą sprzed wielu lat. Kurski miałby być trzeci za Maciejem Wąsikiem, ale to nie jest dla niego komfortowa sytuacja. Start Kurskiego ma więc plusy z punktu widzenia interesów PiS, ale też może w zna-

czący sposób zmobilizować elektorat drugiej strony. Kurski jest przecież symbolem największego zła dla tej części społeczeństwa, która głosowała na Koalicję 15 Października.

Konflikty dotyczące startów z tego samego okręgu nie dotyczą tylko Kurskiego. Małgorzata Gosiewska, która ma być jedynką w Warszawie, obawia się, że drugi na liście Tobiasz Bocheński uzyska więcej głosów. Chciałaby go przesunąć do innego okręgu.

Ponieważ Kaczyński stawia na głośne nazwiska, pojawiły się naciski na Przemysława Czarnka, by wystartował w na Lubelszczyźnie. PiS osiągnął tam wynik w wyborach samorządowych i powszechnie uważa się, że to zasługa Czarnka i jego radykalnej postawy, która odbiera tlen Konfederacji.

Tymczasem premier Donald Tusk zdecydował się na ryzykowny manewr polegający na wysłaniu do Parlamentu Europejskiego trzech swoich ważnych ministrów. Lider KO — podobnie jak Kaczyński — potrzebuje na listach głośnych nazwisk, które zmobilizują twarde elektorat KO.

Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz odbił TVP z rąk Kaczyńskiego, co było ryzykownym i krytykowanym manewrem. Szef MSWiA Marcin Kierwiński doprowadził do uwięzienia Wąsika i Kamińskiego, a i ta operacja nie była prosta, bo obaj politycy chcieli zagrać na nosie policji, chowając się w Pałacu Prezydenckim. Natomiast minister aktywów państwowych Borys Budka rozpoczął radykalne zmiany kadrowe w spółkach skarbu państwa: Daniela Obajtka i wielu innych nominatów PiS już tam nie ma.

To są ludzie, którzy intensywnie sprzątali Polskę po PiS. Niemniej takie decyzje mogą budzić wątpliwości wyborców: za szybkie te roszady, ledwo zaczęli urzędowanie, już zostali oddelegowani do Brukseli, zamiast kończyć to, co zaczęli. Takie skakanie z kwiatka na kwiatek może być źle przyjęte. Za startem Kierwińskiego w Warszawie może się też kryć test. Tusk chciałby zobaczyć jaki wynik ten minister może osiągnąć w Warszawie w trudnych warunkach.

Koalicja Obywatelska musi się szykować na różny scenariusz: gdyby Ra-

fał Trzaskowski został kandydatem na prezydenta RP, partia Tuska musi mieć gotowy scenariusz na wybory w Warszawie, dlatego warto przetestować ewentualnych następców Trzaskowskiego, a wiele wskazuje na to, że Kierwiński miałby ochotę zaważać o stolicę. Oczywiście to tylko jeden ze scenariuszy.

Zadanie Kierwińskiego nie będzie proste, bo przecież za plecami będzie czuł oddech byłej prezydentki Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz. Wprawdzie lewicowi aktywiści zaczęli przypominać, że ponosi ona polityczną odpowiedzialność za aferę repriwatyzyacyjną. Ale czy to powszechne przekonanie wśród warszawiaków? Gronkiewicz-Waltz reagowała na te zjawiska, zgłaszając odpowiednie projekty ustaw, choć można zarzucać jej, że zbyt późno się zorientowała jaki proceder kwitnie pod jej bokiem.

Dziennikarz „Wyborczej” Michał Wojtczuk przypomniał, że na zakończenie jej rządów w listopadzie 2018 r. w sondażu tzw. Barometru Warszawskiego na pytanie: „Jak Pan(i) ocenia działania Prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz?” aż 58 proc. respondentów odpowiedziało: „dobrze”, a tylko 34 proc. — „źle”. I taki wynik była prezydentka osiągnęła, mimo zmasowanej kampanii PiS przeciwko niej. Kierwiński będzie miał trudne zadanie także dlatego, że na warszawskiej liście pojawi się też Kamila Gasiuk-Pihowicz, a także Michał Szczerba. To nazwiska, które kojarzą się z tropieniem patologii z w czasach rządów PiS.

Z rozliczaniem poprzedniej władzy kojarzy się także Dariusz Joński, który jest jedynką KO w Łodzi. Jego starcie z Mariuszem Kamińskim w czasie komisji śledczej ds. wyborów kopertowych, kiedy to Kamiński nazwał Jońskiego „świnia”, bardzo politykowi KO posłuży. Pytanie, które Joński zadał Kamińskiemu, czy w czasie jednego z zebrań PiS był pod wpływem alkoholu, miało charakter insynuacji, ale Kamiński dał się sprowokować. Tego typu wydarzenia budują napięcie w kampanii europejskiej, a przypomnę, że wybory europejskie to wyścig kto, w jakim stopniu zmobilizuje swój twarde elektorat.

Nadzieją Koalicji Obywatelskiej jest to, że w wyborach samorządowych umocniła się nie tylko w dużych, ale i w średnich miastach i więcej kandydatów z tym partyjnym szyldem wygrało w nich wyborczy wyścig. Właśnie miasta, także te mniejsze, to wciąż miejsca, gdzie partia Tuska ma jeszcze spore rezerwy do wykorzystania. W ogólnym wyniku wyborów na wójtów, burmistrzów i prezydentów niemal wszystkie formacje zanotowały straty, jeśli chodzi o strictly partyjnych kandydatów, tylko KO zyskała więcej stanowisk w porównaniu z wyborami z 2018 roku. Ten szyld po prostu zaczął się opłacać.

Wiele jednak zależy od samej aktywności Donalda Tuska. Przed wyborami samorządowymi niewiele jeździł po kraju, a dziś to przede wszystkim on jest w stanie zmobilizować i przekonać twarde elektorat do wyjścia z domu na początku czerwca. •

Dominika Wielowieyska

NOCNYM MŚCICIELEM MÓGLBYM

Z ŁUKASZEM SIMLATEM
ROZMAWIA
MAJA STANISZEWSKA

być



Zadzwoił do mnie prawnik, że odziedziczyłem opłaconą na pół z ojca żonę. No i plik płyt, które wyjąłem ze schowka w tym opłu.

MAJA STANISZEWSKA: Przyznam – spodziewałam się, że przyjdzie pan z pieskiem. W „Rojście. Millenium” się pan z nim prawie nie rozstaje.

ŁUKASZ SIMLAT: – W życiu też się z nim nie rozstaję, ale był tak zmęczony, że nie miałem sumienia ciągać go po Warszawie. Zresztą zauważam z roku na rok wspólną z nim cechę, że zaczynam reagować niechęcią, kiedy muszę porzucać stałe kąty, walizkę pakować i jechać. On zmęczony nawet głaskać się nie daje, powarkuje, żeby dać mu spokój.

A wygląda tak niepozornie...

– Jak śpiewał Wiesław Gołas: „Lecz gdy spłynie mrok wieczorny/Typem staję się upiornym”. Gdy jest zmęczony albo przychodzi wieczór, to ma nieprzysiadalny nastrój.

Jak ma na imię?

– Brando. Zwany też Marlonem. Dyskutowaliśmy z żoną, czy brać nowego psa po śmierci poprzedniego, aż pewnego dnia stwierdziła, że czytała o psach, które nie mają sierści, tylko włosy, więc nie uczulają. I tak znaleźliśmy naszego hawańczyka.

Ma pan alergię na psy? Bo starszy sierżant Mika, którego gra pan w „Rojście”, chyba ma...

Nie. I Mika też nie. Wymyśliłem, że w tym zimowym sezonie on będzie chory, ale może, jeśli powstanie odrębny sezon o jego przygodach, Mika odkryje, że to nie katar.

Będzie taki sezon?

– Chciałbym, bo dla mnie to był niesamowity wehikuł czasu do lat młodości, czyli do momentu, kiedy nasykałem i się kształtowałem. To powodowało, że niejednokrotnie mi się gardło zaciskało na planie, jak myślałem o moim bohaterze, jak stawałem w odtworzonych realiach, dzięki którym mogłem na parę albo paręnaście godzin dziennie cofnąć się w czasie.

Żał mi jest Miki bardzo, może dlatego tak się dogadywaliśmy. On w sobie nosi jedną słodką tajemnicę, swoją żonę Kysię, której nigdy nie widzimy na ekranie – i niezależnie, co z tym bohaterem się będzie działo – nie powinniśmy jej oglądać. Ale poza tym to człowiek, jakich mnóstwo mijalem każdego dnia w Sosnowcu, w wiadomości wzdłuż ogrodzenia kopalni drodze do szkoły. To były czasy szarżyny najpierw peerelowskiej, potem transformacji, kręgosłupów polamanych przez system, świadomości, że już nigdy to życie nie będzie wyglądało tak samo. Mika jest patchworkiem z wielu, wielu ludzi, których pamiętam z tamtego czasu: wujków, sąsiadów, znajomych, z dodatkiem jękania się.

Mika ma szczęście, że pracuje w branży, która trwa. A czy ta kopalnia działa?

– Nie, choć jeszcze wiele lat po 1989 roku działała. Została zamknięta może dekadę temu. Ścianka wspinackowa tam jest. Szyb Hania, imiennik mojej mamy, nadal stoi. Kiedy przyjeżdżam, patrzę na niego z okna jej kuchni.

Ale w policji też przecież, jak pokazuje nam film przełomu czyli „Psy” Pasikowskiego, nie było różowo. A kilka lat temu tych ludzi, nawet takich, którzy chwilę posłużyli w milicji czy innych służbach przed przełomem, pozbawiano emerytury...

Ja jestem antysystemowcem, więc mnie mierzi, że czasem zawieje z tej, czasem z tamtej i wszystko się

ludziom wywraca. Nie mam komu kibicować i za każdym razem wybieram mniejsze zło.

A kogo by pan chciał?

– Kogoś ludzkiego. Weźmy teatr: w teatrach ciągle się szuka kogoś od zarządzania, a tu trzeba szukać kogoś od współpracy. Ludzie w teatrach oczekują kogoś, kto powie, że grają do jednej bramki. Kto będzie miał szansę zebrać to, co zasiał i nie musiał odchodzić po czterech latach kadencji.

Ale też, żeby praca w teatrze, czasami naście godzin dziennie, sześć czy siedem dni w tygodniu sprawiała, żeby nie trzeba było dorabiać na mieście. Bo w teatrze zarabiano się jeszcze niedawno 2,7 tys. zł na rękę. Jak za to wynająć mieszkanie, nie mówiąc o życiu? Są jeszcze pieniądze za spektakle, ale co, jak spektakl się nie udał i spada z afisza?

Budżety w teatrach są tkane z powietrza i mgły więc trudno się dziwić, że aktorzy i inni twórcy domagają się tantiem z internetu. Zwłaszcza to młode pokolenie, które tylko i wyłącznie dzięki internetowi może zacząć albo w ogóle ma pracę.

Nie wiem, czym się pan minister Sienkiewicz kierował, że w XXI wieku wykreślił z ustawy „z internetu”. Może, żeby przekazać pieniądze na Pałac Sasaki, który w dalszym ciągu za wszelką cenę jak najszybciej musi być odbudowany? A przecież można by sponżytkować je na jakiś punkt z tych stu obietnic, których niezrealizowania teraz się wszyscy zaczynają czepiać.

Niezbyst optymistycznie patrzy Pan na rzeczywistość polityczną.

– Pół tak, pół tak, bo jest dużo rzeczy pięknych, ale ogólne rozliczenie po tych ośmiu latach, kiedy naprawdę było dużo czasu, żeby się na nie przygotować, idzie tak sobie.

Co sprawiło, że postanowił pan zostać aktorem?

– Od dziecka się przebierałem, wyglupiałem, raczyłem rodzinę śmiesznymi opowieściami. Jak się po-



• Sierżant Mika, czyli Łukasz Simlat w serialu „Rojst Milenium” Netfliksa

FOT. ROBERT PAŁKA / NETFLIX

jawiły kamery wideo na rodzinnych uroczystościach, to coś zawsze przygotowywałem, próbowałem czymś zaskoczyć.

Pamiętam teatr, do którego mnie zabierała babcia i pamiętam pierwszego Pinokia, na którym siedziałem na dwóch kurtkach, żeby cokolwiek widzieć. Pamiętam zapach tego teatru i kajdanki, w które był zakuty Pinokio. Chciałem takie mieć. Pewnie teraz jakbym je zobaczył, okazałyby się tanią teatralną atrapą...

Ale pierwszy impuls do aktorstwa przyszedł w liceum. W telewizji zobaczyłem spektakl Magdy Umer „Big Zbig Show” ze Zbigniewem Zamachowskim śpiewającym piosenki z różnych polskich festiwali ze wsparciem Piotra Machalicy i innych aktorów. Otworzyły mi się w głowie jakieś klapki. Potem widziałem go jeszcze na scenie na żywo i to w spektaklu, w którym ktoś z widowni przeszkodził, więc zobaczyłem także, jak wygląda, jak się aktora wytrąci z roli i już byłem przekonany, że to aktorstwo może być fajne. Może być sposobem na życie.

Zapisałem się na zajęcia do Studia Art-Play, które Dorota Pomykała prowadziła i chyba wciąż prowadzi z siostrą w Katowicach. One uczciwie mówiły, czy ktoś ich zdaniem ma szanse w szkole teatralnej, czy nie. Mnie powiedziały, że mam. Ale i tak egzaminy kosztowały mnie siedem kilo wagi. Przeszedłem pierwsze etapy w trzech szkołach: Łodzi, Krakowie i Warszawie, ale drugi był tego samego dnia i musiałem wybrać. Zapytałem o radę Dorotę, a ona powiedziała, że fajnie jest studiować w Krakowie, ale praca jest w Warszawie. No to pojechałem do Warszawy. I się dostałem.

Co pana rodzina na to?

– Matka od razu powiedziała, że jeśli taki mam pomysł, to mnie wesprze i zrobi wszystko, co będzie mogła, żeby mi się udało. Babcia nie mogła tego długo zrozumieć. Powtarzała: „Poszedłbyś na medycynę, są książki po mamie”, a kiedy odpowiadałem, że to tak nie działa, nie mogła tego przegryźć.



Mika jest patchworkiem z wielu, wielu ludzi, których pamiętam: wujków, sąsiadów, znajomych, z dodatkiem jąkania się

Prześląłem opowieściami mamy i ciotki, które jak się spotykały to z poczuciem humoru i ze swadą opowiadały te wszystkie historie o wystających złamanych kościach, o operacjach na otwartym mózgu. To było moje dzieciństwo i już wtedy nie dawałem rady. To jakim mógłbym być lekarzem? Jak krew mi pobierają, to muszę patrzeć w ścianę.

Babcia robiła podchody, że może na prawnika bym poszedł, bo lubię historię, że może do szkoły plastycznej, bo ładnie rysuję. W końcu zaakceptowała i jak przyjeżdżałem, to pytała, kiedy będę teraz w telewizji. Ale nie rozumiała tego świata.

Czym się zajmowała?

– Razem z moją mamą pracowały wiele lat w tej samej przychodni. Mama była internistką, teraz jest już na emeryturze, babcia pracowała w kadrach. A dziadek był szewcem. Uwielbiałem, jak otwierał szafkę w przedpokoju i zaczynał się wydobywać zapach butaprenu.

Ma pan do tego sentyment?

– Potworny. Taki, który tylko potęguje świadomość, że to już nigdy nie wróci. Że pewnych ludzi, pewnych rzeczy już nie dotkniesz, nie dotkniesz pewnej aury. Już nigdy nie będzie tak, że po klatce schodowej latają dzieci i krzyczą „imieniny” i pół bloku schodzi się do jednego mieszkania świętować. Już nie będzie tej analogowości, tego, że trudno się znaleźć, że trzeba

przyjść, zapytać. No i ludzie, ważni ludzie, których już nie ma, a za którymi tęsknię.

Próbuje pan jakoś do tej analogowości wracać?

– Na pewno... O Jezu, przepraszam [w tym momencie na ekranie smartwatcha Łukasza Simlata wyświetla się połączenie]. Jak to mówi Gabrysia Muskała w jednym spektaklu: „Te elektroniczne pastuchy, które każą nam wstawać od czasu do czasu i się ruszać”.

Myślę, że w porównaniu do niektórych jestem analogowy. Mam tablet, na którym czytam scenariusze – to jest akurat bardzo wygodnie, że nie trzeba dzwigać ze sobą kilogramów papierów. Ale też martwi mnie, kiedy smartfon wypłuka informację, że mój czas przed ekranem był w tym tygodniu o ileś procent dłuższy.

No i gdy trzeba nagrywać selftape na casting przeżywam gehennę. Bo to jest bezduszne, odczłowieczone. Gdy musiałem to zrobić do „Rojsta '97” zajęło mi tydzień. Redagowałem tekst, wymyślałem jakieś urządzenie z patyków i drutu, żeby zamontować telefon w samochodzie i zagrać dwie czy trzy samochodowe sceny w prawdziwych realiach, a potem siedziałem dzień w piwnicy, krzycząc „Wypierdalaj ty stara lesbo!”, podczas gdy sąsiedzi zastanawiali się, co tam się dzieje. Dwa dni próbowałem to przyciąć i wysłać, myślałem, że wyrzucę komputer przez okno.

Oplaciło się.

– Oplaciło się, ale pomyślałem sobie wtedy, że jeżeli to ma już zawsze tak wyglądać, to ja nie chcę.

Wszystkie castingi zaczynają się od tego, że trzeba przesłać selftape’a?

– Nie wiem. Rzadko chodzę na castingi, bo nie jestem na nie zapraszany.

Bo dostaje pan od razu propozycję roli?

– Zazwyczaj tak. Zdarza się, że ktoś myśli od początku o mnie, nawet pisze.

To chyba przyjemna sytuacja?

– Bardzo. Choć zdarza się raz na jakiś czas.

Jest jakaś rola, którą chciałby pan zagrać, ale jeszcze się nie zdarzyło?

– Chciałbym zagrać muzyka. Ale nie będę się teraz wychylał z pomysłem, bo jak się nie zrealizuje, to zawsze jest człowiekowi smutno. Zdám się na to, co przyniesie los, ale podobno do któregoś kwietnia jest moment zmiany gwiazd i trzeba zasiewać pomysły na następny bardzo długi czas. Więc zasiewam pomysły.

Gra pan na jakimś instrumencie?

– Chodziłem do szkoły muzycznej w klasie gitary i saksofonu altowego. Ale mogę grać na dowolnym, byle bohater był ciekawie rozpisany. Jak Mika. Żeby zobaczyć partyturę tej postaci i mógł pracować nad tymi nutkami – gdzie mają być szesnastki, czy ósemki, a gdzie całe nuty. Lubię tak sobie rozpisać rolę po aptekarsku. Wymierzyć, że jeżeli tutaj dołożę za dużo, to gdzieś muszę odłożyć, bo jak wszędzie dołożę za dużo, to rozsadzi ekran.

Dlaczego akurat po aptekarsku?

– Jak byłem mały, spędzałem czas w przychodni, w której pracowały babcia i mama i często różnymi tajnymi przejściami chodziłem do apteki do pani Bożenki. Obserwowałem, jak odmierza składniki leków, pamiętam zestawy małych odważników, nawet takich gramowych, które można tylko pęsetą łapać i te właśnie precyzyjnie kręcone, ucierane proszki i leki. Uświadomiłem sobie, że bywają sytuacje, gdzie jak dodasz czegoś za dużo, to możesz kogoś otruć. Przez chwilę chciałem być aptekarzem, potem chodziło mi po głowie, żeby zostać archeologiem. Ale szybko sobie uświadomiłem, że to nie jest zawód do uprawiania w Polsce.

To nas łączy – też miałam taki moment w podstawówce. Przyjechaliśmy też do Warszawy w podobnym momencie. Podobno pan za nią nie przepada?

– Nie. Za szybko, za głośno, za dużo, za gęsto. Kiedy tu przyjechałem, Warszawa była miastem spiętym na siłę paskiem. Gdyby ktoś ten pasek rozpiął, rozwaliby się na wszystkie strony. Nie ma tu spójności myślenia o mieście, nie ma spójności architektonicznej. Ale może nie przepadam za nią przez to, że tu się zbiera cała polska polityka, może to mnie mierzi?

Ma pan śląskie korzenie?

– Nigdy nie odgrzebywałem korzeni. Dziadek pochodził z okolic Wolbromia, babcia z Sosnowca. A rodziny mojego ojca nie znam, bo samego ojca nie miałem okazji poznać. Odciał się, gdy mnie jeszcze na świecie nie było. Po latach napisał do mnie list, ale go nie przeczytałem. Dorastając, coraz bardziej sobie uświadamiałem, że to człowiek, który nigdy mnie nie chciał poznać. I w końcu jak się zdecydował, to ja już nie chciałem.

Ile pan miał lat wtedy?

– Jakieś 16.

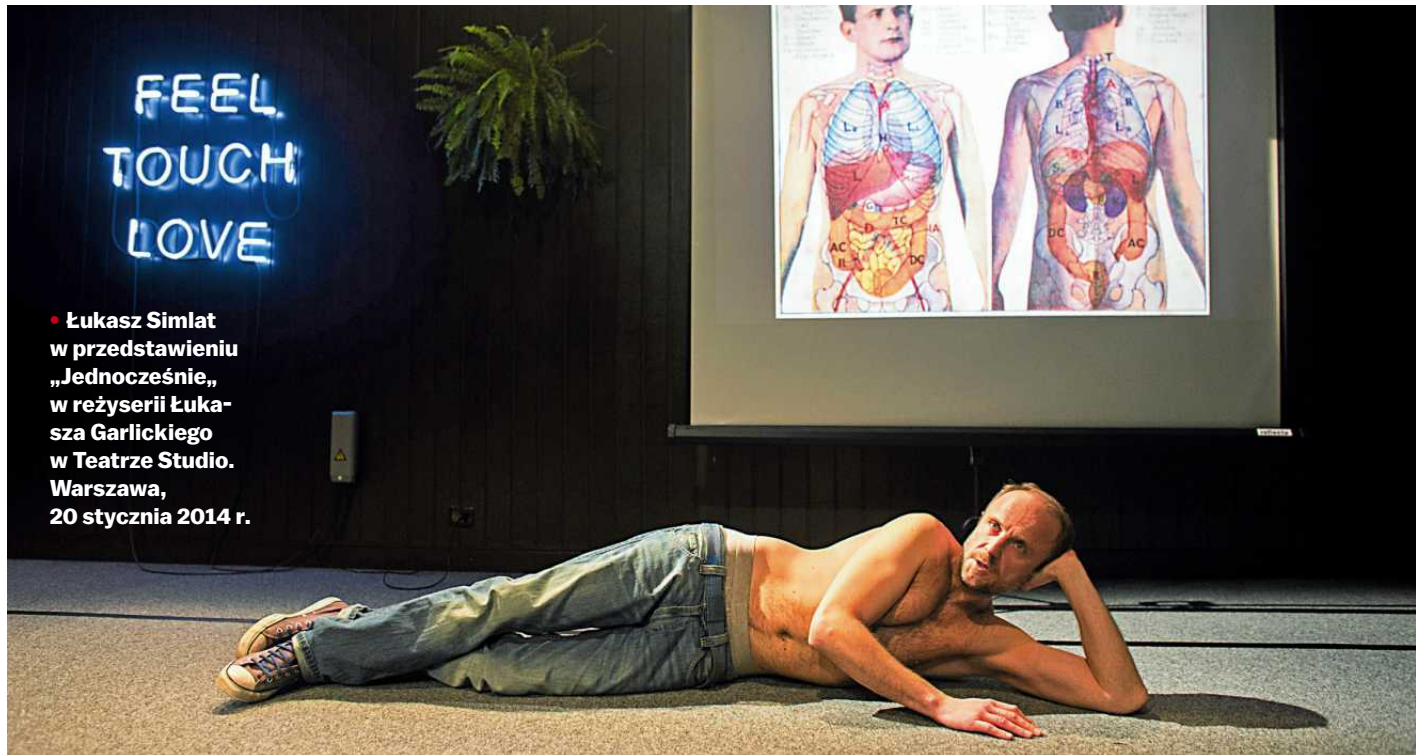
Były takie momenty, kiedy pan myślał o ojcu?

– O Jezus, wielokrotnie. Nawet jak człowiek jest mały i patrzy na swoich kumpli, którzy grają w piłkę z tatą albo tata na ryby zabiera...

Widziałem ojca raz, przez plot. Dziadek mnie wziął po jakieś skóry szewskie na ulicę, przy której wiedziałem, że mieszkają drudzy dziadkowie. Wiedziałem też, że ojciec jeździ czerwonym maluchem. I nagle zobaczyłem faceta ze zdjęć, który podchodzi do czerwonego malucha. Miałem jakieś sześć, siedem lat. Ale nie zawołałem.

Nie wyobrażam sobie nawet, jak to jest.

– Nie potrafię teraz opisać tego uczucia, ale było bardzo, bardzo ambiwalentne. Patrząc na tego człowieka przy maluchu, wiedziałem, że to najprawdopodobniej mój oj-



Budżety w teatrach są tkane z powietrza i mgły więc trudno się dziwić, że aktorzy i inni twórcy domagają się taniem z internetu

ciec, ale że zrobił wiele, wiele rzeczy, których nie powinien był zrobić. Tak czułem. I to rosło we mnie. Nigdy jednak nie urosło w zaciętrzewienie czy złość. Mama nigdy nie próbowała mnie do niego zrażać. Dlatego uświadomiłem sobie, że ojciec nie chciał mnie poznać. Gdy dała mi list od niego, miałem wybór.

Przeczytał go pan?

– Nie. Uznałem, że nie ma po co, skoro podjąłem decyzję, że się nie spotkam. Nie chciałem się wirusować, zasiewać niczym.

Myślał pan o tym przez kolejne lata?

– Tych lat nawet nie było wiele, bo ojciec zmarł 19 lat temu. Zadzwonił do mnie prawnik, że odziedziczyłem opłać corse na pół z ojca żoną. Tyle zostawił po sobie chirurg... No i plik płyt, które wyjąłem ze schowka w tym opłu. Przynajmniej wiem, czego tam słuchał.

Słuchał ich pan?

– Słuchałem. Nawet ostatnio chodziły mi po głowie. Ale to wszystko szybko pękło, bo życie jest szybkie. Im człowiek starszy, tym szybciej płynie.

Dlatego też tak się pan wzruszał na planie dwóch sezonów „Rojsta”, które dzieją się w latach 90.?

– Tak, choć w Sosnowcu nie było kolorowo. I dalej nie jest. Ale lata 1992-2000 to chyba najważniejszych osiem lat mojego życia – czas liceum i szkoły teatralnej. Teraz wielu ludzi mówi, że nie wróciłoby do niej i ja też bym nie wrócił do tej patologii, którą z perspektywy czasu widzę, ale to było więcej niż ta patologia – była nasza mała, 13-osobowa rodzina ludzi z roku. Spędzaliśmy razem po 24 godziny na dobę, nocami próbowaliśmy w szkole i wielokrotnie w niej spaliśmy. To był klosz, spod którego wyszliśmy po czterech latach z pytaniem „i co teraz”. Jedyna nasza przewaga była taka, że już byliśmy w Warszawie. Tu były nie tylko teatry, ale seriale i film. Chociaż mnie ktoś powiedział parę lat po szkole: „W filmach to ty nie będziesz grał, nie masz miejscowego wyglądu”.

Co to jest „miejski wygląd”?

– Spyta pani jednego z najważniejszych producentów w kraju.

Coś marne oko ma ten producent – ma pan na koncie ponad 60 ról w filmach i prawie drugie tyle w serialach.

– Bo trzeba robić swoje.

To prawda, że nie ma pan dyplomu?

– Zacząłem pisać pracę magisterską porównując wszystkie rzeczy, które Andrzej Wajda zrobił i jako film i jako spektakl, a trochę tego było, jednak jej nie skończyłem. Umarła moja promotorka, wszystko się przeciągało, zacząłem pracować i już tak zostało. Czasem się jednak zastanawiam, czy ludzie, którzy wybierają zawód aktora, nie są wpychani w kanał.

Żałuje pan, że nim został?

– Nie. Żałuję tylko, że zostałem aktorem w Polsce. Wiem, że z tego zawodu się utrzymam, zresztą nie mam alternatywy. Ale polski aktor łapie parę srok za ogon, żeby móc od pierwszego do pierwszego jakoś przeżyć.

To gdzie by pan chciał być aktorem?

– Gdzieś, gdzie się to po ludzku odbywa. W jakiejś higienie, a nie po 16 godzin na dobę pięć czy sześć dni w tygodniu. Czy ja mam więcej siły niż ci, co pracują po osiem godzin?

Kiedys niemiecki aktor mnie spytał, ile mam spektakli w miesiącu. Odpowiedziałem, że mój rekord to 44. A o na to, że po sześciu musi jechać do swojego domku w Bawarii odpoczywać. „Przecież to jest takie wygenerowanie energii z organizmu... ty jesteś normalny?” – stwierdził. Tylko on myślał z perspektywy tysiąca czy dwóch tysięcy euro za wieczór, a ja myślę z perspektywy 600, w etatowym teatrze czasami nawet 500 złotych za spektakl. Brutto.

Jednak ma pan aktorskie marzenia, jak ta rola muzyka. A superbohatera chciałby pan zagrać?

– Marvelowskiego? Za milionów dolarów? Mogę nawet jutro.

A w życiu chciałby pan być superbohaterem?

– Tak, chciałbym być Nocnym Mścicielem. Bym się przebiegał w nocy i naparzał tych wszystkich polityków, którym wiszą najważniejsze sfery codziennego życia, nie tylko ta kulturalno-teatralna, od której zaczęliśmy, ale szkolnictwo czy służba zdrowia, która się sypie. Mógłbym ich przełożyć przez kolano albo najlepiej zaciągnąć do Sejmu i powiedzieć: teraz siadać i głosować! Nikt nie wychodzi, dopóki się nie uda ponaprawiać!

Miał pan taki moment „naparzenia” po wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej w sprawie aborcji. Zamieścił pan na Facebooku długi gniewny wpis, wyzywając na pojedynek Jarosława Kaczyńskiego i jego „kumpli chamów przebranych w garnitury”.

– Wtedy ludzie wyszli na ulicę, a ja miałem covid i leżałem w jakimś powidoku. Nie mogłem iść się sprzeciwić temu chamstwu i tej bucie. Bardzo dużo złego mnie z tego powodu spotkało. Gdybym poszedł na protest, to by było nienamagalne, a to było namagalne.

Co się stało?

– Dostałem bardzo dużo wiadomości, że zostaną powieszony, spalony jak Żyd, że wpierdol i do lasu mnie wywiozą. Chwilę potem Urząd Skarbowy stwierdził, że sprawa, którą od paru lat uważali za zamkniętą, jednak zamknięta nie jest i 23 grudnia zdjął mi z konta 40 tysięcy złotych. Potem mi je oddawali w ratach aż oddali całość, bo wcale nie byłem fiskusowi dłużny, nic nie było źle wyliczone.

Co nie znaczy, że nie napisałbym tego drugi raz, bo bym napisał. Ze wzmożoną energią.

Jak pan reagował na te groźby?

– Biorę to z dobrodziejstwem inwentarza. No i też nie odpuszczam, jeżeli ktoś radykalnie mi się odzywa. Ci rzucający groźby zazwyczaj milkną, jak zaczynasz ich rozbrajać logiką. Jak ktoś mi pisze, co by ze mną zrobił Jan III Sobieski, to go pytam, kiedy się z nim widział, na piwie był? I wtedy zapada cisza.

Sama sprawa prawa do aborcji jest dla pana ważna?

– Przede wszystkim dla mnie ważna jest swoboda indywidualnego podejmowania decyzji. Jesteśmy ludźmi dorosłymi. Jeżeli aborcja jest potrzebna, jeśli ktoś podejmuje taką decyzję, jeżeli życie jest zagrożone, to nie może być tak, że nie ma do niej dostępu, bo jakiś jeden dziaders tak sobie wymyślił.

Wkurwia mnie ściąganie relikwii do szpitali, nie rozumiem tego zachowania średniowiecznego. To znaczy, to są rzeczy piękne, którym możemy hołdować prywatnie, ale nie wpłatać w oficjalny krwiobieg. Odkąd obserwuję życie polityczne, wydawało mi się, że jak rzeczy są przegłosowane, podjęte, to się tego trzymamy. A nie odkręcamy i cofamy się znowu o iks lat? Nie potrafię tego pojąć.

Niby przyszła zmiana, ale kobiety to mogą sobie dalej czekać. Bo są jedne wybory, drugie wybory, kampania prezydencka, to, tamto, siamto... A ty czekaj. I rozumiem ten wkurw. I bardzo mnie irytują te obietniczki cacanki. ●

Łukasz Simlat

• aktor, występował m.in. w warszawskich teatrach Powszechnym i Studio. Zagrał w kilkudziesięciu filmach m.in. „Konwoju”, „Bozym Ciele”, „Broad Peak” oraz wielu serialach, z których wielką popularność przyniosła mu rola w „Rojście'97” i „Rojście Millenium”

Genialne proste narzędzie do kastrowania demokracji

Ta krzywdza usprawiedliwia wszystkie krzywdy, które rządzą ci w przyszłości



Marcin Matczak

PiS to partia wiecznie pokrzywdzona. Od Smoleńska budowana na krzywdzie, obecnie szuka jej nowych źródeł, nowych zasileń cierpienia, odbierania tego, co jej należy. Jest jak taksówkarz, któremu wystarczy napomknąć „rozkradli nam Polskę, sukinsyny” i już można wysłuchiwać tyrały, kto pozbawił nas tego, co nam się święcie należy.

A PiS-owi należy się Polska. Należy się państwo i jego instytucje, synekury i związana z nimi władza. Nie do końca jest znane źródło tego wielkiego roszczenia, ale ono jest i jest szczególnie widoczne teraz, gdy władzę utracili.

Jest w tym roszczeniu wielka asymetria. Kiedy oni wygrywają wybory, to Naród zdecydował i w politycznym olśnieniu powierzył im zadanie Zmiany. Kiedy wygrywa ktoś inny, to głupie Jagodno zwabione kawałkiem pizy dało się oszukać. To oczywisty wypadek przy pracy, który żadnego prawa do zmiany kraju nie daje, bo przecież to tylko na chwilę.

W 2015 Naród rzekomo pozwolił PiS przejąć i TK, i media, i sądy. U podstawy tych przejęć leżało mistyczne przekonanie, że PiS bierze swoje, odbiera to, co ukradli mu postkomuniści i unijczycy. Wtedy prawo i konstytucja były wymysłem formalistów, bo przecież to lud się wypowiadał.

Czytaliśmy w raporcie zespołu marszałka Kuchcińskiego, że ta konkretna wola musi stać ponad „abstrakcyjnym porządkiem prawnym”.

Uczył nas Kornel Morawiecki, że prawo jest ważne, ale nie najważniejsze, bo nad nim stoi dobro narodu i tylko PiS może je zdefiniować.

Nagle przelamano imposybilizm prawny, na który Kaczyński skarżył się w 2007, gdy mu ustawę lustracyjną uchylali. Wreszcie zrobiło się demokratycznie.

Wtedy można było uchwałą Sejmu pozbawić miejsca w TK legalnie wybranych sędziów i nie było to „rządzenie uchwałami”. Dzisiaj nie można w uchwale sejmowej wyrazić nawet politycznego apelu.

Wtedy wolno było nie publikować wyroków TK, bezczelnie przyznając sobie prawo do ich oceny, dzisiaj nie wolno używać terminu „dubler”, bo to narusza autorytet instytucji.

Wtedy powołano pozakonstytucyjną Radę Mediów Narodowych, żeby obejść Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. Dzisiaj legalne rozpoczęcie likwidacji TVP to wprowadzenie stanu wojennego.

Bo krzywdza PiS jest zawsze dziesięć razy większa niż krzywdza cudza, a ich ból jest zawsze większy niż twój. Jak u narcyza, tyle że w życiu publicznym, nie liczy się to, że on cię obraża i poniża permanentnie. Jeśli jednak ty raz mu odpowiesz pięknym za nadobne, nigdy tego nie zapomni, a krzywdza ta usprawiedliwi wszystkie krzywdy, które on wyrządzi ci w przyszłości.

Ta asymetria już dzisiaj staje się uzasadnieniem dla przyszłego, strasliwego odwetu. Koalicja wygrywająca wybory przy oszałamiającej frekwencji trzech czwartych uprawnionych do głosowania jest traktowana przez PiS jak uzurpator. Kaczyński, choćby wygrał wybory jednym głosem, będzie zawsze Piłsudskim,

który odzyskuje Polskę i daje jej niepodległość (cóż z tego, że czasem od rozumu). Każdy jednak, kto odbiera władzę Kaczyńskiemu, jest Jaruzelskim – stąd „koalicja 13 grudnia”.

Stąd też obecny spór o praworządność. Przez osiem lat chciało PiS nie tylko Polskę zawłaszczyć, ale ukraść, na wypadek, gdyby ktoś chciał im ją legalnie odebrać. Jak nieuczciwy najemca, który nie płaci czynszu, Partia Wiecznej Krzywdy liczy na litość obserwatorów, gdy jest eksmitowana. Krzyczy, jak kiedyś Rokita „Niemcy mnie biją, ratunku!”. I już się odgryza, że jak wróci, nie będzie brała jeńców.

W Polsce, ze względu na paraliż TK, jest w obrocie cała masa przepisów, których zgodności z konstytucją nie ma kto sprawdzić. Są jak kaganiec nałożony na demokratycznie wybraną władzę, żeby nie mogła się PiS-owi odgryźć. Każda próba poradzenia sobie z tym kagańcem – czy to w sprawie Barskiego, bezczelnie wstawionego na szczyt prokuratury kumpla Ziobry, czy to w sprawie mediów, których po PiS-owsku rozumianej „niezależności” broni Świrski, kończy się krzykiem a’la Rokita, nawet jeśli sądy potwierdzają legalność tych działań.

brane, odbierze sześć, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Ostatnio prasa doniosła o mieszkaniu w Madrycie, w którym przebywali dzicy lokatorzy, tzw. ocupas. Gdy ci na moment wyjechali, do mieszkania weszli prawowici właściciele i zostali w efekcie oskarżeni o włamanie. To metafora dobrze ukazująca PiS-owskie myślenie. 15.10 Naród przez duże, siedemdziesięciopięcioprocentowe „N” kazał się PiS-owcom wyprowadzić. A ci nie tylko odmawiają, ale oskarżają o przestępstwo tych, którzy mają pełen tytuł w domu przebywać i nim zarządzać.

Bo PiS przyznaje sobie prawo wieczystego użytkowania Polski. I każdego, kto mu go odmawia, nazywa złodziejem, Niemcem albo komunistą. Zasada jest prosta: jeśli głosujecie na PiS, dajecie im wszystko, jeśli głosujecie na ich przeciwników, nie dajecie im nic.

W efekcie każde zachowanie PiS jest ochroną tego, co im się należy, każde zachowanie ich przeciwników jest gwałtem i rozbójem. To genialne proste narzędzie do wykastrowania demokracji.



• „Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „Kraju, w którym umrę”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl. A poprzednia – „Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości” – nadal w księgarniach i w wersji cyfrowej na Publio.pl

Krzywdza PiS jest zawsze dziesięć razy większa niż krzywdza cudza, a ich ból jest zawsze większy niż twój. Jak u narcyza

To jest chyba najbardziej antydemokratyczna cecha PiS: uzasadniają swoje konstytucyjne przestępstwa doznaną niykrzywdą, szukają racji dla swoich instytucjonalnych zbrodni w wykroczeniach innych. Bo te zapowiedzi, co też oni zrobią, jak wrócą, są śmiertelnie groźne dla demokracji. Zamachy stanu zawsze przedstawia się jako działanie w samoobronie. Trudno przecież ludzi przekonać, że słusznie jest kraść. Łatwiej, że odbiera się coś, co rzekomo zawsze było nasze – jak Putin Krym, nie przymerzając.

Jest na stole propozycja nowego otwarcia – projekt zmiany konstytucji, zgodnie z którym cały TK przechodzi w stan spoczynku, a nowy jest wybierany tak, żeby obecny parlament nie miał w tym zakresie monopolu (pierwsze kadencje wybranych sędziów będą dużo krótsze niż 9 lat). Propozycja ta nie betonuje składu TK i daje następnemu parlamentowi udział w wyborze sędziów. Wszyscy twierdzą, że ta propozycja nie ma szans. I mają rację. Ale ważniejsze jest to, dlaczego nie ma szans: bo z ukradzionej Polski PiS nie odda ani kawałka, a za każde dwa kawałki legalnie mu ode-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34313205

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:

Sekrety rodzinne, czyli o czym nie rozmawia się w domu

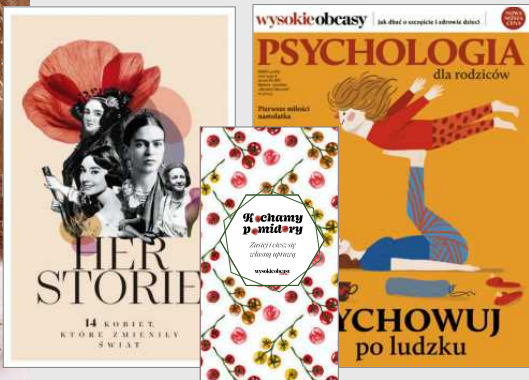
KATARZYNA KASIA I GRZEGORZ MARKOWSKI:

Nie tylko o swojej przyjaźni

wysokieobcasy
extra



PREZENT DO WYBORU





Można z niej zrobić praktycznie wszystko: papier, tkaniny, plastik, biopaliwo. No i oczywiście można zapalić. Ale czy trzeba?

Piotr Cieśliński

Do kolacji siadasz z lampką wina, przy grillu otwierasz piwo, zapalasz papierosa. To co by szkodziło od czasu do czasu zapalić jointa albo zjeść ciasteczko z marihuaną? Sprawdźmy, co na ten temat mówi nauka.

Badania marihuany wciąż stanowią wyzwanie dla naukowców, wymagają po-

konania wielu barier administracyjno-prawnych, bo ta substancja jest nielegalna w większości krajów. Z tego powodu ludzie niechętnie biorą udział w badaniach, a jeśli się już zgodzą, boją się zdradzić, ile faktycznie palą. W dodatku nie bardzo wiedzą, co znajduje się w skrecie, a naukowcy też mają problem ze standaryzowaniem próbek tej substancji. Konopie, szacuje się, zawierają aż 500 związków czynnych, w tym najważniejsze – tetrahydrokannabinol (THC) oraz kannabidiol (CBD). THC oddziałuje na receptory w mózgu i wywołuje różne efekty, np. euforię, zmniejszenie bólu czy relaksację mięśni. CBD natomiast zmniejsza działanie narkotyczne THC oraz wykazuje działanie przeciwlękowe i przeciwzapalne.

Ale dlaczego marihuana została zakazana, zanim naukowcy porządnie przyjrzeni się jej działaniu i potencjalnej szkodliwości?

Istnieje na ten temat wiele teorii spiskowych, jedna z nich mówi, że palce w tym maczali wielcy przemysłowi potentaci (w szczególności obwinia się koncern duPont), którzy pierwszej połowie XX wieku zorientowali się, że uprawa konopi może zagrozić ich interesom. Bo z tej cudownej rośliny można wyprodukować praktycznie wszystko: papier, tkaniny, plastik, biopaliwo... Dlatego na szczytach biznesowej władzy w USA miał zrodzić się spisek, w którym brał udział Harry J. Anslinger, pierwszy szef amerykańskiego Biura ds. Narkotyków, utworzonego w 1930 r.

200

MLN

• **ludzi na świecie korzystało z marihuany według szacunków WHO**

1 RP

NIE MA TRAWKI BEZ KOLCÓW

Agnieszka, 41 lat, redaktorka

Blant sympatyczniejszy od alkoholu

Pali okazjonalnie, na imprezach, w sytuacjach towarzyskich. Najczęściej częstuje się czymś blantem, ale bywa, że przynosi na imprezę swoje zioło. Myśli, że palenie w mieście stało się dość powszechne – nieraz zdarza się jej wpaść w konopną chmurę, gdy idzie w parku z psem. – Dla mnie palenie nie jest codziennym rytuałem jak kawka, ale znam takich, dla których jest – mówi.

Co jej daje marihuana? Relaks, jak to używka. – Chciałabym mieć taką siłę woli czy umysłu, by się relaksować w naturalny sposób, ale nie umiem. Idę na skróty.

Gdy rozmawiamy, Agnieszka jest na wycieczce w górach. Wspomina, że niektórym po przyjeździe do schroniska wystarczy sernik i herbata, a inni wychodzą na bucha. Lubi do nich dołączyć. Choć gdy poprzedniego dnia ekipą dotarli do schroniska, długo nie schodzili do baru na rytualne piwko czy właśnie bucha. – Endorfiny po wejściu na górę robią swoje. Było nam ze sobą tak dobrze i wesoło, że niczego nam nie było więcej trzeba. Jedyne co, to wypiliśmy mnóstwo herbaty i możliwie że staliśmy się teistami. Odsuwałam w czasie moment, gdy trzeba było zejść na dół na kolację.

Paląc marihuanę nie rezygnuje z alkoholu. – Ale wiem, że to bardzo niezdrowo, więc wy-

go lepiej nie róbcie. I nie należy po trawie siadać za kółko ani na rower. To nietrzeźwość jak każda inna – dodaje.

Wspomina, że gdy miała kilkanaście lat i potem, na studiach, domino wało monarowskie przekonanie, że po trawie jest już tylko jeden krok do wstrzykiwania sobie kompotu z maku. Zioło miało aurę niesamowitości.

– Przez to kiedyś postrzegałam trawę jako zakazany owoc i coś wyjątkowego. Teraz jak mnie pytasz o palenie, to jakbyś mnie pytała o picie piwa. Już nie ma, że to substancja bardzo nielegalna i bardzo niebezpieczna. Jedni idą do baru na piwo, inni piją herbatę i ściągają bucha. Ale tych ostatnich jest wciąż mniejszość. Uważam trawę za jedną z używek, taką sympatyczniejszą od alkoholu – mówi.

Dlaczego sympatyczniejszą? Bo nie ma po niej kaca. Jedyna wada, to że trzeba wychodzić na zimno, by zapalić.

Agnieszka ma dwoje dzieci, ale trawa to nie jest jeszcze temat w jej domu. Choć opowiada czasem, że używki to nie fajny pomysł, a najgłupsze są fajki, bo drenują portfel i zdrowie, i nic nie dają poza towarzyskim przeżyciem (to ostatnie i inne plusy tak naprawdę pomija). – Przy dzieciach nigdy nie palę marihuany ani nie piję alkoholu. W ogóle nie chcę

się wprowadzać przy nich w odmienne stany, bo chcę być przy nich w pełni przytomna i nie potrzebuję odpływać.

Ale niedługo pewnie będzie musiała odbębnić dydaktyczną pogadankę z synem, który wchodzi w wiek, w którym wszystkiego się próbuje. Powie, że wszystko jest dla ludzi, ale ważne, żeby używać w odpowiednich ilościach i że lepiej być starszym niż młodszym, gdy się próbuje. Wtedy łatwiej używać rozsądnie. I że najlepiej, jak człowiek sam z siebie umie się poczuć dobrze w świecie bez dróg na skróty. Na przykład wchodząc zimą na szczyt jakiejś góry.

Obserwuje, że dziś palą ci dorośli, którzy popalali już w szkole. A jak ktoś nie palił wtedy, to nie pali też teraz. – Nie ma tak, że jak jest większa dostępność, to nagle wszyscy się na to rzucą. Wcale bardziej nie kusi – uważa. Sama pierwszego skręta zapaliła na wycieczce w Holandii. Nie było fajnie.

Wzięła kilka buchów za dużo, łomotato jej serce i się przestraszyła.

Myśli, że w filmach pokazują palenie trawy, jakby to było niewiedomo co. Wszyscy dostają ataku śmiechu, głupoty albo halucynacji. A to taki narkotyk, który po prostu rozluźnia, o ile nie ma żadnych domieszek. Jeśli komuś nie jest do śmiechu, to nagle po trawie też mu nie będzie. Ludzie zachowują się normalnie. A jeśli nienormalnie, to dlatego, że tak mają też bez trawy. – Mam wielką prośbę do scenarzystów, by jak już muszą zapisać, że ktoś pali blanta, to żeby nie pisali, że ta osoba wpada w dziwne stany, bo tak się nie dzieje – apeluje Agnieszka. ●

Edyta Bryła



Anslinger, to jest już najprawdziwszy fakt, był zwolennikiem drakońskich antynarkotykowych regulacji, m.in. delegalizacji używania i handlu marihuaną.

Ale jeszcze po I wojnie światowej marihuana była stosowana jako lek. Jak podaje Martyna Hordowicz z Fundacji Hospicjum Onkologiczne im. św. Krzysztofa w Warszawie w opracowaniu powstałym na zlecenie ministra zdrowia, kompendium medycyny praktycznej z 1924 r. („Sajous’s Analytic Cyclopedia of Practical Medicine”) opisywało następujące zastosowania, które w dużej mierze pokrywają się z obecnie rozważanymi dla medycyny marihuany:

- uspokajające i nasenne: w bezsenności oraz depresji, tężcu, delirium tremens;

- w chorobach zakaźnych i układu oddechowego: gruźlicy, malarii, chorobach przebiegających ze skurczem oskrzeli;
- przeciwbólowe: w migrenach, menopauzie, guzach mózgu, bólach związanych z miesiączką;
- w schorzeniach dermatologicznych: egzemie, świądzie czy w dnie moczanowej;
- w stymulacji apetytu, zapobiega wyniszczeniu w przebiegu przewlekłych chorób, chorobach zapalnych nerek, cukrzycy, zaburzeniach rytmu serca.

Nalewka z konopi była więc dość uniwersalnym lekiem, ale nie robiła też wielkiej kariery. Zaczęła ustępować innym środkom (np. aspirynie), bo lekarzom trudno było ustalić standard dla ekstraktów z konopi. Nie znano też wtedy ich głów-

nego, psychoaktywnego składnika – THC, który oddziałuje na receptory w mózgu i wywołuje różne efekty, np. euforię, zmniejszenie bólu czy relaksację mięśni (zostanie wyizolowany dopiero w 1964 r.).

Wkrótce zresztą jej kariera w medycynie zupełnie się skończyła, bo została uznana za substancję nieposiadającą żadnych właściwości leczniczych, za to skrajnie niebezpieczną.

W USA spory udział miały w tym tabloidy wydawane przez prasowego potentata Williama Randolpha Hearsta, które po głośnym skandalu z narkotykami w Hollywood w latach 20. zeszłego wieku rozpoczęły krucjatę antynarkotykową, bo temat rozpałał publiczność. Przedstawiały one marihuanę jako nieznany narkotyk, prowadzący

uzależnionych do popełniania najgorszych i okrutnych zbrodni. Te ostatnie, jak wiadomo, najlepiej sprzedają się w prasie.

Dziennikarze nie byli głupcami, wiedzieli, że trudno będzie skojarzyć okrutne i bezmyślne morderstwa z narkotykami powszechnie znanymi, np. opiatami stosowanymi w lecznictwie czy z kokainą występującą w miksturach drogerijnych, w tym w coca-coli. Dlatego demonizowali marihuanę, która była stosunkowo nowa, przyszła z Meksyku i jej palenie było w tym czasie raczej zwyczajem imigrantów i klas niższych.

Jeśli więc szukamy powodów dla infamii marihuany, najprostsza odpowiedź brzmi: strach przed obcym i nieznanym. Narkotyki, jak ludzi, dzielimy na te nasze

FOT. GETTY IMAGES, JENA ARDELL/GETTY IMAGES

– rodzime, znane i oswojone – oraz te obce, które przynoszą z sobą same zło.

Szef Biura ds. Narkotyków wykorzystał strach przed marihuaną, gdy w latach 30. zaczął kampanię przeciwko narkotykom. W zeznaniach przed Kongresem wymieniał „krwawe akty” – brutalne zabójstwa i gwałty – rzekomo popełniane przez osoby naćpane trawką. To, że marihuana była czynnikiem sprawczym tych przestępstw, uważano za oczywiste, nie potrzeba było żadnych dowodów. „Ile morderstw, samobójstw, rabunków, napaści, napałów, włamań i czynów szaleństwa powoduje każdego roku, można się tylko domyślać” – pisał Anslinger w 1937 r. w „American Magazine” w artykule zatytułowanym „Marihuana, zabójca młodości”.

Jeśli wierzyć amerykańskiej ulotce propagandowej z roku 1935, marihuana to „potężny narkotyk, w którym kryje się morderstwo, szaleństwo i śmierć!”. W tym samym czasie powstał słynny film „Narkotykowe szaleństwo” („Reefer Madness”), opowiadający dramatyczną historię uczniów szkół średnich, którzy zostają zwabieni przez handlarzy narkotyków i po spróbowaniu marihuany wpadają w sidła nałogu, jazzowych imprez i przemocy, cierpią na halucynacje i popadają w szaleństwo, a jeden z nich popełnia samobójstwo.

„Narkotykowe szaleństwo” było już tak przerysowanym obrazem skutków zapalenia trawki, że zaczęło być odbierane jako satyra i parodia, a w latach 70. stało się kultowym filmem w kręgach społeczności hipisowskiej.

Jednym z pierwszych naukowców, który poważnie potraktował marihuanę, był dr Lester Grinspoon, profesor psychiatrii na Harvardzie. Grinspoon zainteresował się konopiami indyjskimi w latach 60., kiedy ich użycie w Stanach Zjednoczonych dramatycznie wzrosło. Jak napisał potem w wydanej w 1971 r. książce „Marihuana Reconsidered”, z początku nie miał najmniejszych wątpliwości, że to bardzo szkodliwy narkotyk, używany przez oglupionych młodych ludzi, którzy nie chcą słuchać, nie rozumieją lub nie wierzą w ostrzeżenia wskazujące na niebezpieczeństwa nałogu.

Zdziwił się, kiedy pod koniec lat 60. słynny popularyzator nauki astronom Carl Sagan, jego przyjaciel, który również wykładał na Harvardzie, zaproponował mu skręta. Ostrzegł go, aby tego nie palił, ale Sagan uśmiechnął się, podał mu skręta i powiedział: „Masz, Lester, zaciągnij się, spodoba ci się, jest nieszkodliwy”.

Dr Grinspoon potraktował to jako wyzwanie. Zagłębił się w przegląd istniejących badań, mając nadzieję, że znajdzie takie, które potwierdzą zagrożenia związane ze stosowaniem marihuany. Odkrył, że XIX-wieczni lekarze przepisywali marihuanę na ból i na sen, ale nie znalazł nic, co potwierdzałoby trwającą od dziesięcioleci historię. W istocie doszedł do wniosku, że to substancja mniej toksyczna i uzależniająca niż alkohol czy tytoń. Jego zdaniem prawdziwym zagrożeniem jest kryminalizacja jej użytkowników.

Stał się wtedy czołowym zwolennikiem legalizacji marihuany, co jednak nie nastąpiło za jego życia. Umarł cztery lat temu, po tym, gdy już została zalegalizowana w Kanadzie, na jej użycie przyzwalało też coraz więcej stanów USA, ale na poziomie federalnym – wciąż była zakazana. I jest zakazana do dzisiaj, choć coraz więcej wskazuje na to, że wkrótce to się zmieni.

Amerykańska prasa niedawno ujawniła dokumenty Departamentu Zdrowia, z których wynika, że eksperci Agencji ds. Żywności i Leków oraz Narodowego Instytutu ds. Narkotyków popierają zmianę statusu marihuany. Ich zdaniem może mieć zastosowania medyczne i nie jest tak ryzykowna ani podatna na nadużywanie jak inne ściśle kontrolowane substancje. Dlatego powinna zostać usunięta z najbardziej restrykcyjnej kategorii narkotyków, gdzie znajduje się teraz m.in. z heroiną czy kokainą.

Eksperci medyczni chcieliby ją przenieść do grupy środków dostępnych na receptę, takich jak ketamina czy testosteron. Ostateczna decyzja należy do Agencji do Walki z Narkotykami (D.E.A.), która jest spadkobiercą Biura ds. Narkotyków Anslingera i póki co, zajmuje nieprzejednaną postawę.

Raport przygotowany dla Departamentu Zdrowia przyznaje, że nadużywanie marihuany faktycznie prowadzi do uzależnienia fizycznego i psychicznego. „Jednak prawdopodobieństwo poważnych skutków jest niskie” – wynika z podsumowania. Za marihuaną ma przemawiać też to, że istnieją naukowe przesłanki dla terapeutycznych zastosowań, w tym leczenia anoreksji, bólu oraz nudności i wymiotów związanych z chemioterapią.

Inny istotny argument brzmi: chociaż marihuana stała się najczęściej nadużywanym nielegalnym narkotykiem, jak na razie nie ujawniły się tak poważne skutki dla zdrowia publicznego, jakie wiążą się z nadużywaniem innych zakazanych substancji.

Kilkanaście lat temu medyczny „Lancet” opublikował analizę szkód, powodowanych przez 20 najpopularniejszych używek i narkotyków, którą – tzw. metodą delficką – przeprowadzili eksperci od uzależnień z psychiatrii, chemii, farmakologii, kryminalistyki, epidemiologii oraz policji. Konopie indyjskie znalazły się na 10. miejscu pod względem szkód społecznych, 11. pod względem potencjału uzależnienia i 17. pod względem szkód fizycznych. Daleko za alkoholem i tytoniem, mimo że od końca XX wieku konopie indyjskie stały się – po tytoniu i alkoholu – trzecią z najczęściej używanych substancji psychoaktywnych.

Według szacunków Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) dziesięć lat temu z tej używki korzystało blisko 200 mln lu-

17

MIEJSCE

• **Na takim miejscu wśród 20 najpopularniejszych używek i narkotyków znalazły się konopie pod względem szkód fizycznych, daleko za alkoholem i tytoniem. Na 11 miejscu pod względem potencjału uzależnienia**

dzi na świecie. Teraz z pewnością już dużo więcej, bo w wielu krajach została ostatnio zdekriminalizowana lub nawet zalegalizowana, jak w tym roku w Niemczech, a tam, gdzie tak się stało, konsumentów przybywało.

W Polsce wciąż grozi kara do trzech lat więzienia za samo posiadanie, ale od pewnego czasu prokuratorzy mają możliwość odstępowania od ścigania za posiadanie niewielkich ilości konopi i często z tego korzystają. Od 2018 r. jest u nas legalna marihuana medyczna. Dekryminalizację posiadania marihuany na własny użytek popiera w sondażach ponad 60 proc. społeczeństwa. Jej ostry zapach można już wyczuć w klubach, na plaży czy na ulicy.

Dwa lata temu raper Mata, złapany za posiadanie marihuany, wołał ze sceny: – Marihuana – cała Polska jest w niej zakochana! I apelował o jej depenalizację.

Po okresie demonizowania konopi łatwo jednak wpaść w odwrotną narrację – upatrywać w konopiach leku na całe zło,

Kasia, lat 37, kierowniczką w agencji eventowej

Blant na receptę

Przez pół roku paliła marihuanę medyczną przepisaną przez lekarza z internetu. Zapłaciła 150 zł za e-wizytę i wypełniła formularz, w którym wymieniła objawy, które chciałaby wyleczyć paląc – a medycznie inhalując – marihuanę.

Wpisała bezsenność, brak motywacji do pracy i wypalenie. Po kilku minutach od wysłania formularza zadzwonił lekarz, by zweryfikować dane. Pytał, czy już miała z marihuaną styczność, dobrał odpowiedni jej rodzaj pod względem stężenia CBD i THC (na bóle i inne symptomy stężenia mogą być kompletne inne).

Receptę wystawia się na 10 gr marihuany (tylko w takiej ilości jest w Polsce dostępna), kosztuje 550-600 zł w zależności od apteki. Czyli tyle, ile na czarnym rynku, a produkt jest o wiele bardziej bezpieczny (nie ma obaw o domieszki, pochodzenie czy jakość suszu).

Kasia naprawdę nie mogła spać. Ale czy można zrelaksować się, żeby zdobyć legalne zioło? W końcu w internecie trudno jest skontrolować, czy każdy otrzymuje receptę zasadnie. – O symptomach można powiedzieć co tylko się chce i nikt tego nie sprawdzi – przyznaje.

Czy marihuana jej pomogła? Na początku tak. – Przez pierwsze dwa-trzy miesiące nie mogłam w ogóle zasnąć bez kilku machów. Potem starałam się ograniczać palenie, bo potrzebowałam przerwy i używałam tylko co kilka dni. 10 gr wystarczyło mi na pół roku, choć wiem, że niektórym całe opakowanie starcza tylko na miesiąc.

Kasia marihuany medycznej używała nie tylko przed snem, ale też imprezowo, w sytuacjach towarzyskich, dla relaksu. Tak paliła marihuanę już wcześniej, raz-dwa razy w miesiącu, od czasów studiów. Ale zwykle tylko częstowała się skretem – własne pieniądze zainwestowała po raz pierwszy dopiero w medyczną. Raczej nie łączy jej nigdy z alkoholem – to oznacza ryzyko zbyt szybkiego zaśnięcia.

Na dłuższą metę marihuana nie była jednak rozwiązaniem na bezsenność. Kasia wciąż ma problemy, jeśli zмага się ze stresem. Marihuana pomaga tylko na chwilę. – Da się wyłączyć myślenie i zrelaksować. Ale to oczywiście nie oznacza rozwiązane problemu.

Wolała marihuanę od leków, bo w nie nie wierzy. I uważa, że to chemia, a marihuana jest naturalna (z tego powodu nigdy nie próbowała też twardych, syntetycznych narkotyków). Z kolei psychoterapia by trwała nawet kilkanaście tygodni, jedno spotkanie kosztowałoby 200 zł. Co najwazniejsze, Kasia potrzebowała pomocy na natychmiast, bo była udręczona bezsennością i marzyła, by wreszcie się wyspać.

Zauważyła, że w jej otoczeniu więcej ludzi teraz pali marihuanę niż pije alkohol. – Widać trend niepicia i przerzucania

się na zioło, bo dzięki legalizacji marihuany medycznej dostęp jest zdecydowanie większy i łatwiejszy.

Jedna recepta ułatwia używanie. Zdobywa się zaświadczenie od lekarza, że jest się w trakcie terapii konopiami i dostaje na nie specjalne pudełko. Można wtedy zapalić nawet stojąc koło policjanta. Osoby, które wcześniej ograniczały palenie, bo się bały, że zostaną przyłapane z suszem, dzięki marihuanie medycznej już bać się nie muszą.

Gdy ta się skończy, wiele osób zachowuje pudełko i jeśli nie ma kolejnej recepty wkłada do niego zioło z czarnego rynku. Gdyby policjant chciał się przyczepić do posiadania, musiałby się naprawdę uprzeć, by wysłać susz do badania i sprawdzić legalność pochodzenia. – Chyba bardzo rzadko się to zdarza – mówi.

Według niej ludzie wolą palić, bo po marihuanie nie ma kaca czy zjazdu. Nie jest się po niej wyłączonym z życia na część dnia, a co najwyżej zamulonym na kilka godzin. Raczej nie doskwierają lęki. Nie wchodzi agresja, łatwiej kontrolować swoje zachowanie. – Wchodzi tylko relaksacja i się utrzymuje. Poza tym marihuana jest modna – mówi Kasia.

Edyta Bryła



recepty na wszelkie bóle i schorzenia nękające ludzkość.

Amerykańskich specjalistów niepokoi to, że popularność marihuany rekreacyjnej rośnie zwłaszcza wśród osób młodych, a przedstawiana jest ona jako „zdrowa” alternatywa do picia alkoholu czy palenia tytoniu. – To, że może być zdrowsza od alkoholu, nie oznacza, że jest zdrowa – ostrzegają.

Rekreacyjne używanie marihuany zostało już zalegalizowane w 24 stanach, także w Waszyngtonie (stołecznym Dystrykcie Kolumbii), które w sumie obejmują ponad połowę populacji USA. Sklepy z trawką wyrastają w amerykańskich miastach jak grzyby po deszczu, a sprzedaż produktów z konopi staje się poważną częścią gospodarki.

Pozytywną tego stroną jest to, że naukowcy mogą wreszcie prowadzić badania – i najnowsze analizy sugerują, że nie ma róży bez kolców. Palenie trawki, jeśli stanie się powszechne, może na przykład być no-

wym czynnikiem ryzyka prowadzącym do zgonów z powodu chorób układu krążenia.

Tak wynika z dużego badania opublikowanego w „Journal of the American Heart Association”, które oceniało skutki wzrostu spożycia marihuany w USA. Analizowano dane od ponad 400 tys. Amerykanów, z którymi Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom (CDC) co roku przeprowadza wywiady dotyczące zachowań ryzykownych. Wyniki dotyczą ankiet z lat 2016-20. Analiza wykazała, że wśród osób, które nigdy nie paliły tytoniu i nie używały e-papierosów, codzienne zażywanie konopi indyjskich było związane z wyższym o 49 proc. ryzykiem zawału i niemal dwa razy wyższym ryzykiem udaru.

To właściwie nie powinno zdziwić, bo trzy czwarte respondentów w tym badaniu twierdziło, że ich główną metodą zażywania marihuany jest palenie (reszta wapowała lub przyjmowała THC w ciastkach, żelkach czy napo-

jach). A jest pewne, że dym z konopi indyjskich uwalnia te same toksyny i cząstki stałe, co tytoń. – Wdychanie dymu do płuc to zawsze jest zły pomysł – mówi pierwsza autorka badania, Abra M. Jeffers z Massachusetts General Hospital w Bostonie.

Porównywanie szkodliwości palenia tytoniu i marihuany nie jest proste ze względu na różne wzorce konsumpcji. Ludzie zwykle wypalają więcej papierosów dziennie, ale użytkownicy marihuany mają tendencję do głębszego zaciągania się marihuaną i trzymania jej dłużej w płucach.

Mało się o tym mówi, ale jednym z większych problemów zdrowia publicznego może stać się powszechny zwyczaj mieszania tytoniu z marihuaną, bo w wyniku tego młodzi ludzie uzależniają się od nikotyny. A palenie papierosów jest główną przyczyną zgonów, której można zapobiec.

Użytkownicy marihuany mają także znacznie wyższy poziom ołowiu i kadmu we krwi i moczu w porównaniu z tymi, którzy nie palą. Podobnie zresztą jak palacze tytoniu, ale to akurat wiadomo od dawna. Szczegółowe wyniki można znaleźć w piśmie „Environmental Health Perspectives”.

W konkluzji tej publikacji naukowcy piszą, że marihuana może być ważnym i niedocenianym źródłem narażenia na ołów i kadm, a jej długotrwale używanie może przyczyniać się do niekorzystnych skutków zdrowotnych związanych z chroniczną ekspozycją na metale w niskim stężeniu. Tą groźbę zapewne można ograniczyć, poddając odpowiednim regulacjom i kontroli uprawy konopi oraz produkty, zawierające kannabinoidy.

Niedawno w „Canadian Medical Association Journal” ukazała się analiza oceniająca skutki liberalizacji prawa w Kanadzie, która w październiku 2018 r. stała się pierwszym krajem z grupy G20, legalizującym użycie marihuany w celach rekreacyjnych dla dorosłych. Dane wskazują, że dorosłych zażywających marihuanę nieco przybyło (z 22 proc. w 2017 r. do 27 proc. w 2022 r.), ale u młodzieży nie zanotowano wzrostu (tyle że już przed legalizacją z narkotykiem miało kontakt aż blisko 50 proc. nastolatków).

Jednym z istotnych efektów legalizacji okazał się wzrost liczby pacjentów, którzy zgłaszają się na oddziały ratunkowe ze względu na problemy związane z nadużyciem marihuany. To może jednak po prostu oznaczać, że ludzie przestali się bać prosić o pomoc medyczną. Innym efektem był wzrost zatruc konopiami u dzieci w wieku do 9 lat, szczególnie w prowincjach, które zalegalizowały również sprzedaż produktów spożywczych z konopiami.

Jak mówi dr Nora Volkow, dyrektorka Krajowego Instytutu ds. Narkotyków, także w USA wraz ze wzrostem spożycia konopi indyjskich nastąpił wzrost liczby niepożądanych skutków ich nadużywania, takich jak uzależnienia, problemy z oddychaniem, wypadki spowodowane odurzeniem, czy psychozy. Można to dopisać do listy znanych od dawna negatywnych skutków, które wiążą się z przewlekłym stosowaniem marihuany: kłopotów z pamięcią i koncentracją, zaburzeniach snu czy brakiem motywacji i apatią.

Zwolennicy konopi indyjskich często twierdzą, że one nie uzależniają, czasem można usłyszeć: „palilem zioło codziennie przez 30 lat, a potem po prostu rzuciłem bez żadnych problemów”. Ale to tylko anegdotyczne przypadki. W literaturze naukowej są opisane różne objawy odstawienia: agresja, złość, drażliwość, lęk, bezsenność, anoreksja, depresja, niepokój, bóle głowy, wymioty, ból brzucha. Niedawna metaanaliza opublikowana w JAMA podaje, że zespół odstawienia konopi indyjskich dotyka „47 proc. osób regularnie zażywających lub uzależnionych od kannabinoidów”.

To ma sens, bo podobnie jak w przypadku wielu innych leków, jeśli ktoś zażywa codziennie marihuanę, to naturalne receptory, dzięki którym ten związek działa na



POLEK I POLAKÓW

• **popiera dekryminalizację posiadania marihuany na własny użytek**

organizm, ulegają wysyceniu. Stale stymulowany organizm uczy się tolerować substancję. Kiedy ją nagle odstawimy, potrzeba czasu, aby odpowiedź receptorów wróciła do poziomu wyjściowego. W międzyczasie mózg i ciało odczuwają „głód” tych substancji, czego skutkiem są objawy odstawienia.

– Ale one na ogół są łagodne, nie zagrażają życiu ani nie są groźne z medycznego punktu widzenia – zapewnia dr Peter Grinspoon, lekarz podstawowej opieki zdrowotnej, specjalista od konopi indyjskich w Massachusetts General Hospital w Bostonie. Ostrzega jednak, że zażywanie konopi indyjskich może szkodzić zdrowiu, zakłócać relacje lub utrudniać wykonywanie pracy. – Wtedy prawdopodobnie nadszedł czas, aby rzucić palenie lub drastycznie je ograniczyć, a także skonsultować się z lekarzem, jeśli potrzebujesz wsparcia, aby przetrwać nieprzyjemne objawy – mówi lekarz.

Marihuana ma stosunkowo dobry profil bezpieczeństwa, nie są znane bezsporne przypadki zgonów z powodu pochłonięcia nadmiernej dawki TCH (w przeciwieństwie np. do popularnych niesteroidowych leków przeciwzapalnych). Uchodzi za substancję, której nie da się śmiertelnie przedawkować, choć – oczywiście – w zbyt dużej dawce może zaszkodzić. To środek odurzający, który upośledza zdolność oceny sytuacji czy sprawność psychomotoryczną, co może prowadzić do niebezpiecznych sytuacji.

Jeden joint za dużo może sprawić, że poczujesz się bardzo niekomfortowo. Serce zaczyna bić szybciej, skacze ciśnienie (co może się źle skończyć dla tych, którzy mają kłopoty sercowo-naczyniowe), ręce wpadają w drżenie i pojawia się niepokój, zaburzenia równowagi, zawroty głowy, dezorientacja. Czasem pojawiają się też ataki paniki czy reakcje psychotyczne, podczas których traci się kontakt z rzeczywistością, występują halucynacje czy urojenia. Trzeba jednak dodać, że te działania niepożądane mają z reguły charakter przemijający.

Jednym z nielicznych poważnych problemów zdrowotnych jest tzw. zespół niepowściągliwych wymiotów wywołanych kannabinoidami (Cannabis Hyperemesis Syndrome – CHS). To stan charakteryzujący się intensywnymi nudnościami, wymiotami i bólami brzucha związanymi z intensywnym, długotrwałym używaniem marihuany. Dokładna przyczyna nie jest znana, ale uważa się, że wynika ona z nadmiernej stymulacji układu endokannabinoidowego i jelit.

W tym kontekście coraz większe obawy jednak rodzą dwa zjawiska. Po pierwsze, systematyczny wzrost stężenia THC w odmianach uprawianych konopi i spożywanych produktach. Analiza próbek skonfiskowanych przez amerykańską Agencję ds. Walki z Narkotykami (DEA) na przestrzeni dwudziestu lat wykazała, że stężenie THC w konopiach wzrosło co najmniej trzykrotnie od 1995 r. Skręty palone w latach 70. zawierały zwykle susz z 3-procentową zawartością THC, a obecnie stężenie

w konopiach przekracza już 15 proc. Niektóre koncentraty z marihuany – stosowane np. w waporyzerach – zawierają nawet 90 proc. THC. To prawdopodobnie zwiększa prawdopodobieństwo przedawkowania i nadużywania.

Drugie ryzyko związane jest z syntetycznymi kannabinoidami, występującymi pod wieloma nazwami (m.in. Spice czy K2), które mają symulować działanie THC, ale o ich bezpieczeństwie czasem niewiele wiadomo. Szczególnie zagrożone są dzieci, które mogą przypadkowo połknąć ciasteczka i inne smakołyki zawierające superskoncentrowane dawki THC.

Amerykański krajowy system danych o zatruciach notuje coraz więcej zgłoszeń związanych z artykułami spożywczymi i napojami z konopi indyjskich, przy tym aż jedna czwarta z nich dotyczy dzieci poniżej piątego roku życia. THC powodowało u nich senność, brak koordynacji, a czasem zakłócało oddychanie, co może potencjalnie zagrażać życiu. Dzieci nie są małymi dorosłymi – ich ciała inaczej reagują na narkotyki.

Inną narażoną grupą są nastolatki, bo marihuana jest drugą – po alkoholu – najczęściej używaną substancją odurzającą w okresie dojrzewania. Amerykańskie badania pokazują, że studenci, którzy codziennie nadużywają konopi indyjskich, mają zaburzone funkcje poznawcze, kłopoty z uwagą, pamięcią i uczeniem się.

Badania pokazały podobny wpływ nadużywania alkoholu i regularnego nadużywania konopi indyjskich. W obu wypadkach uczniowie opuszczali zajęcia, częściej byli senni, mieli zaburzenia uwagi i koncentracji, bywali bardziej drażliwi, mieli większe problemy z motywacją do angażowania się w zajęcia, wytyczaniem planów na przyszłość, czy realizacją zobowiązań. Generalnie też osiągalni gorsze wyniki w nauce. Ale, zaznaczymy, nie jest jasne, czy zażywanie konopi indyjskich lub alkoholu powodowało te kłopoty, czy też na odwrót – pewne cechy osobowościowe skłaniają do nadużywania używek.

Przeciwnicy legalizacji marihuany od lat używają argumentu, że może ona być pierwszym krokiem do zażywania twardych narkotyków, takich jak kokaina, morfina czy heroina. Pozornie może tak wyglądać, bo niektóre badania sugerowały, że używanie marihuany poprzedza rozwój uzależnienia od innych narkotyków. W jednym z badań – na które powołuje się amerykański Krajowy Instytut ds. Nadużywania Narkotyków – ci, którzy wcześniej zgłaszali używanie marihuany, potem częściej niż inni mieli kłopoty z alkoholem. Używanie marihuany zostało również powiązane z uzależnieniem od nikotyny. Tyle że prawdą jest także, że większość osób używających marihuany nie sięga później po inne, twardsze narkotyki. Najprawdopodobniej jest tak, że osoby bardziej podatne na uzależnienie od narkotyków po prostu częściej zaczynają od łatwo dostępnych substancji, takich jak marihuana, tytoń czy alkohol, zanim znajdą sposobność do wypróbowania innych narkotyków.

Potrzebne są jednak, jak zwykle, szersze badania, aby w tym temacie postawić kropkę nad i.

Inną powszechną obawą jest potencjalny związek między używaniem marihuany a zdrowiem psychicznym, zaostreniem istniejących stanów lękowych, depresyjnych i psychotycznych. Kilka badań wykazało korelację między codziennym używaniem konopi indyjskich, zwłaszcza konopi o dużym stężeniu THC, a zwiększonym ryzykiem rozwoju zaburzeń psychotycznych, m.in. schizofrenii. U osób z diagnozą schizofrenii używanie konopi zwiększa ryzyko zaostrenia istniejących objawów, a także nawrotu choroby. Ale także tu badania nie są konkluzywne w kwestii, co jest przyczyną, a co skutkiem.

To samo dotyczy tego, czy palenie marihuany czyni nasz bardziej empatycznymi i towarzyskimi. Tak sugerowałyby jej

Dominika, 42 lata, specjalistka ds. PR

Nie chowam się ze skretem przed dziećmi

Palą głównie mężczyźni, głównie marihuanę medyczną.

W moim otoczeniu palą prawie wszyscy prawnicy i większość osób z kadry managerskiej.

Palą zamiast brać antydepresanty, bo uważają, że marihuana działa na nich lepiej. Dostają receptę od lekarza albo kupują ją w internecie.

Psychiatrzy przepisują marihuanę głównie osobom, które już wcześniej miały doświadczenie z paleniem, była już w ich życiu. Rzadko zamiast leku używają jej osoby, dla których palenie to nowość.

Ludzie, którzy palą po 40-tce, zwykle już w szkole mieli z tym do czynienia. Teraz do tego wracają, ale palą inaczej. To nie ćpanie czy nałóg. To nie tak, że ludzie się spotykają i jarają do czerwonych oczu i ścięcia z nóg. O ile wcześniej na marihuanie nie popłynęli i mieli normalne, zdrowe życia, teraz też nie zawałają. Nie ma w ich paleniu wielkiego halo, emocji, wyczekiwania, żeby się ujarą. To uśmierzacz trudu dnia, kilka buchołów na rozluźnienie zamiast drinka. Nie chodzi o to, by oderwać się od rzeczywistości. Normalnie się potem funkcjonuje.

Dzieci wiedzą. Raz moja córka była zaskoczona, że wujek pali, więc jej tłumaczyłam, że to nie narkotyki, tylko lek. Powiedziała: „no tak, słyszałam”. Poza tym nie robi to na dzieciach większego wrażenia, zwłaszcza gdy dorośli nie robią z palenia tabu, traktują je jako normalność. Ja też, jak wyjeżdżam z rodziną na wakacje, nie chowam się ze skretem po kątach, tak jak nie chowam kieliszka wina. Przed dziećmi dorośli prędzej ukrywają się teraz z papierosem niż z blantem.

Zresztą jedno i drugie to już u mnie rzadkość. Kilka skrętów mam w domu zawsze, ale sięgam po nie może raz, dwa razy w miesiącu. Na przykład jak nie mogę zasnąć.

Samo w sobie palenie nie sprawia mi już aż takiej przyjemności. Żeby ona była, raczej trzeba palić bardziej regularnie. ●
Edyta Bryła



działanie uspokajające i uśmierzające lęk. W jednym z badań użytkownicy konopii rzeczywiście uzyskiwali wyższe wyniki w części testu oceniającego zdolność do zrozumienia stanu emocjonalnego innych osób. Mieli też większą aktywność w obszarach mózgu związanych z emocjami i empatią. Opublikowane w 2022 r. badanie dotyczące zachowań prospołecznych również sugeruje potencjalne pozytywne skutki marihuany. W badaniu wzięli udział studenci, którym mierzono poziom w moczu, a potem wypełniali kwestionariusz oceniający ich zachowania prospołeczne, empatię i moralność. Ale te badania pokazują tylko korelację, nie dowodzą związku przyczynowo-skutkowego. Być może ludzie, którzy mają większą empatię, częściej sięgają po konopie.

Może istnieć jeszcze inny powód, jakaś cecha osobowości lub różnica w doświadczeniach życiowych, która powoduje, że ludzie zażywają marihuanę i są empatyczni. Nie ma wystarczających dowodów, aby przypisać to samej używce.

Z pewnością mitem są twierdzenia z propagandowych filmów z lat 30. zeszłego wieku, że najspokojniejszy człowiek może zmienić się w psychopatycznego zabójcę lub gwałciiciela po zapaleniu jointa. Nigdy nie udowodniono żadnego związku łączącego takie przestępstwa z samym nadużywaniem marihuany, a psychiczny wpływ konopi jest zwykle bardziej kojarzony z pacyfizmem i brakiem aktywności niż z agresją. Badanie z 2014 r. pokazało, że w rodzinach, w których mąż i żona palą marihuanę, jest mniej aktów przemocy wobec partnera czy partnerki.

Z drugiej strony badania klasy robotniczej na Jamajce, gdzie wyznawcy rastafarianizmu mogą legalnie posiadać marihuanę, a jej uprawa jest legalna, nie wykazały różnic we wskaźnikach przestępczości pomiędzy użytkownikami i nieużywającymi konopi indyjskich.

W kwestii marihuany trzeba starannie oddzielać bezsporne fakty od tego, co się nam wydaje, bo wciąż jesteśmy pod wpływem uprzedzeń i stereotypów.

Na przykład wielu użytkowników konopi jest przekonanych, że narkotyk nie tylko poprawia nastrój, ale także zwiększa kreatywność. Steve Jobs mawiał, że marihu-

Piotrek, 36 lat, dziennikarz

Rozregulowałem się

W słabszym okresie paliłem nawet pięć razy w tygodniu. Zwłaszcza w czasie pandemii, bo mocno mnie wymęczyła. To była marihuana medyczna, dostawałem od znajomego. Palilem w weekendy, w tygodniu, towarzysko, sam. Łatwiej mi było potem spać.

Byłem już wtedy w psychoterapii, ale chyba nie trafilem dobrze. Mówiłem, że dużo palę, a psychoterapeutka to zbagatelizowała. Powiedziała, że jeśli to medyczna marihuana, to mi nie zaszkodzi.

Wydawało mi się, że paląc funkcjonowałem całkiem spoko, teraz wiem, że niekoniecznie. Nie miałem już satysfakcji z robienia rzeczy, które wcześniej dawały mi radość. Rozregulowałem się. Nawet nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że to może wynikać z palenia.

W ogóle mam wrażenie, że okres pandemii to był jakiś narkotykowy szal i wciąż czuć tego efekty. Teraz nawet na niektórych festiwalach są oznaczone miejsca, gdzie można skrócić jointa. Chyba na większości tych „świadomościowych” festiwalach narkotyki są otwarcie dostępne.

Masz na przykład w programie ceremonię kakao, co oznacza picie wywaru z grzybków lub innych ciekawych ro-

ślin. Więc z głupim jointem tam na pewno nikt się kryje.

Odstawiłem trawę na koniec zeszłego roku, bo mi się znudziła. Wiedziałem już aż za dobrze, co się stanie jak zajaram, jak się będę czuł. Za dużo było w tym rutyny. Po drugie, raz zadzwoniła do mnie znajoma, bo miała stany lękowe po tym, jak zapaliła zioło. Dało mi to wtedy do myślenia.

Nie zastąpiłem trawy żadną inną używką. Staram się teraz wypełniać czas inaczej, choćby chodzić z psem na dłuższe spacer, choć to wyzwanie, bo pies ich nie lubi.

W moim towarzystwie pali się bardzo dużo. Dlaczego? Bo życie ciężkie, a trawa daje poczucie najszybszego odreagowania. Żeby osiągnąć to samo w zdrowszy sposób, przez aktywność fizyczną czy choćby czytanie książki, trzeba się bardziej postarać.

Konopna propaganda mnie drażni. W ostatnich latach, na fali legali-

zacji marihuany medycznej, trawka miała bardzo dobry PR – za dobry. To nie jest tak, że trawa na pewno ci nie zaszkodzi. To znaczy nie powiedziałbym, że robiła mi krzywdę. Ale pożytek też był średni. Dawała uludę, że pomaga. Nie jest to realne rozwiązanie.

Byłem w USA, gdy w jednym stanie zalegalizowano marihuanę. Panowała atmosfera wielkiego święta. W miastach ludzie się zbierali, by o północy legalnie zapalić. Świętować, że przysła normalność wreszcie. Ale nie zapominajmy, że to przecież nadal narkotyki.

Uważam, że powinno się zioło zalegalizować, ale mówmy szczerze o negatywnych konsekwencjach. A dziś nie modnie jest je krytykować, bo jest zbyt cool.

Jak kto pije w bramie alkohol, to jest żulem. A jak ktoś pali, to czemu nie, dajcie im, nudziarze, spokój. ●

Edyta Bryła



47

PROC.

• osób regularnie zażywających lub uzależnionych od kannabinoidów dotyczą objawy odstawienia, w tym agresja, złość, drażliwość, lęk, bezsenność, anoreksja, depresja, niepokój, bóle głowy, wymioty, ból brzucha

ana i haszysz czynią go „zrelaksowanym i kreatywnym”, Carl Sagan wierzył, że konopie indyjskie pomagały mu osiągać „spokój i wgląd”, Lady Gaga przyznała, że podczas komponowania muzyki pali „dużo trawki”, a Louis Armstrong nazywał marihuanę „asystentem i przyjacielem”.

Ale badania przeprowadzone niedawno na Uniwersytecie Waszyngtońskim tego nie potwierdziły. Konopie poprawiają nastrój, to prawda, ale nie kreatywność. Naukowcy przeprowadzili test kreatywności w grupie uczestników, którzy byli trzeźwi i na haju. Kto wygrał? Ci, którzy byli pod wpływem narkotyku, czuli się świetnie i mieli poczucie, że ich pomysły są wspaniałe, genialne i bardziej kreatywne, ale niezależni jurorzy, którzy nie wiedzieli, kto zażywał marihuanę, a kto nie, mieli inne zdanie.

W innym z badań, w którym brało udział ponad 700 studentów studiów licencjackich, regularni użytkownicy konopi osiągnęli jednak lepsze wyniki w teście mierzącym myślenie konwergentne, czyli jeden z aspektów kreatywności, pozwalający na znajdowanie rozwiązań problemów. Ale naukowcy ustalili, że ci sami uczniowie zazwyczaj w teście osobowości wykazywali także cechę otwartości – co oznacza, że

Marihuana to nie lekarstwo

Czasem palą, żeby nie pić

Anna Prokop,
terapeutka uzależnień

Wyniki badań ścieków pokazują, że coraz więcej dostymulujemy się, czy też regulujemy, marihuaną. Poszukujemy drogi na skróty, na podwiezienie do oczekiwanych efektów, czyli szybkiego relaksu. W sposób naturalny trzeba na stan relaksacji zapracować, skontaktować się z przyrodą, pomedytować. Ale mało komu się chce czekać dłużej, aż to uczucie przyjdzie.

To charakterystyczne, że przez 20 lat nie miałam tak wielu pacjentów i pacjentek w jednym roku, które przyszłyby z objawami związanymi z używaniem marihuany i objawami uzależnienia. Dlaczego tak się dzieje? W pracy jest rywalizacja, pogon, presja, by nie wypaść z gry, zrobić więcej w tym samym czasie, co kiedyś. Czasem marihuany zaczynają używać nawet oporni, którzy wcześniej byli jej niechętni. Ale jeśli inni trzymają tempo dzięki

stymulowaniu się nią, to można się zainspirować.

Wiele osób używa marihuany medycznej zamiast leków na depresję czy bezsenność, ale ona lekiem nie jest. Jeśli bierzemy leki przepisywane przez psychiatrę, leczenie to dłuższy proces, związany z pewnym cyklem. Nie używa się ich doraźnie, jak marihuany. Używający czasem zaczynają palić, żeby nie pić.

Zauważają, że alkohol bardziej im szkodzi, funkcjonują po nim gorzej. Widzą, że jeśli będą się nim nadmiarowo regulować, szybciej odpadną. Koszt jest mniejszy. Po wieczornym skrócie łatwiej się wstaje. Ale niektórzy palą nawet na pracy zdalnej.

Chodzenie na skróty co do zasady jest złe albo przynajmniej ma swój koszt. To jak branie pieniędzy na kredyt. Nie żyjemy w raj, tylko w świecie, gdzie zawsze coś jest za coś. Ale niższe koszty czy skutki używania marihuany odczuwają osoby dojrzałe, dobrane radzące sobie z wyrzutem dopaminy. Jeśli jest się już roz-

winiętym człowiekiem i ma się pewną odpowiedzialność w sobie, a także zna się zdrowe drogi do korzystania z życia, wtedy jest mniejsze ryzyko, że sobie zaszkodzimy. Ale używanie przez osoby z niedojrzałą psychiką (nie mylić z małoletnimi), może doprowadzić do uzależnienia psychicznego.

Jeśli marihuany nie nadużywamy, prawdopodobnie nie doświadczymy drastycznych, negatywnych konsekwencji. Badania pokazują, że ogromna jest skala przestępstw i zgonów związana z alkoholem i papierosami, nie z marihuaną. Nie łączy się jej z żadnymi drastycznymi skutkami na dużą skalę, a przynajmniej danych jest na to bardzo mało.

Wszystko jest dla ludzi, ale żeby używać marihuany, trzeba mieć rzetelną wiedzę. A ona często jest zafalszowywana. Pewne fakty są pomijane, opisywane skutki zbledzane, a to może się przekładać na nadmierną bez troskę. Nie ma sensu zakłamywać korzyści z używania marihu-

any, ale negatywne konsekwencje i ryzyko też występują i trzeba o nich mówić.

Nagminne stosowanie może być niebezpieczne u wszystkich. Z resztą nie tylko nagminne. Dlaczego? Nigdy nie wiadomo, kiedy używka zadziała nie tak, jak się spodziewamy i na przykład uruchomi w nas stan przedpsycho-tyczny. Mam pacjenta, młodego przedsiębiorcę, który palił marihuanę od czasu do czasu, towarzysko. Nigdy nie odczuwał skutków ubocznych, aż po jednym razie przez dłuższy czas miał problem, by wrócić do rzeczywistości. Miał kłopoty z koncentracją, pamięcią, odnalezieniem się wśród innych. Zaczynał mieć zaburzenia lękowe.

Czasem nie chodzi o samą marihuanę, ale o to, jak susz jest obrabiany, w czym moczony w procesie produkcji. To mogą być niebezpieczne substancje, ale na czarnym rynku kupuje się kota w worku. Używanie byłoby na pewno bezpieczniejsze, gdyby marihuanę zalegalizować.

Ostrożnym trzeba być nawet przy używaniu CBD. Mówi się, że tylko THC może uaktywniać psychozy, a mam osobę w terapii, która po kilku miesiącach stosowania olejku CBD też wpadała w stany przedpsychotyczne. Odczuwała odrealnienie, traciła kontakt z rzeczywistością. Potrzebowała rehabilitacji i cierpliwości, żeby mózg powrócił do normalnego stanu. CBD to nie substancja psychoaktywna, ale nie ma przekonywujących badań potwierdzających, że na pewno nie może się stać od niego żadna krzywdą. Nie chodzi o to, żeby straszyć, ale nie idealizowałabym środka, który wpływa na nastrój, nawet jeśli nie daje haju. ● Edyta Bryła

• Centrum e-Zdrowia podało latem 2023 roku, że od 1 stycznia 2019 roku do 13 czerwca 2023 roku sprzedano łącznie 2 147 229 gramów konopi medycznych, ponad dwie tony. W tym okresie wydano 268 735 recept dla 101 515 pacjentów, z czego aż 210 883 recepty zostały zrealizowane.

byli bardziej skłonni do poszukiwania nowych doświadczeń, co samo w sobie było powiązane z kreatywnością. Kiedy badacze uwzględnili cechy osobowości, związek konopi z kreatywnością nie był już widoczny.

Okazało się po prostu, że osoby otwarte na doświadczenia częściej używają konopi indyjskich, a także są bardziej kreatywne. A same konopie prawdopodobnie mogą wpływać na kreatywność zarówno w pozytywny, jak i negatywny sposób. Na przykład mogą łagodzić stres i niepokój, co pomaga niektórym osobom w procesie twórczym.

Zwolenników marihuany z pewnością ucieszy jedno – jedno z ostatnich badań, opublikowane w styczniu 2023 r., dowodzi, że marihuana rzeczywiście jest afrodyzjakiem i pozytywnie wpływa na satysfakcję seksualną. Wykazano to na próbie 811 uczestników w wieku od 18 do 85 lat (!). Jedna czwarta identyfikowała się jako LGBT+. Większość deklarowała bycie w monogamicznym związku seksualnym. Ponad 70 proc. uczestników zgłosiło zwiększone pożądanie i intensywność orgazmu. Zgłaszali, że marihuana zwiększała też przyjemność podczas masturbacji. Naukowcy sugerują, aby rozważyć wykorzystanie konopi indyjskich w leczeniu dysfunkcji seksualnych, zwłaszcza u kobiet.

Klimat polityczno-społeczny obecnie sprzyja marihuanie. Panuje zgoda, że można traktować marihuanę tak jak alkohol, to jest pozwalać odpowiedzialnym dorosłym na jej użycie w celach rekreacyjnych, pod warunkiem że robią to w sposób bezpieczny, nie prowadzą pojazdu, nie są w pracy pod jej wpływem.

Ale liczba badań dotyczących długoterminowego wpływu marihuany, zwłaszcza na zdrowie mózgu, wciąż nie jest zbyt obszerna. Nikt nie wie, jakie będą efekty długotrwałego działania na mózg nowych jadalnych produktów o bardzo wysokich stężeniach THC. Nikt nie wie, jak się zmieni społeczeństwo, w którym liczba użytkowników zwiększy się kilkunastokrotnie. I nie będą oni wypalać skręta od czasu do czasu, tylko codziennie zjadać się coraz mocniejszą marihuaną. Istniejące badania mają ograniczenia w zakresie testowania potencjalnie ważnych parametrów używania konopi indyjskich, takich jak dawka i odmiana.

– Wiele domysłów, jakie mamy na temat skutków konopi indyjskich, może być nieprawdziwych – zauważa prof. Mike Barnes, brytyjski neurolog. – Nie powinniśmy więc za bardzo się do nich przywiązywać, powinniśmy prowadzić badania.

Raport ws rekreacyjnego spożywania marihuany, sporządzony przez ekspertów WHO wymienia następujące obszary, wymagające dalszych badań:

- Jaka jest typowa dawka THC wchłanianą przez regularnych użytkowników konopi indyjskich i czy stosowanie silniejszych produktów wpływa na wzrost tej dawki;
- Czy produkty o wyższej zawartości THC wywołują więcej niekorzystnych skutków zdrowotnych;
- Czy zmiany neurobiologiczne, zwłaszcza zaburzenia funkcji poznawczych, są odwracalne w przypadkach mocnego i przewlekłego nadużywania marihuany;
- Jak szybko po odstawieniu konopi indyjskich wraca sprawność psychomotoryczna i poznawcza;
- Jak zażywanie konopi wpływa na zdolność od prowadzenia pojazdów, przyczynia się do wypadków drogowych i innych rodzajów obrażeń;
- Jaki jest wpływ regularnego, długotrwałego używania konopi na ryzyko rozwoju raka przewodu pokarmowego i płuc;
- Czy długotrwałe używanie konopi przyczynia się do wzrostu ryzyka zaburzeń psychicznych, w szczególności schizofrenii, depresji i choroby afektywnej dwubiegunowej;
- Jak nadużywanie i regularne spożywanie konopi wpływa na myśli i próby samobójcze. ●

Najpiękniejsze krowy świata

Wzbudzają wątpliwości nawet u zadeklarowanych mięsożerców

Przemysław Urbańczyk

Pałac królewski Rukari-Nyanza jest obowiązkowym punktem na trasach wszystkich turystów objeżdżających Rwandę. To, co widzimy tam dzisiaj, jest wprawdzie repliką z 2006 r., ale zbudowaną w tym samym miejscu i z takich samych materiałów. Pieczołowicie odtworzone założenie z trzema budynkami i ich wyposażeniem pozwalają łatwo wczuć się w „królewskość”, jakże inną od wyobrażeń europejskich.

Powstałym w XV wieku królestwem Rwandy rządili dziedzićni władcy (*mwami*) z dynastii Banyarwanda, którzy wraz z dworem cały czas przemieszczali się po kraju, zamieszkując w rozsianych siedzibach monarszych. Ten, znany ze średniowiecznej Europy, „objazdowy” sposób rządzenia państwem, będącym faktycznie federacją wielu plemion, nie mógł być skuteczny w konfrontacji z ekspandującymi mocarstwami europejskimi, które w XIX w. bezwzględnie dzieliły Afrykę między siebie.

W 1890 r. Rwanda stała się (za zgodą Wielkiej Brytanii) częścią Niemieckiej Afryki Wschodniej, która objęła też Burundi i Tanganikę, sięgając tym samym wybrzeży Oceanu Indyjskiego. Król Musinga Yuhi V nie tylko nie próbował stawiać oporu tej inwazji, ale oportunistycznie wykorzystywał wojsko i administrację kolonialną do umocnienia swojej władzy. Nie bojąc się już buntu prowincji, w 1899 r. na stolicę państwa wyznaczył właśnie Nyanzę, koło której zamieszkał na stałe.

Wymagało zbudowania godnej władcy siedziby. Wprawdzie budynki trzcinowe nie korelują z europejskimi wyobrazeniami królewskiego majestatu, ale ich wielkość imponowała jego poddanym mieszkającym w niewielkich chatkach. Pałac wypełniony kolorowym tłumem dworzan stał się politycznym centrum, w którym król egzekwował władzę zabezpieczaną przez administrację kolonialną – nieliczną, ale dysponującą skutecznym potencjałem interwencyjnym.

Jednym ze skutków klęski cesarstwa niemieckiego w I wojnie światowej była likwidacja przyznanych mu wcześniej kolonii afrykańskich. Traktatem wersalskim Rwanda przypadła Belgii jako terytorium mandatowe Ligi Narodów, a od 1946 r. jako terytorium powiernicze ONZ. Panafrykańskie procesy niepodległościowe zaowocowały ogłoszeniem jej niepodległości w 1962 r. Rok wcześniej referendum „republikańskie” pozbawiło władzy ostatniego króla Kigeli V Ndahindurwe. Który nie nacieszył się koroną – wstąpił na tron raptem w 1959 – ale pomieszkał chwilę już w dwupiętrowym murowanym pałacu, zbudowanym przez Belgów dla jego starszego brata Mutara III Rudahigvy.



● Łagodna królewska krowa inyambo FOT. PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Król Musinga Yuhi V nie tylko nie próbował stawiać oporu inwazji białych, ale oportunistycznie wykorzystywał wojsko i administrację kolonialną do umocnienia swojej władzy

Po ludobójczym konflikcie z 1994 r. nowe władze Rwandy zaczęły promować powrót do wspólnej dla ludów Hutu, Tutsi i Twa przedkolonialnej historii państwa, czego prominentnym przykładem jest pałac Rukari. Po jego zwiedzeniu nie można pominąć wizyty w zagrodzie przeznaczonej dla stad królewskich krów *inyambo*. Nieprzygotowany gość staje przed nimi w niemym podziwieniu dla niezwykle urody tych imponujących zwierząt.

Nie znając ich łagodnego charakteru, można się przerazić – musiałoby się skończyć tragicznie dla zaatakowanego, gdyby użyły niezwykle wielkości rogów. Na szczęście zwierzęta nie mają żadnego powodu do agresji, bo ich główną rolą jest wyglądać imponująco. I faktycznie, robią odpowiednie wrażenie, bo rozpiętość ich ogromnych, rozłożonych lirowato rogów koloru kości słoniowej może przekraczać dwa metry!

Inyambo są symbolem ucieleśniającym dumę narodową Rwandyjczyków. Jako inkarnacje sakralnego piękna były przedmiotem podziwu oraz inspiracją dla poetów i pieśniarzy. Nawet w czasach królewskich nie były własnością monarchów, którym tylko powierzano je w opiekę tak jak całe państwo. Bo też dawna Rwanda nazywana była „królestwem krów”, a królewska tytułatura uwzględniała nie tylko władzę nad państwem i ludźmi, ale też nad krowami.

Nic dziwnego, że pierwsza historyczna wojna była wojną o krowy inyambo, które uprowadzili mieszkańcy dzisiejszej Ugandy. Atak na nie był atakiem na państwo. Ta skaza na honorze zmusiła więc do interwencji armię królewską, która odzyskała czworonożne skarby narodowe ku radości władcy i jego poddanych. Bez królewskich krów nie mogły się przecież odbyć najważniejsze ceremonie, podczas których bogato udekorowane zwierzęta majestatycznie paradowały przed tłumami uczestników tych zjazdów.

Od 2008 r. nadzór nad stadem krów królewskich sprawuje ministerstwo rolnictwa. Ścisłe kontrolowane jest ich rozmnażanie, podobnie jak i opieka nad nimi, którą powierzono fachowcom wyszkolonym w dawnej tradycji. Krowy są wręcz rozpieszczane – myte i czesane zgrzeblami, pojone specjalnym słonym płynem, który ma zapewniać podobieństwo cieląt do ich wspaniałych rodziców. Mają imiona i ozdobne obroże, a ich „wychowawcy” śpiewają im specjalne „sere-nady”. Uczą je też reagowania na komendy podczas ceremonialnego paradowania.

Inyambo dają niewiele bardzo tłustego mleka, ale przecież nie jest ono celem ich hodowli. Stulecia ukierunkowanego doboru, nastawionego niemal wyłącznie na walory estetyczne, wyselekcjonowały osobniki monumentalnej postury, ale niezwykle łagodnego charakteru. Spokojnie tolerują więc obecność wciąż jeszcze nielicznych turystów, którzy się z nimi fotografują pod czujnym okiem śpiewających opiekunów.

Piękne krowie oczy i wspaniałe rogi urzekną każdego. Wzbudzając przy okazji wątpliwości nawet u zadeklarowanych mięsożerców.

Przemysław Urbańczyk – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?”, „Bolesław Chrobry – lew ryczący” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilkuset artykułów. ●

DOMINIKA WIELOWIEYSKA: Nowe władze TVP chciały się z tobą pokojowo rozstać. Zaproponowały dobre warunki finansowe. Ty jednak poszłaś z nimi na wojnę.

AGNIESZKA ROMASZEWSKA, była dyrektorka TV Bielsat: – TVP może przedstawiać takie argumenty, będziemy na ten temat rozmawiać w sądzie.

Poszłaś do sądu pracy w związku ze zwolnieniem cię ze stanowiska dyrektorki TV Bielsat. Władze TVP zarzuciły ci wynoszenie materiałów należących do telewizji na pendrive i dlatego ostatecznie zwolniły cię w trybie dyscyplinarnym.

– Odwołałam się i od samej decyzji zwolnienia, i od decyzji o zwolnieniu dyscyplinarnym. Rozważam też inne kroki prawne, aby bronić swojego dobrego imienia.

Przez trzy miesiące przed zwolnieniem prosiłam o spotkanie, słałam maile, dzwoniłam i nie było żadnego odzewu. Nie miałam pojęcia, jakie są ich zamiary, co mam robić, jak planować. Byłam gotowa na rozmowę, negocjacje, uwagi. Po drugiej stronie był mur. Jedyne moje spotkanie z likwidatorem TVP Danielem Gorgoszem, to moment, w którym wręczał mi wypowiedzenie. Dyrektora generalnego Tomasza Syguta nie widziałam w ogóle.

Nowa władza uważała, że część zagraniczną TVP trzeba zracjonalizować i uporządkować. Stąd Bielsat znalazł się w strukturze TVP World. Słyszałam, że od początku byłaś przeciwko tej koncepcji.

– Tak i mam swoje argumenty, ale oni chyba przez osmozę stwierdzili, jakie jest moje zdanie. Bo ze mną nie rozmawiali.

Ja tę stację prowadziłam 18 lat i można było przed podjęciem decyzji chociaż wysłuchać, co mam do powiedzenia. Bielsat był oceniany dobrze. Sama byłam autorką koncepcji powołania czegoś na kształt TVP World, ale w innej wersji. Niestety, gdy do TVP przyszedł Jacek Kurski, moja koncepcja wylądowała w koszu. Zresztą w telewizji nigdy nie było dużego zainteresowania kanałami zagranicznymi. To zawsze było uważane za fanaberię.

A czy się chcieli ze mną rozstać pokojowo? Tak, niewątpliwie proponowali mi bardzo dobre warunki. Nie przeczę. I gdyby je proponowali w połączeniu z jakimś dialogiem o przyszłości tej stacji, to być może bym je przyjęła. Zależało mi na rozmowie i na tym, aby moje argumenty zostały wysłuchane.

Nowa ekipa podkreśla, że w ramach TVP World Bielsat będzie nadal istnieć i nadawać. Oni po prostu uważają, że dotychczasowa struktura była bardzo kosztowna: władze Bielsatu były rozrzutne, za część usług przepłacano. No i Bielsat był za słabo obecny w sieci.

– Odrzucam zarzut, że byliśmy rozrzutni. A w sieci jesteśmy bardzo mocni. Mamy nie tylko kanał telewizyjny, jesteśmy obecni we wszystkich sieciach społecznościowych, w czterech językach. Bielsat ma 13 kanałów youtubowych, z czego trzy rosyjskojęzyczne, pozostałe białoruskojęzyczne. W tym dwa flagowe, białoruskojęzyczny Bielsat News i rosyjskojęzyczny Wot Tak. Wot Tak jest porównywalny z właściwie wszystkimi wiodącymi rosyjskojęzycznymi kanałami youtubowymi, które mają Deutsche Welle albo Current Time – Nastrojaszcze Wremia.

I mieliśmy ogromne zasięgi. Na Białorusi jest tylko 9 milionów mieszkańców, więc pół miliona subskrypcji to sukces. Około 60–70 proc. to wejścia z terenu Białorusi. Prawie co dziesiąty Białorusin subskrybuje Bielsat.

Chodziło też o to, że twoje oczekiwania, jeśli chodzi o finansowanie Bielsatu, były dla władz TVP nie do przyjęcia.

– Ale w tej sprawie można było negocjować. Ważniejsze, że ta koncepcja, która teraz jest realizowana, jest zła. Rynek rosyjskojęzyczny i oferta kierowana na wschód to coś zupełnie innego niż rynek anglojęzyczny i przekaz kierowany na zachód. Kanały na wschód

NIE JESTEM NICZYIM WASALEM

Z **AGNIESZKĄ ROMASZEWSKĄ,**
BYŁĄ DYREKTORKĄ TV BIEŁSAT,
ROZMAWIA **DOMINIKA WIELOWIEYSKA**



Kurski na mnie popatrzył i powiedział:
Jak na kobietę, to dla mnie jesteś zbyt inteligentna

trzeba wydzielić, bo to zupełnie inny odbiorca. My tego odbiorcę już mamy, znamy jego oczekiwania, a jak wyobraża sobie przejęcie go TVP World?

Nie da się przygotowywać takich samych materiałów i po rosyjsku i po angielsku i rozdzielać pomiędzy anteny. Bo co innego interesuje Rosjanina, co innego jest dla niego oczywiste, a co innego interesuje widza na Zachodzie.

O finansowaniu Bielsatu musiałaś rozmawiać z prezesami TVP, czyli, jak rozumiem, i z Jackiem Kurskim, i z Mateuszem Matyszkowiczem. Czy nie miałaś wątpliwości etycznych w związku z tym, co telewizja publiczna robiła przez ostatnie lata? Brutalnie łamała zasady etyki, nie tylko dziennikarskiej. Czy ty nie odczuwałaś dyskomfortu, że pracujesz z ludźmi, którzy organizują regularne nagonki – na przeciwników Zjednoczonej Prawicy, na LGBT+, na inne narodowości? Nie tylko na abstrakcyjne grupy społeczne, też na konkretnych ludzi.

– A jak myślisz, czy mój zastępca ma jakiś dyskomfort, że po 18 latach został szefem stacji, którą ja stworzyłam i do której w gruncie rzeczy ja go zaprosiłam? Gdy mnie wyrzucili na kopach z dnia na dzień?

Ale nie mam do niego żalu, on to wziął, żeby utrzymać tę stację, bo uważa, że trzeba ratować, co się da. I ja na tej samej zasadzie nie patrzyłam, kto jest szefem telewizji. Miałam takich prezesów, jakich miałam, nie miałam wpływu na to, kto dostaje władzę w TVP. Mogłam się obrazić i sobie pójść albo zostać, wziąć pieniądze na Bielsat i robić coś pożytecznego i dla widza stamtąd i dla naszego kraju.

Ale mogłaś, z twoim nazwiskiem i kartą rodzinną, powiedzieć Kurskiemu czy Matyszkowiczowi: tworzycie tubę propagandową dla PiS na wzór wschodni, lukaszenkowo-putinowski.

– Ja wielokrotnie to mówiłam, dlatego zostałam wyrzucona z nieformalnego zespołu doradcze- go Jacka Kurskiego już po pierwszym miesiącu.

W 2016 roku?

– Tak. Na szczęście dla mnie, bo ja bym tam oszalała po prostu. Nie byłam w stanie tego wytrzymać. Te spotkania to były takie posiedzenia rady propagandowej. I ja tam robiłam za białego kruką, taką wariatkę mówiącą, że „nie można tak przecież, bo to i tamto...”.

Tam się miały wykluwać plany, jak ma wyglądać telewizja. Trzy razy byłam na tych poniedziałkowych nasiadówkach, za czwartym już mnie nie zaprosili. Pamiętam, że omawiali sprawę Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy: jak tu wykombinować, żeby w ogóle nie wspomnieć o tym na antenie. Marzena Paczuska, ówczesna szefowa, „Wiadomości”, protestowała, że ona tak nie może, bo ją po prostu wyśmieją. Jacek się zgodził, ale proponował, by nie informować o WOŚP od razu, tylko następnego dnia i krótko. Absurd.

Była jeszcze akcja wymazywania serduszka WOŚP z marynarki jednego z gości...
– To już mnie tam nie było.

Pamiętam, jak mówiłaś – przepraszam ciebie i czytelników, to będzie bardzo długie pytanie, ale muszę wszystko wytłumaczyć – że czasami, gdy patrzysz na obóz PiS i jego działania, to krew cię zalewa, ale potem patrzysz na – ówczesną – opozycję i czujesz, że jest ci z nią nie pod drodze, irytuje cię i znów wracasz na drugą stronę. A ja mam poczucie, że właśnie wśród takich osób – które identyfikują się ideowo przynajmniej w części z obozem PiS, a jednocześnie mają własne zdanie i nie boją się go wyrażać – brakowało jasnych deklaracji, że TVP to samo zło. Gdyby Jarosław Kaczyński był pokazywany w państwowej telewizji tak, jak pokazywano Donalda Tuska, w czerwonej obwódce z krzyżykiem na klatce piersiowej, niczym na snajperskim celowniku, to ja bym pierwsza protestowała, bo nie dość,

że przekroczono wszelkie granice przyzwoitości, to jeszcze ryzykowano czyimś życiem. Takie działania podprogowe są bardzo niebezpieczne, nie wiadomo, kogo i do czego mogą popchnąć. Hejt na Pawła Adamowicza nie był aż tak sugestywny, a doszło do zabójstwa.

A ukoronowaniem wszystkiego była sprawa syna Magdaleny Filiks. TVP z Radiem Szczecin i politykami PiS ujawnili informacje na temat ofiary pedofila tak, że bardzo łatwo było ją zidentyfikować. W ten sposób powtórnie skrzywdzili to dziecko. Ten chłopiec popełnił samobójstwo. Ludzie PiS nie uderzyli się w piersi.
– Ja w szczegółach nie znam tej historii. Niemniej wiele razy mówiłam, że jestem krytyczna wobec tego, co robią, a i nawet mówić nie musiałam bo i tak wiedzieli, jakie mam zdanie.

Ale publicznie o tym nie mówiłaś.

– Byłam dyrektorem jednostki TVP i jak to sobie wyobrazasz, miałabym publicznie krytykować swojego szefa? To prawda, że chciałam stamtąd Bielsat wyrwać, ale uczciwie przyznaję, że bardziej z przyczyn organizacyjnych niż ideowych. Nie udało się. Nie wymyśliłiśmy stabilnego sposobu finansowania, dzięki któremu będąc na swoim, bez wsparcia TVP na początku roku, zanim przekazane zostałyby ewentualne dotacje, stacja nie przymierałaby głodem. Brałam odpowiedzialność za ludzi, którzy pra-

Zostałam wyrzucona z nieformalnego zespołu doradczego Jacka Kurskiego już po pierwszym miesiącu. Na szczęście, bo ja bym tam oszalała”

cowali w Bielsacie. A stacja musi nadawać codziennie, nie może robić przerw. Ludzie muszą dostawać co miesiąc pieniądze.

A i Jacek, jak i Mateusz Matyszkowicz doskonale wiedzieli, co myślę o telewizji pod ich rządami. Miałam taką rozmowę z Jackiem na samym początku – bo przecież byłam kontrkandydatką Jacka w konkursie na prezesa telewizji w 2016 r., podobnież wypadłam dobrze, ale od razu wiedziałam, że nie mam szans. Więc jak zgłosiłam się do tego konkursu, to poszłam do Jacka i mu powiedziałam: „Słuchaj, ja po pierwsze wiem, że nie wygram, bo wiem, jak wyglądają te wszystkie konkursy. A po drugie, nawet jakbym go, nie daj Panie Boże, wygrała, to ja tej funkcji, od razu ci mówię, nie przyjmę, bo w warunkach obecnych walk politycznych ja nie chcę być prezesem telewizji”.

To dlaczego w ogóle wystartowałaś?

– A „dla podierzania rozgawora”, żeby zafunkcjonować w tym środowisku, żeby podtrzymać Bielsat.

Zdawałeś sobie sprawę, że Jarosław Kaczyński wymaga bezwzględnego posłuszeństwa i partyjnego szefa telewizji, a nie publicysty, który co prawda PiS lubi, ale do partii nie należy, jak na przykład Bronisław Wildstein.

– Owszem. Dlatego nie sądziłam, by nawet przy największej sympatii dla koncepcji PiS, to było miejsce dla mnie.

Jacek Kurski od lat słynął z braku skrupułów, więc etyczna degrengolada TVP była szokująca i oburzająca, ale nie zaskakująca. Ale czy spodziewałaś się, że Matyszkowicz, katolicki intelektualista, będzie kontynuował tę beczelną, agresywną linię?

– Matyszkowicz wchodził w trwający już układ, nie miał żadnego pola manewru. Ale obecnej koalicji też radziłabym, żeby się zastanowiła nad tym, co robi, bo co za dużo, to niezdrowo.

Jeśli chodzi o sposób przejścia telewizji, przekroczono moim zdaniem dopuszczalne granice. Za pomocą ochroniarzy jeszcze do

tej pory telewizji nie przejmowano, więc zrobiliśmy poważny krok na przód. (śmiejch).

Ale widzisz chyba, że sposób, w jaki są traktowani politycy PiS dzisiaj w telewizji, jest diametralnie różny od tego, jak politycy opozycji byli traktowani za PiS. Nikt nie atakował Tobiasza Bocheńskiego w czasie warszawskiej debaty prezydenckiej. Był normalnie pełnoprawnym uczestnikiem, a prowadzący byli absolutnie przezroczyści, nie wygłaszali politycznych ocen i komentarzy wymierzonych w konkretnego kandydata.

– Ja tej debaty nie oglądałam, więc nie jestem kompetentna, by odpowiadać. Ale podejrzewam, że jakbym to obejrzała, to bym była w stanie się do czegoś przyczepić. Natomiast na pewno mogę się przyczepić do pewnej liczby zmian zasadniczych, które są robione na niekorzyść telewizji.

Co masz konkretnie na myśli?

– Uważam, że działania prowadzone są co prawda energicznie i radykalnie, ale za to bez planu. Przywraca się jakieś formaty z czasów prehistorycznych typu „100 pytań do...”. Gdy Iran ostrzelał Izrael, TVP Info nie weszło z programem na żywo, a pokazywało „100 pytań do Leszka Millera” – jak dla mnie to kompromitacja. Dramatycznie brakuje pieniędzy, a robione są masowe przeprowadzki z siedziby programów informacyjnych na placu Powstań-

ców, gdzie demontuje się całkiem nowe studio, wyprowadza się „Wiadomości”, „Pano-ramę” i TVP Info na Woronicza, gdzie nie ma – przynajmniej na razie – sensownych warunków dla pracy informacji. Efekt będzie taki, że telewizja publiczna się skurczy nieodwracalnie i odda pole TVN.

Co by nie powiedzieć o Kurskim, on postawił tę telewizję na nogi, rozbudował niesłuchanie, nawet w nadmiarze.

Druga strona medalu jest taka, że Kurski i Matyszkowicz zaprojektowali gigantyczny deficyt. Obaj po prostu nie liczyli się z pieniędzmi. Za pieniądze podatników wydawane bez żadnych hamulców oczywiście sporo można zrobić. Chociaż moim zdaniem i tak dominował październik w stylu „Korony królów”.

– To była bardzo droga telewizja i niewątpliwie za duża, ale pewne pomysły na telewizję publiczną były ciekawe.

Co mogło podobać się w telewizji Kurskiego? Ona kojarzy się raczej żenująco: jarmarczne sylwestry w Zakopanem i disco polo. Podaj konkretne przykłady. Programy, seriale?

– Telewizja publiczna powinna być robiona z rozmachem, bo ona ma w pewnym zakresie nadawać ton. Robić to, czego nie będą robić w takiej skali komercyjni nadawcy. Kanał dziecięcy – i to z pieniędzmi na własną produkcję – kanał dokumentalny, kultura, historia... Też nie jestem przekonana do promowania muzyki disco polo i wątpię w sens utrzymywania dwóch kanałów ogólnotematycznych, ale też mam świadomość, że telewizja publiczna to główne medium dla grupy 50+.

A teraz przyszła ekipa przestraszonych gości, którzy nie mają żadnej spójnej koncepcji. Poza tym są politycznie podporządkowani obecnej władzy, są na łasce rządu, który może ich w każdej chwili wyrzucić. I oni to wiedzą, więc dostosowują się do wymagań. Przecież władze TVP tworzą ludzie dawnego SLD, postkomunistycznego stowarzyszenia Ordynacka, oni zawsze tak funkcjonowali. Być może pokazywali Tobiasza Bocheńskie-

go lepiej, bo nic nie ryzykowali, wiedzieli, że i tak nie wygra w Warszawie.

No nie! Między obecną TVP a TVP za czasów jest przepaść. Nikt tak nie traktuje teraz Kaczyńskiego tak, jak Tuska za czasów Kurskiego i Matyszkowicza. Nie jest hejtowany, nie komentuje się jego aktywności insynuacyjnie, nie sugeruje zdrady narodowej.

– OK, jestem skłonna się z tym zgodzić. Ja nie byłam w stanie tej telewizji oglądać za czasów PiS.

W tym rzecz. Że z punktu widzenia wyborców opozycji jesteś częścią tego obozu – jako osoba sympatyzująca z PiS, z kręgów kierowniczych telewizji publicznej, która nie protestowała przeciwko złu w tej telewizji. I może ta opinia, ten wizerunek, były powodem, dla którego „nowa” TVP chciała się z tobą rozstać.

– Czyli każdy, kto ma poglądy niepasujące nowej władzy, ma wylecieć?

A ja nie prezentowałam wiadomości, nie byłam szefową informacji ani publicystyki, nie odpowiadałam za kształt TVP. Teza, że Romaszewska nie może pracować teraz, kierować Biesłatem, bo TVP to było zło, gdy była tam dyrektorką w jednej z zagranicznych anten – to jest jednak przegięcie. Obecna ekipa też moim zdaniem wymieniała władze TVP niezgodnie z prawem.

Przez 8 lat rządów Zjednoczonej Prawicy notorycznie łamano ustawę o radiofonii i telewizji, która nakazuje TVP rzetelność i bezstronność. Ludzie w wyborach powiedzieli dość. Bezczyrności by obecnej ekipie nie wybaczyli. Były wątpliwości co pierwszych decyzji ministra kultury, który wymienił radę i zarząd TVP. Ale potem prezydent Andrzej Duda zawetował pieniądze dla TVP. I tym samym dał obecnej władzy podstawy prawne do manewru z powstaniem TVP w stan likwidacji. Likwidator został już wysłany do Krajowego Rejestru Sądowego.

– Uważam, że nie ma podstaw prawnych ani dla pierwszego ruchu Sienkiewicza, ani do drugiego, który wiąże się z postawieniem spółki w stan likwidacji.

Ale mimo to chciałaś z likwidatorem TVP negocjować.

– I gdybym została w Bielsacie, to bym tych ruchów ministra nie wypominała, siedziałabym cicho, bo obowiązuję mnie minimalna lojalność wobec władz firmy, w której pracuję. Poza tym pozostawienie mnie byłoby sygnałem, że chcą współpracować z różnymi ludźmi, także tymi, którzy mają inne poglądy.

Ale skoro mnie wyrzucili, to powiem to głośno: restrukturyzacja poprzez likwidowanie budzi bardzo wiele zastrzeżeń. Po- czynając od tego, że 32 lata pracuję w telewizji i jeszcze nie widziałam, żeby w celu restrukturyzacji, reform czy naprawy tam weszła policja z ochroniarzami.

Poprzednia ekipa postanowiła okupo- wać te instytucje.

– Nie o to chodzi. Telewizję Kurskiego nazy- wasz złem i mnie się też nie podobało wiele rzeczy w TVP, ale można to zło zwalczać inaczej. Bez tak drastycznych posunięć, jak akcja z ochroniarzami czy wyłączenie sygna- lu telewizyjnego.

Zresztą ja wiem, kto ten sygnał wyłączył, to człowiek z poprzedniej ekipy, Kurskiego właśnie, co też coś mówi o charakterze tego miejsca. Nie było nawet jasne czy z roz-

pędu nie wyłączy też Bielsatu, nasi technicy bronili własną pierśią...

Opowiadał o tym, żeby pokazać, że w tym czasie panowało kompletne bezholowie, po prostu bajzel. A można było tego uniknąć. Był na przykład pomysł przywrócenia stanu sprzed powołania Rady Mediów Narodowych, której konstytucyjność rzeczywistość budzi poważne wątpliwości. Po objęciu przez PiS władzy w 2015 r. przerwało kadencję ówczesnego prezesa TVP Janusza Daszczyńskiego. Teraz można było wrócić do tego punktu wyjścia, do tej przerwanej kadencji.

Nie miałam żadnej wątpliwości, że jakieś zmiany musiały nastąpić. Ale można się było dogadać z prezydentem Dudą. Porozumienie było możliwe, bo jemu też ta telewizja się nie podobała. Tymczasem obecna władza nie podjęła nawet próby. Wolalała zasadę „zwyczajca bierze wszystko”.

Kompromis z prezydentem byłby trudny. Jestem za tym, aby rząd podejmował rozmowy z Dudą, ale widzimy, co się stało w sprawie ambasadorów. Najpierw premier Tusk i szef MSZ Radosław Sikorski ustalili z prezydentem plan: kilka osób, których prezydent bronił, miało dalej pełnić misję, a w pozostałych przypadkach prezydent zgodziłby się powołać nowych ambasadorów. A potem Andrzej Duda zmienił zdanie.

– Znam zupełnie inną wersję tej historii z ambasadorami. Całkiem odwrotną. A co do telewizji, upieram się, że były szanse na porozumienie. Teraz oczywiście już tego nie sprawdzimy. I powtarzam, Jacek wiedział, co myślę o jego rządach w TVP. Natomiast ja koncentrowałam się na interesach Bielsatu, bo w tej sprawie miałam z Kurskim ciężkie życie.

Co to znaczy?

– Wyrzucono mi zastępcę ds. finansowych, zostałam z całym wielomilionowym budżetem sama, praktycznie bez działu finansowego, który przeniesiono do centrali. Polowano też na mnie poprzez niekończące się kontrole, myślę, że był plan, by mnie wyrzucić. Miałam zaprzysięgłego wroga w postaci prawej ręki Kurskiego, szefa biura zarządu, Stanisława Bortkiewicza, który tę akcję prowadził. Nie udało się z jednego powodu: nie było politycznej zgody z góry. I Kurski odpuścił.

A dlaczego Bortkiewicz tak zwalczał Bielsat?

– Myślę, że to miało podłoże ideowe. I on, i Kurski w głębi duszy uważali, że ten projekt nie ma sensu. Początkowo Bortkiewicz prowadził ze mną bardzo długie rozmowy na temat telewizji Polonia, Wileńszczyzny, bo jego matka stamtąd pochodziła. Była łączniczką majora Szyndzielarza „Łupaszkę”, jednego z najsłynniejszych „żołnierzy wyklętych”. A ja się bardzo interesowałam Polakami na wschodzie, od tego zaczynałam karierę, więc te rozmowy były dla mnie bardzo ciekawe.

A potem kontakt się urwał. I nagle nastąpił zwrot polityczny. Najpierw w MSZ, który nie chciał dawać pieniędzy. Bo pojawił się pomysł na odwilż w relacjach z Łukaszenką.

To był przełom 2016 i 2017 roku, kiedy to marszałek Senatu Stanisław Karczewski pojechał do Mińska spotkać się z Łukaszenką, a potem mówił, że to taki „ciepły człowiek”?

– I wtedy powstał plan, by nas zredukować do poziomu portalu internetowego. Uratowaliśmy się jakimś cudem, bo chyba udało mi się przekonać do projektu Jarosława Kaczyńskiego, a poza tym zmienił się minister spraw zagranicznych. Przy poprzednim, Witoldzie Waszykowskim, nic by mi się nie udało. Był głęboko przekonany, że Bielsat jest niepotrzebny. Gdy szefem MSZ został Jacek Czaputowicz, nasza sytuacja się poprawiła.

A dlaczego Kurski lekceważył Bielsat?

– Jacek chyba uważał, że jest zbyt techniczny. Ja to jego nastawienie zrozumiałam lepiej, gdy przeczytałam książkę jego brata, Jarosława Kurskiego, „Dziady i dybuki”.

Rodzina Kurskich ma ciekawą historię i ciekawe, skomplikowane korzenie: ze wschodu, z Ukrainy, a także żydowskich przodków. I mając taką genealogię można się identyfikować z tradycją kosmopolityczną, jak jego cioteczny dziadek Lewis Bernstein Namier. Ale można, na zasadzie kontrastu i chęci odcięcia się od części rodziny o żydowskich korzeniach, postawić na opcję narodowo-patriotyczną, taką, jaką w jakimś stopniu reprezentowała pani Anna Kurska, czyli matka obu braci.

I to Jacek przejął po niej. W ramach tej tradycji Ukraińcy mają fatalną konotację i w ogóle ten wschód jest widziany jako polski, nasze ziemie, zajmowanie się innymi narodami, które je zamieszkują jest traktowane jako bezsensowne a nawet szkodliwe zwracanie głowy.

To było widać przy okazji zachwytu Jacka Kurskiego nad filmem „Wołyń” Wojciecha Smarzowskiego. On był tym zafascynowany, chciał osobiście – choć prawica Smarzowskiego za krytyczne pokazywanie

polskiego społeczeństwa nie cierpi – wręczać mu nagrodę.

– U Jacka było widać przywiązanie do tej moralistycznej wizji Polski od morza do morza. Ja jestem bardzo uwrażliwiona na tym punkcie, bo żadnej Polski (w takim sensie jak ją rozumiemy współcześnie), od morza do morza nie było. I te emocje, że na wschodzie zostały nasze ziemie, są mi obce. Uważam to za anachronizm. Ale Jacek nie. On uważał, że my, czyli Bielsat, nadajemy do tych jakichś ludów nieistotnych. Nie miał szacunku dla tych ludzi. Traktował ich protekcyjnie.

Co się stało z Kurskim? Coś musiało, bo przecież kiedyś miałaś z nim dobre relacje.

– Z Kurskim? Nic, on zawsze był taki.

Czyli jaki?

– Miał skłonność do przegięć.

Dla mnie on jest synonimem czystego zła. To, co wyrabiała TVP przez ostatnie osiem lat, jest niewiarygodne.

– A dla mnie – synonimem skrajnego cynizmu. Tylko kiedy on się stał taki cyniczny? Wtedy, gdy zaczął żyć w przeświadczeniu, że doszło do zdrady rewolucji Solidarności. Był rozczarowany tym, co działo się w latach 90.

A czy w jakikolwiek sposób uczestniczyłaś w próbie usunięcia Kurskiego z TVP przez Dudę? Przypomnę, że prezydent zagroził, że nie podpisze ustawy, która przyznawała 2 mld zł na media państwowe, jeśli Kurski będzie nadal szefował na Woronicza. Ale prezydent został ograny: Kurski stracił stanowisko, on ustawę podpisał, a Kurski od razu wrócił.

– Pamiętam te wydarzenia. W TVP zorganizowano spotkanie dyrektorów anten. Kurskiego tam nie było. Prowadził je Bortkiewicz. Namawiano nas, abyśmy podpisali pismo, że prezydent powinien koniecznie podpisać ustawę, bo inaczej to zagrożenie dla telewizji. To miał być apel do prezydenta, by nie wymuszał zmian i żeby szybko podpisał ustawę.

I na tym spotkaniu zadałam prowokacyjne pytanie, za które Kurski mnie chyba znienawidził. Kiedy po raz kolejny powtarzano, jaki prezes Kurski jest wspaniały i jak o nas dba, nie wytrzymałam. Z przyczyn nie tylko politycznych, ile czysto estetycznych. Nie mogłam słuchać tych lizusowskich peanów.

I rzuciłam: „Czy skoro nasz prezes tak przeszkadza panu prezydentowi, to czy dla dobra TVP, nie rozważa podania się do dymisji?”. Tak trochę z przymrużeniem oka, ale gdy jakiś czas później spotkałam Kurskiego, powiedział triumfalnie: „Widzisz, wróciłem. Jednak wróciłem”.

Może byłaś postrzegana w TVP jako ciało obce, bo twoja mama, Zofia Romaszewska, legendarna opozycjonistka w PRL, była i jest postacią istotną w otoczeniu prezydenta?

– Być może Jacek uważał, że to ja stałam za akcją jego odwołania albo przynajmniej brałam w tym jakiś udział, chociaż jako żywo nie miałam z tym nic wspólnego.

A jak przyjąłś decyzję o zamianie Kurskiego na Mateusza Matyszkowicza?

– Z nadzieją, że Bielsatowi się poprawi. W naszej polityce w różnych ugrupowaniach – nie tylko w PiS – panuje system feudalny: liczy się to, czym jesteś człowiekiem, czym wasalem. Bo nie jest tak, że Kaczyński albo Tusk mają

naszych wschodnich sąsiadów. Chociaż jak pojawiła się potrzeba tworzenia anglojęzycznej telewizji, która będzie „odpowiednie” treści przekazywać po angielsku, to ten projekt okazał się ważniejszy, niemniej Matyszkowicz był jednym z nielicznych prezesów, którzy w ogóle zechcieli zobaczyć, jak Bielsat działa.

I był pełen podziwu, że TVP ma ponad dwa miliardy i ciągle potrzebuje więcej i więcej, a my robimy tyle rzeczy za te 70 mln.

Teraz mówi się, że Matyszkowicz ma stworzyć jakąś nową telewizję we współpracy z frakcją Mateusza Morawieckiego, dla bardziej umiarkowanego odbiorcy niż ten, który wybiera TV Republika.

– Tak? A za co?

Szukają inwestorów między innymi na Węgrzech.

– Do mnie się nie zgłosił. W ogóle po odejściu z TVP, po tym, jak wprowadził tam te konie trojańskie – jak to nazwał Jacek Kurski – Matyszkowicz się do mnie już nie odezwał.

Czyli ty też uważasz, że Matyszkowicz, jak to napisał Kurski w raporcie dla Kaczyńskiego, zdradził?

– Nie wiem, czy można powiedzieć, że zdradził. Mnie już wcześniej mówił, że nie będzie się w TVP okopywał. Ja tylko mówię, że gdy już po przejęciu TVP próbowałam się z nim kontaktować, wysyłałam SMS-y, to nie odpowiadał. Zapadł się pod ziemię.

A okopywanie było bez sensu. Pomysł, że prezes po zmianie władzy ma nie wpuszczać nikogo do siedziby publicznego medium, wydaje się absurdalny. Ale też uważam, że wtedy Matyszkowicz powinien wyjść z otwartą przyłbicą. Powiedzieć, jakie ma zdanie na temat sposobu przejęcia telewizji, powiedzieć coś pracownikom w TVP i godnie opuścić gmach. Nie tak chyłkiem.

Jak dziś, po tym wszystkim, oceniasz PiS i samego Kaczyńskiego?

– Nie jestem komentatorem politycznym, mam swoje zdanie, ale sobie o tym pogadam w domu z mamą. Nie uważam za stosowne dzielić się z mediami moimi ocenami Jarosława Kaczyńskiego. ●

Agnieszka Romaszewska-Guzy

• dziennikarka prasowa i telewizyjna, z wykształcenia historyczka. Działaczka opozycyjnego, antykomunistycznego Niezależnego Zrzeszenia Studentów (1980-81), internowana w stanie wojennym. W latach 1987-90 w USA na stypendium doktoranckim. Po powrocie do kraju pracowała w „Życiu Warszawy”, wówczas jednej z najważniejszych polskich gazet, a potem w TVP, gdzie była m.in. szefową działu społecznego i wydawczynią „Wiadomości”. W latach 1999-2001 korespondentka na Bałkanach, relacjonowała też interwencję w Afganistanie (m.in. z pokładu lotniskowca „Carl Vinson”). W latach 2004-06 reporterka w Ukrainie podczas Pomarańczowej Rewolucji, następnie w Białorusi. Deportowana w 2006 r., zainicjowała porozumienie pomiędzy MSZ a TVP i założyła działającą w ramach TVP Telewizję Bielsat nadającą w języku białoruskim i rosyjskim, którą kierowała do 2024 r. Córka legendarnych działaczy opozycji przedsierniowej i „Solidarności”, Zofii i Zbigniewa Romaszewskich.

ANTYSEMITYZM

ŁAGODZI CIERPIENIE



• Bielsko Biała, ul. Wyzwolenia.
Antysemickie bazgroły
na pomniku upamiętniającym
zlikwidowany cmentarz żydowski.
FOT. TOMASZ FRITZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Polacy nie umieją
myśleć o sobie,
a co więcej, czuć się
dobrze ze sobą,
bez odróżniania się
od Żyda

Z SOCJOLOŻKĄ ANNA ZAWADZKĄ
ROZMAWIA TOMASZ ŻUKOWSKI

TOMASZ ŻUKOWSKI: Po co rozmawiać o antysemityzmie? Przecież to przeszłość albo prawicowy skansen.
ANNA ZAWADZKA: – Antysemityzmu w Polsce nie da się sprowadzić do posła Brauna i jego ataku gaśnicą na świece chanukowe. Antysemickie graffiti – na które zresztą nikt nie reaguje – to wierzchołek góry lodowej. Traktujemy je jak incydenty, z którymi przeciętny obywatel się nie utożsamia, a nawet potrafi je potępić i dzięki temu czuje się „w porządku”. Tymczasem antysemityzm spełnia ważne funkcje. Polacy nie umieją myśleć o sobie, a co więcej czuć się dobrze ze sobą, bez odróżniania się od Żyda. Potrzebują Żydów, żeby tworzyć obraz samych siebie. Nie chodzi o realnych Żydów z krwi i kości, ale o fantazję, którą nieustannie produkują, pielęgnują i uaktualniają. W tych fantazjach ważni są tylko oni.

Fantazjowanie to nic złego...
– Tyle że te fantazje traktowane są jako źródło wiedzy o Żydach. Nic bardziej mylnego. Antysemickie fantazje nie mają z Żydami nic wspólnego. Dowiadujemy się z nich natomiast bardzo wiele o tych, którzy je snują. Co więcej, te fantazje mają moc sprawczą. Ludzie postępują zgodnie z ich logiką i to bywa dla Żydów i Żydówek – realnych ludzi – śmiertelnie groźne. One kształtują warunki, z którymi Żydzi muszą sobie na co dzień radzić.
Moishe Postone, nieżyjący już socjolog z University of Chicago, opisuje antysemityzm jako sposób radzenia sobie z nowoczesnym kapitalizmem i jednocześnie tworzenia wspólnoty. Żyjemy w niepewnym świecie i doświadczamy wyzysku. Czasem kilka pensji dzieli nas od bezdomności, a przecież uczciwie pracujemy.

Co gorsza, zwykle im ciężiej pracujemy, tym mniej zarabiamy, o czym wiedzą doskonale pracownicy fizyczni. By jakoś poradzić sobie z poczuciem niesprawiedliwości, chwytamy się różnych racjonalizacji. Jedną z nich jest antysemityzm, który oddziela dwa nierozłączne elementy kapitalizmu: namacalną, konkretną pracę od mechanizmów rynkowych. Wspólnota ludzi ciężko pracujących na chleb to my, a rynek, który na nas pasożytuje, to Żydzi: wyzyskawcze, którzy nigdy nie splamili rąk pracą i czerpią zyski z naszej krzywdy.
Czy to się zgadza z rzeczywistością? Nie, ale to nic nie szkodzi. Antysemityzm zabezpiecza przed zderzeniem ze światem takim, jakim on jest, i jednocześnie podsuwa kogoś, na kim można bezpiecznie wyladować złość. W Żydach widzi się spekulantów, bo przez wieki nie mogli posiadać zie-

mi ani środków produkcji. Mamy do czynienia z odwróceniem przyczyn i skutków, co jest zasadą rasistowskiego myślenia.

Ale antysemityzm nie jest po prostu rasizmem?

– Od innych rasizmów odróżnia go między innymi to, że wydaje się aktem oporu przeciw opresji. Walką uciśnionych z systemem i przywracaniem sprawiedliwości. W 1946 roku Sartre pisał, że Francuzi czują się właścicielami Francji, ale z tej wspólnoty wykluczają Żydów. Z Polakami jest podobnie. Wyobrażają sobie, że Polska – ziemia, struktury państwowe, dobra materialne, kultura – wszystko to należy do nich, a Żydzi ciągle chcą coś z tego uszczknąć.

Kiedy antysemita rabuje Żydów, jest przekonany, że tylko wyrównuje rachunki. Tak było w czasie wojny i w 1968 roku. Z grupą współpracowników robię wywiady z Żydami, którzy po Marcu zostali w Polsce. Jeden z rozmówców wspominał, że w '68 weszła do jego mieszkania jakaś pani, bez pukania, w butach, zaczęła się roglądać i mówić, co zabierze, co zostawi, a co odda Józkowi. Ta żydowska rodzina nie myślała wtedy wcale o wyjeździe, ale dla przedsiębiorczej Polki nie ulegało wątpliwości, że oni nie są u siebie.

Mówisz o wypadkach skrajnej przemocy. A co się dzieje teraz, wśród nas?

– Odsyłamy antysemityzm do przeszłości albo ograniczamy do skrajnej prawicy. Tymczasem jego tubą jest dziś państwo – polityka historyczna z jej instytucjami, pionem edukacyjnym, muzealnym i ogromnym budżetem. Na wystawach bez żadnego komentarza pokazuje się antysemickie plakaty z czasów tzw. wojny bolszewickiej, gdzie komunista to Żyd z podobną do małpy twarzą okrutnika. Zgodnie z tą polityką, Żydzi dybią na dobre imię Polaków. Może inaczej: Polacy potrzebują wyobrażenia o Żydach jak magicznego lustra, które powie, że są najpiękniejsi. A jest sporo plam do wyretuszowania.

Gra toczy się na dwóch boiskach jednocześnie: komunizmu i Holocaustu. Polska transformacja przebiegała pod hasłami antykomunizmu. Władzę i autorytet moralny przejęli ci, którzy walczyli z komunizmem. Uznano go za zło, ale przecież przed 1989 rokiem i po nim w Polsce mieszkali ci sami Polacy. I co z tym zrobić? Trzeba opowiedzieć historię tak, żeby się okazało, że ktoś inny nam to zrobił, a my tylko z komunizmem walczyliśmy. I tu przydaje się wyobrażony Żyd.

Wygrana na jednym boisku daje przewagę na drugim. Polacy chcą być po dobrej stronie mocy, ale w dzisiejszym świecie – przynajmniej do czasu ostatniego ataku Hamasu, bo teraz nawet to się dynamicznie zmienia – po dobrej stronie mocy są ci, którzy nie są antysemitami.

W świecie zachodnim, wobec którego Polacy mają ogromny kompleks, Holocaust stał się czymś w rodzaju modelowej sytuacji etnicznej. Jest jak drogowskaz, który pokazuje, gdzie dobro, a gdzie zło. Polska nie najlepiej wypada, bo coraz więcej dowiadujemy się o przemocy wobec Żydów przed wojną, w czasie wojny i po niej. Dlatego potrzebne jest wyobrażenie, w którym to Żydzi będą głównymi winnymi.

Kluczową rolę odgrywa tu zrównanie nazizmu i komunizmu: motyw przewodni polityki historycznej w krajach postkomunistycznych, które jest nową formą negacjonizmu, bo skoro komunizm jest taką samą zbrodnią jak nazizm, Zagłada przestaje być czymś wyjątkowym. Żydzi cierpieli prześladowani przez nazistów, a Polacy przez nazistów i komunistów, a do tego – i tu wkracza „żydokomuna” – komuniści byli Żydami. Bingo! Mogą znowu myśleć o sobie dobrze, skoro są niewinnymi ofiarami i bohaterami jednocześnie.

Odebranie znaczenia Zagładzie i przedstawienie Żydów jako sprawców ma zasadnicze znaczenie. „Zapomniany holocaust”, „mała zagłada”, „Polokaust”, „holokaust Polaków”, wykorzystywanie ikonografii Za-



• Stambuł, jedna z antyizraelskich manifestacji związanych z interwencją w strefie Gazy. FOT. REUTERS/UMIT BEKTAS

„Zapomniany holocaust”, „mała zagłada”, „Polokaust”, „holokaust Polaków”, wykorzystywanie ikonografii Zagłady do prezentowania polskiej martyrologii – w ostatnich tygodniach doszedł jeszcze motyw „holokaustu Palestyńczyków”

glady do prezentowania polskiej martyrologii, muzea komunizmu pomyślane na wzór muzeów Holocaustu – ciągle wokół tego krążymy.

Niedawno doszedł motyw „holokaustu Palestyńczyków”. Tego pojęcia od dawna używa skrajna prawica. Kilka dni temu dostałam list, odpowiedź na moje złośliwe komentarze pod adresem lewicowych obrońców Palestyny. Było w nim napisane, że Żydzi grają kartą Holocaustu i nawet jak umrze ostatni ocalały, będą używać tej karty, żeby robić, co chcą, komu chcą. Tymczasem jest dokładnie odwrotnie: w Polsce nie mówi się o Holocaustie, bo Żydzi tego chcą. To Polacy mają na jego punkcie rywalizacyjną i porównawczą obsesję. Wciąż na nowo przepisują jego historię, żeby wyjść na ofiary i świętych bez skazy.

Ale przecież istnieli komuniści Żydzi.

– Oczywiście, że istnieli, ale to nic nie zmienia. Tak jak w dyskursie „anty syjonistycznym” nie ma znaczenia ani to, jaka jest historia Izraela, ani jaki jest rząd Netanjahu. Ważne są hasła, które uruchamiają dobre znane obrazy i wywołują emocje przeciw Żydom: ludobójcy, zbrodniarze, kolonizatorzy.

Jak to przyswoisz, bez kłopotu bagatelizujesz przemoc Hamasu i jednocześnie masz o sobie dobre mniemanie, bo bronisz praw człowieka. Notabene jestem przekonana, że Hamas zna historię i polskie

go antysemityzmu, i Holocaustu, bo atak z 7 października był pełen „cytatów” z polskich pogromów przeciwko Żydom i z Zagłady. Nie wierzę, że struktura i charakter tego ataku tylko przypadkiem nawiązywały do najbardziej drastycznych form przemocy wobec Żydów w Europie. W przeciwieństwie do polskiej i zachodniej lewicy, ideolodzy Hamasu są kompetentni w zakresie historii antysemityzmu.

Wróćmy do komunizmu.

– Żyjemy w paradygmacie antykomunistycznym, a to znaczy, że komunizmowi nie wolno zadawać żadnych pytań. Nie wolno nawet inaczej o nim pomyśleć. To po prostu czyste zło, a dzięki „żydokomunie” można je przypisać Żydom. Weźmy tzw. żołnierzy wyklętych. Ich państwo – glaryfikacja, ustanowiona zresztą za czasów PO, a nie PiS-u, jest możliwa tylko dzięki bezmyślnemu antykomunizmowi. Tak szczeremu, że czci się morderców i to nie tylko morderców Żydów.

W latach 50. w Stanach, za McCarthy’ego, z antykomunizmu zrobiono test na prawo do bycia amerykańskim obywatelem. Kto oblał, tracił pracę, ciągnano go po sądach, czasem musiał uciekać z kraju. Posądzania o komunizm padały łatwo i miały straszne konsekwencje. Jeśli zapytałaś na przykład, dlaczego zarabiasz mniej niż kolega na tym samym stanowisku, traktowano coś takiego jako przejaw emancypacyjnych fanaberii

i kierowano sprawę do komisji, która miała sprawdzić, czy przypadkiem nie masz komunistycznych skłonności.

To samo dotyczyło Żydów: ich żądanie równości diagnozowano jako politycznie podejrzane. Podejrzane było także przeciwdziałanie antysemityzmowi. Nie można już było domagać się równości. Można było tylko próbować zapewnić sobie warunkowe bezpieczeństwo za cenę przyłączenia się do antykomunistycznej nagonki, także wtedy – a może zwłaszcza wtedy – gdy przybierała formy otwarcie antysemickie.

To kwintesencja antysemityzmu: sytuacja, w której Żydzi są ofiarami przemocy i jednocześnie wzywa się ich na świadków niewinności tych, którzy ich dyskryminują. I bezwzględnie zmusza, żeby mówili tylko to, co antysemitom chcą usłyszeć.

To samo dzieje się i działo w Polsce. Aleksander Smolar wielokrotnie mówił, że nie czuł się uprawniony, by wypowiadać się w imieniu opozycji, bo był Żydem. Opisuje, jak pytał kolegów, czy może założyć opozycyjne pismo i jak je prowadzić, żeby nie uznano, że to żydowska inicjatywa. Wykreślał ze swoich artykułów o antysemityzmie zdania, które nie podobały się polskim kolegom, bo ponoć źle świadczyły o Polsce. Obiektywnie rzecz biorąc, wylicza przykłady antysemickiej przemocy, której padł ofiarą, ale zaraz dodaje, że rozumie kolegów z opozycji i sam zrobiłby tak samo.

Zaraz, zaraz, przecież w PRL-u dyskredytowano opozycję w ten sposób. Sam pamiętam napisy „Kuroń Żyd” na murach w 1981 roku.

– To jest argument i Metzena, i polskiej lewicy, która jest tak zaangażowana w kampanię antyizraelską, że bardzo jej nie na rękę zajmować się antysemityzmem na własnym podwórku: gdyby nie było chanukiji w Sejmie, nic by się nie stało. Doprawdy? Nic by się nie stało, gdyby nie było antysemityzmu. Wbrew temu, co mówili posłowie, atak Brauna nie był przeciwko judaizmowi, nie miał charakteru religijnego, był antysemitcki. Polacy gotowi są na wszelkie cyrkowe sztuczki, żeby tylko nie użyć słowa na „a”.

Napisy, o których wspominasz, mogły pojawić się dlatego, że wyobrażenie Żyda było żywe w społeczeństwie. Każdy – bez względu na światopogląd – wiedział, że „Żyd” to obelga. Tyle że Smolar usprawiedliwiał polskich kolegów, bo nie miał innego wyjścia. Żydzi mają pistolet przy głowie, gdy bierze się ich na świadków polskiej tolerancji.

Jeśli chcemy poważnie myśleć o antysemityzmie, musimy sobie uświadomić, że Polak i Żyd w Polsce żyją w zupełnie innych warunkach. Tu nie ma żadnej symetrii. Nikt cię nie zapyta, co twój dziadek hallerczyk robił w czasie pogromów ani po kim jest dom, w którym mieszkasz, i jak twoja rodzina weszła w jego posiadanie. Ale Żyda zapytają o babcię komunistkę, nawet jeśli jego realna babcia w ogóle się polityką nie interesowała. Ty jesteś przezroczysty, „normalny” i na tym polega twój przywilej. A Żyd jest naznaczony. Czyli w każdej chwili może zostać pociągnięty do odpowiedzialności za to, co sobie ktoś na jego temat ubzdurał. Żyd, czy chce czy nie chce, musi się z tą sytuacją konfrontować, jakoś z nią układać, wymyślić jakąś strategię.

Piętno to ogromna praca, o której nienapiętnowani nie mają bladego pojęcia: ciągła czujność, życie w zagrożeniu, umiejętność jego minimalizowania, radzenie sobie z mikro-agresją, dostosowywanie się, przymus milczenia.

Jednym ze sposobów radzenia sobie z piętnem jest asymilacja. Mówią ci: stań się taki jak my, to zapomnimy, że jesteś Żydem.

– Wymuszanie na mniejszościach asymilacji to narcystyczna rozkosz Polaków: pokażcie nam, że chcecie być tacy jak my, bo to dowód, jacy jesteśmy atrakcyjni i piękni. Jednocześnie robi się z asymilacji zarzut przeciw Żydom, że próbują się podszywać pod kogoś, kim nie są, że udają i oszukują. W socjologii nazywa się to podwójnym wiązaniem. Asymilując się, Żyd musi bez końca udowadniać, że jest jak inni, być bardziej papieski niż sam papież. Zdaje egzamin za egzaminem, ale nigdy nie dostaje dyplomu. Równość nigdy nie staje się faktem, tylko marchewką na kij.

Hanna Krall opisuje ten mechanizm jako sublokatorstwo. W relacjach Polaków z Żydami w Polsce ci pierwsi uważają się za gospodarzy i zmuszają drugich, żeby zachowywali się jak goście, to znaczy dostosowywali się do reguł narzuconych przez antysemitckie otoczenie i nie narzekali. Antysemitckość polskiej kultury polega na tym, że nikt nie ma nawet cienia wątpliwości, kto ma się do kogo dostosować.

Czy chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy jesteśmy antysemitami?

– Współczesny socjolog Marcel Stoetzler napisał, że antysemityzm jest karykaturą socjologii – dziedziną, która u swego zarania konkurowała z antysemityzmem w wyjaśnianiu świata. Jeśli nie zobaczymy go w ten sposób – jako sposobu postrzegania rzeczywistości, który spełnia pewne funkcje – utknemy na mieliźnie.

Tu nie chodzi o indywidualne zaburzenia poznawcze. Zastanawianie się, kto jest antysemitą a kto nie, to ślepa uliczka. W Stanach Zjednoczonych badacze i badaczki rasizmu dowiedli, że rasizm nie sprowadza się do problemów psychologicznych tej czy innej osoby. Nie sprowadza się też do złych

lub dobrych intencji. Nawet jeśli masz słuszne poglądy i chodzisz na antyrasistowskie demonstracje, nadal masz szansę na lepszą pracę niż twój nie-biały sąsiad, a policja nie wylegitymuje twoich dzieci w drodze do szkoły. Problem leży w normach kulturowych, w mechanizmach, które działają niejako nad naszymi głowami.

W psychologii społecznej popularna jest teza, że krzywdzące stereotypy można eliminować przez bezpośredni kontakt. Jeśli antysemita spotka się z konkretnym Żydem i zobaczy, że oglądają te same filmy i lubią tę samą muzykę, słowem są takimi samymi ludźmi, to fałszywe przekonania znikną. Przypatrzmy się temu. Konkretny Żyd reprezentuje wszystkich Żydów, jest ich przedstawicielem, czyli potwierdza się podstawowa cecha antysemitckich wyobrażeń o Żydach jako grupie, gdzie jeden oznacza wszystkich, a wszyscy jednego. Mamy się przekonać, że Żyd jest taki jak my, czyli to my jesteśmy normą, a on zdaje egzamin. A jak go nie zda? Jak się okaże, że nie jest taki jak my, to co? Antysemitci mieli rację?

Wygląda to ponuro... Jak sobie z tym radzą polscy Żydzi?

– Od czasów międzywojennych do 1968 roku odpowiedzią na antysemityzm był uniwersalizm. Liberalny albo lewicowy, ale uniwersalizm. Żądano równości dla Żydów jako obywateli. Tyle że w Marcu '68 Gomułka urządził uniwersalizmowi pogrzeb.

Nielicznym, którzy zostali, zaproponowano, żeby stali się idealnymi gośćmi w polskim domu. Tak zwane odrodzenie kultury żydowskiej w Polsce, raczkujące już pod koniec lat 70., wpisało się moim zdaniem w narzucone przez antysemitcką większość ramy. Antysemityzm nie wy-

*By.jakoś poradzić
sobie z poczuciem
niesprawiedliwości,
chwytamy się różnych
racjonalizacji.
Jedną z nich jest
antysemityzm.
Wspólnota ludzi
ciężko pracujących
na chleb to my,
a rynek, który na nas
pasożytuje, to Żydzi*

tworza tylko negatywnych obrazów Żyda. Polska kultura potrzebuje także obrazów pozytywnych, w których będzie się mogła przeglądać. Dzięki temu Polacy zobaczą siebie jako tolerancyjnych, otwartych i zainteresowanych odmiennością Europejczyków. Ale cały czas produkują wyobrażenie Żyda, w którym ważni się wyłącznie oni.

Jak to działa? Jak za McCarthy'ego w Stanach, zakreśla się granice dozwolonej żydowskiej tożsamości. Żydzi mają swoją niszę, swoje urocze, egzotyczne, trochę dziwaczne zwyczaje, mogą prezentować religijną i kulturową odmienność. Polacy przywitają ich chlebem i solą, ale pod warunkiem, że tylko oni będą tutaj gospodarzami. Stąd potrzeba mitu wielokulturowego raju. Można wspominać z nostalgią przedwojenne sztetle, mówić o Polin: jak to fajnie, że Żydzi postanowili sobie w naszej Polsce odpocząć i jak to dobrze, że trafili na taki łagodny i dobry lud. A przecież przedwojenna Polska to było dla Żydów piekło.

Wyobraź sobie: żyjesz w kraju, gdzie twoja historia jest manipulowana i instrumentalnie wykorzystywana. Jesteś przedmiotem tej opowieści, ale nie masz głosu, nie możesz jej po swojemu opowiedzieć, nie masz jak, nie masz gdzie, nie masz komu. Jak próbujesz, to jesteś uciszany. Pacyfikują cię mianem „przewrażliwionego”, „straumatyzowanego” albo „stronniczego” – tak jakby polska opowieść o Polsce była obiektywna. Diagnostują cię, zamiast z tobą dyskutować. Zmuszają do potakiwania. Jesteś żywym dowodem, że kłamstwa na twój temat – wielokulturowy raj, cała Polska ratowała Żydów, braterstwo broni, żydowscy kaci w UB – to prawda.

Musisz więc swoje doświadczenia włożyć do skrzyneczki, zamknąć na klucz i powiedzieć, że przemoc to przeszłość. Tak w dużym skrócie wygląda „dialog polsko-żydowski”. Tylko że przemoc trwa. To zaświadczenie i wymuszone milczenie tworzy antysemitcką rzeczywistość.

Czy znasz jakiegoś Żyda mieszkającego w Polsce, który publicznie i na poważnie wyraża gniew z powodu polskiego antysemityzmu?

Nie znam...

– A widzisz. To jest dyscyplina, o której mówimy. Żydzi nie mogą odczuwać gniewu ani żywić urazy, chociaż mają po temu milion powodów. Jeśli pozwolą sobie na coś takiego, uznajemy, że coś z nimi nie w porządku, przecież powinni być wielkoduszni, wybaczyć. Tak potraktowano Henryka Grynberga. Jean Amery – filozof, pochodzący z domu zasymilowanych Żydów austriackich, członek antyhitlerowskiego ruchu oporu, ocalały z Zagłady – pisał, że

skierowane do ofiar oczekiwanie wybaczenia to w istocie kontynuacja przemocy, która miałaby zostać wybaczona.

Literaturoznawczyni Naomi Seidman zbadała historię „Nocy” Elie Wiesela. Książka powstała w jidysz i w oryginale była pełna gniewu. Ale kiedy redagowano francuską wersję, zasugerowano Wieselowi, że ten gniew się nie-Żydom nie spodoba, więc należy go zastąpić metafizycznym smutkiem. Dostosowano książkę do potrzeb tak zwanej ludzkości, czyli ocenzonej żydowską opowieść o tym, jaka ta ludzkość naprawdę była.

Widzisz jakieś wyjście?

– Nie jestem od tego, żeby podsuwać rozwiązania, ale chciałabym wrócić do figury „żydokomuny”. W artykule zatytułowanym „W kwestii żydowskiej” Marks polemizuje z podówczas wpływowym filozofem i teologiem Bruno Bauerem, dla którego warunkiem emancypacji Żydów była rezygnacja z ich żydowskiej osobności: wszystko dla Żydów jako jednostek, nic dla Żydów jako wspólnoty. Dzięki interpretacji brytyjskiego historyka Roberta Fine'a zrozumiałam, że Marks występował przeciwko stawianiu równości jakichkolwiek warunków. Nie może istnieć większość, która będzie decydować: przyjmijmy cię do ludzkiej wspólnoty, dostaniesz prawa, jeśli zrobisz to lub tamto.

Albo: musicie się rozebrać z żydowskości, żeby wejść do wspaniałego świata ludzkości. To był prawdziwy skandal dla politycznych, intelektualnych i społecznych przyzwyczajęń Europejczyków. Skandalem okazał się właśnie radykalny uniwersalizm. Trzeba było wymyślić „żydokomunę”, żeby ten skandal zażegnać. ●

Dr Anna Zawadzka

- socjolożka, pracuje w Instytucie Sławistyki PAN, autorka książki „Więcej niż stereotyp. »Żydokomuna« jako wzór kultury polskiej”.

Tomasz Żukowski

- pracuje w Instytucie Badań Literackich PAN, zajmuje się literaturą współczesną i pamięcią o Zagładzie. Autor książek „Wielki retusz. Jak zapomnieliśmy, że Polacy zabijali Żydów” (2018) i „Pod presją. Co mówią o Zagładzie ci, którym odbieramy głos” (2021). Oba tytuły dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl.

• 2019, Białystok, mural „Utkany wielokulturowością” znów zamalowany antysemitckimi hasłami. Mieszkańcy odnowili go raptem dwa dni wcześniej po poprzednim zniszczeniu. FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/ AGENCIA WYBORCZA.PL



PIEROŻKI

DROGIE, ALE PYSZNE

Edyta Bryła

Tetiana pierwszy raz przyjechała do pracy w Polsce sześć lat temu. To było sprzątanie, na czarno, przez trzy miesiące. Bo przez taki czas można było wtedy przebywać w Polsce bez wizy.

Zarabiała 10 zł na godz., choć płaca minimalna wynosiła wtedy 13,5 zł na godz. brutto (ponad 11 zł netto). Że Polki zarabiały 2 zł na godzinę więcej, dowiedziała się z ich rozmów przy obiedzie. Także dziewczyny, które zaczęły pracę po niej, zarabiały te 2 zł więcej. Machnęła wtedy na to ręką, w Polsce była na krótko, eksperymentalnie, nie widziała sensu, żeby dyskutować czy upominać się o swoje.

Bardziej zabolalo, gdy firma nie chciała jej wypłacić ostatnich 500 zł z wynagrodzenia – wtedy to były dla niej duże pieniądze. Szef miał kłopot, stracił zlecenie na sprzątanie, bo pokłócił się z kontrahentem – zatrudnionym dziewczynom kazał w ramach zemsty zabrać wszystko ze sprzątanego biura, łącznie z papierem toaletowym.

Obiecał, że ostatnią pensję wyśle przelewem, ale Tetiana się go nie doczekała. Potem już wiedziała, że trzeba mieć umowę, a nie tylko podpisać na liście, że wynagrodzenie pobrane.

Za drugim podejściem było już inaczej – przyjechała do etatowej pracy w domu opieki społecznej. Wcześniej zrobiła w Polsce kurs językowy i dwuletni kurs terapeutki zajęciowej, teraz pracuje w tym zawodzie. Zaczynała od zarobków 3,2 tys. zł na rękę, teraz ma 5 tys. zł (dzięki uznaniu jej stażu pracy jeszcze w Ukrainie), tyle co inni na tym stanowisku. Jest zadowolona. – Może nie są to wielkie pieniądze, ale pomagam ludziom, organizuję im zajęcia, wyjścia kulturalno-oświatowe. To dla mnie przyjemność i nie jest to ciężka praca – mówi.

– Są stereotypy, że osoby z Ukrainy i inni cudzoziemcy pracują tylko w sprzątaniu, na budowach. Nie zawsze tak jest. Można przyuczyć się do jakiegoś zawodu i zarabiać – dodaje.

Inny stereotyp to taki, że Ukraińcy, którzy przyjechali do Polski, są biedni. I w związku z tym chętnie będą robić cokolwiek, byle tylko zarobić. A jest inaczej. W Ukrainie mieli pieniądze, dobre prace i biznesy. Nie jest im teraz łatwo przywyknąć do innego stylu życia.

Póki nie stanie bardziej na nogi, Tetiana ma pokój w mieszkaniu kobiety, którą zarobkowo opiekuje się jej mama. Mamie rekompensuje to niższe wynagrodzenie. Tetiana uważa, że jest jej łatwiej, bo nie ma dzieci – wtedy musiałaby wynajmować mieszkanie, potrzeby byłyby większe. Kobiety z dziećmi bez dobrego zarobku, mu-

**Jeśli polska
klasa średnia
myśli,
że Ukrainki
posprzątają
im mieszkanie
taniej niż Polki,
to czas
zmienić
zdanie.**

szą się decydować na emigrację dalej, gdzie zarobią w euro, albo na powrót do Ukrainy. Z kolei jej znajoma pojechała do Irlandii, gdzie może mieszkać w hotelu dla uchodźców za 5 euro dziennie. Wkrótce będzie tam też sprzątać.

Wiele innych znajomych zarabia jako pokojówki czy osoby sprząające. W domu opieki, gdzie pracuje Tetiana, dziewczyna z Charkowa jest opiekunką medyczną. Nie może być pielęgniarką, bo trudno jest nostryfikować dyplom. Nie skarży się, choć w swoim zawodzie zarobiłaby lepiej. – Ale ona też niespecjalnie chce coś tu zmieniać i się tu urządzać, bo marzy, by po prostu wrócić do Ukrainy jak tylko skończy się wojna – mówi Tetiana. I dodaje, że ona w Polsce chce już zostać – myśli o kredycie na mieszkanie.

Pracy w Europie będzie coraz mniej

W lipcu 2024 roku płaca minimalna w Polsce na rękę wyniesie ponad 3,2 tys. zł. Na przestrzeni ostatnich pięciu lat oznacza to wzrost o sto procent.

Ale też, że w 2019 roku na minimalnej pensji było 1,5 mln osób, teraz będzie nawet 4,6 mln.

Choć 3,2 tys. zł na przeżycie to i tak mało, dla pracodawców to nieraz oznacza ogromny wzrost kosztów. A za małego budżetu na zatrudnienie nie da się już – albo jest to trudniejsze – latać pracą obcokrajowców za mniejsze pieniądze. – Nie ma już czegoś takiego jak tania siła robocza. Byłaby wtedy, gdyby droższą dało się zastąpić tańszą. A stawki się nie zmieniają, ewentualnie na miejsce jednych pracowników przychodzą inni – mówi Krzysztof Inglot, prezes Personnel Service.

Sytuację pracodawców długo ratowali przede wszystkim Ukraińcy, nieraz pracując poniżej płacy minimalnej. Zaczęli licznie przyjeżdżać do Polski więcej od 2014 roku, po agresji Rosji na Krym. Jak mówi Inglot, wzajemnie się wtedy poznawaliśmy („sprawdzaliśmy, co z tego wyjdzie”).

Były obawy, że Ukraińcy zajmą miejsca pracy Polaków, ale tak się, według niego, nie stało – zajęli te, na które ciężko było znaleźć chętnych Polaków. Bo oni na przykład woleli jechać do pracy na Zachód.

Pracowali w magazynach, w logistyce. Według niego koszt zatrudnienia osób z Ukrainy był i jest nawet wyższy niż z Polski, bo jeszcze trzeba im opłacić kwaterunek.

Polscy pracodawcy byli w komfortowej sytuacji zwłaszcza do wybuchu wojny w 2022 roku, bo Ukraińcom trudniej było wyjechać dalej na Zachód. Na przykład w Niemczech potrzebowali wiz i znajomości języka. Formalności były skomplikowane. Wszystko zmieniła wojna – wtedy zachodnie kraje się otworzyły i bez żadnych certyfikatów Ukraińcy mogli pracować już we Francji, Hiszpanii, Włoszech, Niemczech, Kanadzie. Wiele wyjechało. Mają tam oferty za około 1,5 tys. euro.

Ile zarabiają w Polsce? Głównie minimalną – tyle dostaje być może nawet 80 proc. Ukraińców i Ukrainek.

Ale wielu waha się, czy wyjeżdżać tak daleko. Negocjują więc w Polsce 500 zł wynagrodzenia więcej, według Inglota nie zawsze z dobrym efektem. Popyt i podaż pracowników są w miarę zrównoważone. Na Zachodzie koncerny już zwalniają. Spowalnia bowiem rynek motoryzacyjny, w którym pracuje wiele imigrantów, przez co zatrudnienie na Zachodzie też nie jest pewne. Produkcja słabnie, bo napływają o połowę tańsze samochody elektryczne z Chin.

Inglot wskazuje, że przez automatyzację, sztuczną inteligencję i zmiany na ryn-

ku, podaź pracy będzie spadać. – Uważam, że nigdy nie będzie już więcej miejsc pracy w Europie niż jest teraz. Wytworzyliśmy ich już maksimum i ich liczba będzie spadać – mówi. To oznacza, że presja na płace może w przyszłości maleć.

Zatrudnianie na czarno, poniżej minimalnej? Ewentualnie w bardziej docieśnietym sektorze rolniczym. – Ale to o wiele mniejsze zjawisko niż przed wojną. Widać po liczbach rejestracji w ZUS, że pracownicy z Ukrainy wolą być ubezpieczeni w Polsce i nie ryzykować. Dlaczego? Bo w razie choroby czy wypadku możliwe, że nie będą mogli wrócić do Ukrainy, żeby tam otrzymać pomoc – mówi Ingłot.

Paznokcie za pół ceny

Svitlana Petruk prowadzi na warszawskim Mokotowie własny salon kosmetyczny Beauty House. Zaczynała pięć lat temu. Czy było trudno? Bardzo, bo nie miała wtedy jeszcze karty pobytu, a bez niej formalności były niełatwe do przejścia.

Nie można było założyć działalności gospodarczej, a tylko spółkę. Najtrudniej było znaleźć bank, który otworzyłby jej firmowe konto. Jeśli jakiś chciał, to na złych warunkach. – Ukraińcy, którzy przyjechali po wybuchu wojny mają w biznesie o wiele łatwiej, bo status uchodźcy daje więcej możliwości, jak choćby założenia działalności gospodarczej – mówi.

Ale potem było dobrze, zarabiała odczuwalnie więcej, niż gdyby pracowała u kogoś. Trudno było tylko o pracownice, bo wciąż odchodziły, co zmieniło się dopiero po wybuchu wojny. Chętnych do pracy wreszcie nie brakowało. Za to konkurencji jest teraz o wiele więcej i prowadzenie salonu coraz mniej się opłaca.

Manikiurzystką Svitlana była już na studiach (kierunek zarządzanie jakością na Uniwersytecie Szczecińskim), zarabiała też sprzątaniam. Nigdy nie czuła, by ktoś chciał jej płacić mniej niż Polkom. Myśli, że może dlatego, że mieszkała w zachodniej Polsce, bo na przykład znajomi pracujący w Lublinie, gdzie Ukraińców było o wiele więcej, często opowiadali o wyzysku. Gdy płaca minimalna wynosiła 7 zł, koleżanka dostawała 4,5 zł. – Nikt się wtedy za bardzo nie upominał o swoje. Chodziło o to, by zarobić i wracać do Ukrainy, a nawet z tych 4,5 zł można było być wtedy zadowoloną, w porównaniu do tego, co było w domu – wspomina.

Ale dziś jest inaczej. Kontroli jest więcej, pracownicy znają swoje prawa, pracodawcy boją się oszukiwać.

Jasne, nie ma cudów – jeśli pracodawca ma do wyboru Ukrainka, który będzie pracował za minimalną i Polaka, który chce więcej, wybierze tego pierwszego. Svitlana: – Ale za mniej niż minimalną mało kto zgodzi się pracować. Ukraińcy też cenią swoją pracę, a koszty życia są takie, że się to nie opłaca. Po drugie Ukraińcy potrzebują legalnej pracy, by mieć kartę pobytu.

Pytam, dlaczego u Svitlany jest taniej niż w wielu okolicznych salonach. Mówi, że nie zaniża cennika specjalnie. – Zawsze miałam podobne ceny jak u innych. Tylko że ostatnio wszędzie gwałtownie wzrosły. A ja mam klientki, które przychodzą do mnie od czterech lat i nie mam sumienia robić takich podwyżek.

Najtaniej, np. za 60 zł, czyli połowę ceny w wielu salonach, jest zrobić manicure w domu u dziewczyn, które dorabiają albo pracują w szarej strefie. – Wiele Ukrainek to robi, dorabia po pracy w salonie, ale Polek na pewno więcej. Bo Ukrainki muszą mieć przede wszystkim legalną pracę, żeby mieć legalny pobyt – mówi Svitlana.

Tadeusz, kierownik warsztatu meblarskiego w łódzkiem przyznaje, że zarobki Ukraińców były niższe od Polaków tylko na samym początku, jeszcze przed wybuchem wojny w 2022 roku. Mieli płacone mniej, bo „wtedy nikt nie wiedział jak to będzie”.

Ale zarobki szybko się wyrównały. – Dobrzy pracownicy dostają podwyżki i premie, i nie ma znaczenia, jakiej są narodowości. To proste, dobrego pracownika się

nie zatrzyma, jeśli mu się dobrze nie płaci – mówi.

Niektórzy i tak odchodzą, ale jeszcze żaden nie wyjechał za granicę. Dostają lepiej płatne oferty w innych miastach.

Pierożki drogie, ale pyszne

Yuriy Grygorenko z firmy Gremi Personal (zajmuje się pośrednictwem zatrudnienia migrantów zarobkowych) pracował w Polsce już podczas studiów, za 7 zł na rękę, bez żadnej umowy, choć miał pozwolenie na pracę. Nauczył się wtedy dobrze polskiego. Potem był menadżerem w hurtowni części samochodowych, pracował jako doradca klienta, agent nieruchomości, przedstawiciel handlowy... – Byłem zawsze bardzo komunikatywny, dzięki czemu przebiłem się i odnalazłem na rynku pracy. Inaczej też bym poszedł na produkcję. Wiele moich kolegów w tamtym czasie nie mogło znieść tego, że przegrywają konkurencję z Polakami na rynku pracy. Wrócili do Ukrainy albo emigrowali dalej, żeby chociaż pieniądze był lepsze, nawet jeśli praca nie odpowiadała wykształceniu – mówi.

Jednak w pandemii też miał kłopoty. Rozesłał 100 CV, ale nikt nie odpowiedział. Pracę w obecnej firmie zdobył, bo zadzwonił bezpośrednio do prezesa.

Myśli, że jego doświadczenie jest zgodne z wynikami badania, które pokazało, że pracodawcy o wiele rzadziej odpowiadają na CV osoby z Ukrainy, nawet jeśli ma ona niemal identyczne kwalifikacje i doświadczenie jak kandydat z Polski. W badaniu ukraińskie CV odróżniało od polskiego tylko obco brzmiące imię i nazwisko.

– To dyskryminacja, ale w tych wynikach nie ma nic zaskakującego. To normalne, że pracodawcy obawiają się komplikacji, na przykład bariery formalnej, kulturowej i językowej. To będzie trwało, ale polscy pracodawcy zaczną w końcu doceniać kwalifikacje Ukraińców i wtedy możliwości będą bardziej wyrównane – mówi Grygorenko.

W jego odczuciu, rynek pracy Ukraińców w Polsce zaczął się gwałtownie cywilizować 2-3 lata temu. Ludzie informują się szybko, że gdzieś ktoś oszukuje lub który pracodawca jest godny polecenia. – Zajmują się tym nawet influencerzy – mówi Grygorenko.

Jak tłumaczy, wcześniej zmiana pracy wymagała wielu formalności i była trudna – wymagała przerwy w zatrudnieniu – a teraz zmieniła ją można z dnia na dzień. Pracodawcom trudniej jest ich więc wykorzystywać. – Oszczędności z zatrudniania innych narodowości? Tego już nie ma. Jeśli pracodawca próbuje płacić poniżej płacy minimalnej, to pracownik prędzej poszuka pracy w szarej strefie za większe pieniądze, niż się na to zgodzi.

Piętrowe łóżka w salach dla 20 osób z jedną łazienką? To już rzadko spotykane i taka propozycja prawie nie ma szans.

Ale czy Ukraińcy są przez to zadowoleni z pracy w Polsce? Jasne, że nie są, bo pracują poniżej kwalifikacji, prawie zawsze za minimalną krajową. Dwie trzecie uchodźców ma wyższe wykształcenie i ambicje, by pracować w zawodzie (nie przypadkiem akurat dwie trzecie pracowników, według badań, jest niezadowolonych).

Pojawiają się oskarżenia, że Ukraińcy są roszczeniowi, bo chcą lepszej pracy i płacy, i wyjeżdżają na Zachód, gdzie,

o dziwo, zarabiają lepiej. Grygorenko: – Wiadomo, zawsze znajdzie się ktoś, kto ma wygórowane oczekiwania. Ale każdy porównuje oferty i wybiera najlepszą. Zaczynają chcieć więcej i nostryfikują dyplomy. Zwłaszcza, że wiedzą, że nie wrócą w najbliższych latach do siebie.

Coraz mniej osób decyduje się na pracę bez umowy, choć wciąż sporo działalności usługowej jest w szarej strefie – to na przykład manikiurzystki przyjmujące w domu za połowę zwykłej stawki. Ale robią tak wszyscy w branży, Ukrainki, Polki, Azjatki. Jednocześnie do Polski weszły jednak usługi premium ukraińskich firm, w tym sieciówek. Są w tych samych cenach albo wyższych, co te oferowane przez polskie firmy. To salony fryzjerskie, barber shopy, gastronomia. Zostały dobrze przyjęte i prosperują.

Pojawił się nowy rynek firm sprzątających, często prowadzonych przez Ukraińców. Zamiast umawiać się indywidualnie, osobę sprzątającą przysyła firma. – Zwykle to droższa usługa, ale od niedawna znaleźli się na to klienci – mówi. Sam był mocno zaskoczony, gdy jedna z takim firmą wyceniała pierwsze sprząatanie jego mieszkania na ponad 600 zł.

Grygorenko tłumaczy, że w Polsce rozwijają się firmy akurat z segmentu premium, bo w Ukrainie społeczeństwo jest rozwarstwione i nie ma klasy średniej, biznesy oferują usługi albo mocno budżetowe albo premium. Te ostatnie wpasowały się w Polsce w gusta i możliwości cenowe klasy średniej.

Oksana: –Nowe są do niczego. Nie umieją nawet zmywarki włączyć, zlewu doczyścić. Nie chcą pracować, tylko zarabiać.

– Pierożki jednej z ukraińskiej sieciówki choć dwa razy droższe niż w sklepie, są rozchwytywane, bo świetne. Firma konkuruje na równych, rynkowych warunkach. Sam jestem pod wielkim wrażeniem, jak szybko te firmy się aklimatyzują – mówi.

Podkreśla jednak, że to wąska grupa przedsiębiorców i firm. Zdecydowana większość specjalistów i kadry menadżerskiej w wielu innych segmentach nie może liczyć na podobny sukces w Polsce.

Ukraińcy coraz częściej poszukują dobrego życia – mówi – a nie tylko jak najlepszego zarobku. Osiedlają się w większych polskich miastach lub na ich obrzeżach, gdzie jest dostęp do infrastruktury, usług i rozrywki, gdzie komfortowo się mieszka. – To już nie ten sam migrant zarobkowy, co przed wojną, kiedy kluczone było, ile zarobić i jak mało mogę wydać.

Karolina sprząta sama

Oksana zawodowo sprząta. Na zarobki w Polsce też nie narzeka – póki klienci są uczciwi i płacą faktury. Nie czuła się dyskryminowana – czasem Polki, z którymi sprzątała, miały płacone mniej od niej, bo brała na siebie więcej pracy. Zaczynała od stawek 17 zł za godzinę na rękę. Pracowała na dwa etaty, po 15-16 godzin, bank dał jej kredyt na mieszkanie.

Teraz bierze 40 zł po podatku, 45 zł po remoncie. Ma swoją firmę sprzątającą.

Zatrudnia osiem osób, płaci im 24-25 zł za godzinę na rękę. I one na pracę narzekają, a Oksana na nie. – Są do niczego. Uczysz je od podstaw, nie umieją nawet zmywarki włączyć, zlewu doczyścić. Nie chcą pracować, tylko zarabiać. Moje pokolenie, rocznik 80., jest o wiele bardziej pracowite. Dziewczyny, które przyjechały ostatnio, już chęci nie mają – mówi.

Jeśli polska klasa średnia myśli, że Ukrainki posprzątają im mieszkanie ta-

niej niż Polki, to czas zmienić zdanie. Już dwa lata temu za posprzątanie 50-metrowego mieszkania pani Karolina płaciła 240 zł. Ale gdy mocno wzrosły inne rachunki najpierw po prostu umawiała się na usługi coraz rzadziej, raz na miesiąc, potem zrezygnowała z nich całkiem i sprząta sama.

Ale da się też znaleźć sprząatanie taniej. Pani Agata za posprzątanie 70-metrowego mieszkania płaci 180 zł (zajmuje to 3,5 godz.), pani Ewa tylko 25 zł za godzinę.

Za to pani Paulina nawet nie miała jeszcze szansy ponegocjować stawek, bo nie może znaleźć nikogo do sprzątania.

Zachodnie kobiety i homo sovieticus

Sławomir Majman, wicedyrektor Instytutu Bezpieczeństwa i Rozwoju Międzynarodowego (fundacja zajmująca się problematyką krajów dawnego Związku Radzieckiego) uważa za naturalne, że Ukraińcy zarabiają mniej niż Polacy wykonujący tę samą pracę. – Emigracja zawsze oznacza na początku obniżenie statusu zawodowego. Po drugie, to kwestia uznawalności dyplomu i języka – mówi.

Duża część uchodźców to obywatele klasy średniej, przyjechali z pieniędzmi, własnymi samochodami, są wykształceni. Ale dla większości szybkie znalezienie pracy we własnym zawodzie jest trudne albo niemożliwe, więc z braku opcji decydowali się na pracę poniżej kwalifikacji. Dyrektor zostaje szeregowym pracownikiem korporacji, lekarz paramedykiem.

Jednak sytuacja szybko się zmienia.

– Umieją konkurować z Polakami na równych zasadach i to zjawisko wygląda na trwałe. To nieroszczeniowa grupa, która w miarę bezkolizyjnie i zaskakująco szybko włączyła się w polski rynek pracy – uważa Majman.

Dlaczego było to możliwe? Dzięki klimatowi powszechnej życzliwości i sympatii wobec Ukraińców po wybuchu wojny. – Co ciekawe, moi znajomi ukraińscy wytykają nam, że Polska tak naprawdę skorzystała na uchodźcach. Mówią, żebyśmy już tak nie epatowali tym, że tak pomagamy, bo fachowcy z Ukrainy polatali polski rynek pracy. W pewnym stopniu to prawdą.

O jakich chodzi fachowców? W wysokich technologiach, IT, R&D (badania i rozwój). – Polska nie miała problemów z pozyskaniem inwestycji zagranicznych, a z pozyskaniem ludzi, by je obsłużyć – mówi.

Ponieważ przyjechały głównie kobiety, to one zapełniały luki w marketingu, IT, nowych technologiach. No i masowo otwierały w Polsce działalność gospodarczą, często podobną do tej, którą prowadziły w Ukrainie. Część biznesów oferuje usługi szczególnie pod potrzeby Ukraińcom – gastronomiczne czy kurierskie. Ale nie tylko.

Majman podkreśla, że duża grupa uchodźców to osoby znające świat, czujące się na Zachodzie swobodnie jak Polki i Polacy. Znowu, dotyczy to zwłaszcza Ukrainek, które jego zdaniem rozwijają się i ewoluują znacznie szybciej niż ich partnerzy. – Widać to w kontaktach zawodowych i towarzyskich, po sposobie mówienia i bycia. Między Ukraińcami i Ukrainkami jest luka cywilizacyjna. Kobiety są bardziej oswojone z wartościami Zachodu, mężczyźni zastygli w innej epoce, to nadal homo sovieticus – uważa Majman. ●

Jak działa Żelazna Kopuła

AMERYKAŃSKIE DOLARY, IZRAELSKIE SZARE KOMÓRKI

Gdyby 20 lat temu generał inżynier Daniel Gold nie wykazał się niesubordynacją, dziś Tel Awiw wyglądałby jak Charków

tekst **Bartosz T. Wieliński** infografiki **Wawrzyniec Święcicki**

– To nie ma prawa się udać – mówili amerykańscy specjaliści od obrony powietrznej. Pociski ziemia-ziemia, które chałupniczo produkowali technicy Hezbollahu, proirańskiej milicji kontrolującej południowy Liban, były za bardzo nieprzewidywalne.

Składały się z długiej na półtora metra stalowej rury o średnicy 11 cm, do której przyspawano dyszę i brzechwy stabilizujące lot. Za paliwo służyła mieszanka używanej jako nawóz saletry potasowej i cukru, jako materiał wybuchowy azotan mocznika, substancja również stosowana w rolnictwie. Całość ważyła 35 kg.

Tego typu pociski czasami spadały zaraz po starcie, a gdy leciały dłużej, ich trajektorii w żaden sposób nie dało się przewidzieć zwłaszcza, że lot liczyło się w sekundach. Zwykle nie wyrządzały nikomu szkody, ale gdy Hezbollah i kontrolujący Strefę Gazy Hamas zaczęły odpalać je setkami... Nagłówki izraelskich gazet alarmowały o rannych mieszkańcach przygranicznych kibuców, którzy nie zdołali się schronić na czas.

Amerykanie, ale też Izraelczycy rozkładali ręce. Ale nie generał brygady lotnictwa Daniel Gold, dyplomowany elektronik, szef zarządu badań i rozwoju izraelskich sił zbrojnych. Gold wbrew swoim przełożonym postanowił w 2004 r. stworzyć skuteczny system antyrakietowy, który będzie bronić pogranicza. Jego zespół, w skład którego wchodził bardzo młodzi i bardzo sędziwi inżynierowie, programiści i matematycy, analizował dostępne opcje: lasery, szybkostrzelne działka (sugerowali to Amerykanie) i wyrzutnie tanich rakiet ziemia-powietrzne, na które ostatecznie postanowiono.

W 2005 r. Gold, który miał dość przepychanek z wojskową i rządową biurokracją, na własną rękę zlecił opracowanie poszczególnych elementów systemu izraelskim koncernom zbrojeniowym. Izraelski odpowiednik NIK wszczął dochodzenie, temat marnotrawienia publicznych pieniędzy przez wojsko stał się pożywką dla polityków.

Ale w 2006 r., gdy Izrael zaatakował Liban, na kraj zaczął spadać deszcz pocisków. W ostrzałach rannych zostało ponad 300 osób. W ciągu dwóch lat liczba ofiar zwiększyła się dwukrotnie. System, który tworzył generał Gold, okazał się potrzebny, i to pilnie.

Jeden z izraelskich wojskowych wspomina, że początkowo miał nazywać się Złota Kopuła. Ale ostatecznie przymiotnik odnoszący się do złota uznano za zbyt pretensjonalny. Stało na żelazie. Złoto, czyli pieniądze, przyszło ze Stanów. W 2009 r. Sderot, położone tuż przy granicy ze Strefą Gazy i nieustannie ostrzeliwane izraelskie miasto, odwiedził prezydent USA Barack Obama i obiecał wsparcie rozwoju systemu Żelaznej Kopuły. W ciągu dekady Amerykanie przeznaczili na ten cel 1,6 mld dolarów.

Pierwsze pociski odpalone ze strefy Gazy Żelazna Kopuła zestrzeliła w kwietniu 2014 r. Hamas i Hezbollah szybko zmieniły taktykę, zamiast odpalać pociski pojedynczo, atakowali, odpalając po kilkanaście, kilkadziesiąt pocisków, by przeciążyć komputery izraelskiego systemu.

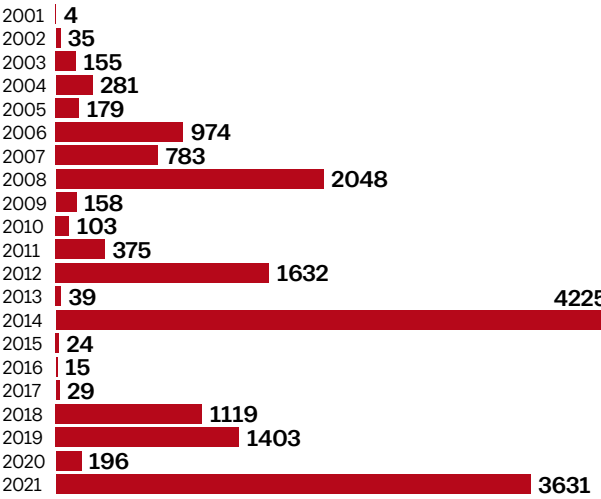
Jednak skuteczność systemu nieustannie rosła. Jeszcze w 2014 r. osiągnęła 90 proc. Niedawno oprogramowanie Żelaznej Kopuły zmodyfikowano tak, by mogła niszczyć drony i pociski moździerzowe. Wyrzutnie mają być też instalowane na okrętach.

Podczas ataku Iranu w nocy z 13 na 14 kwietnia, gdy w kierunku Izraela odpalono ponad 300 pocisków manewrujących, balistycznych i dronów kamikadze, Żelazna Kopuła była ostatnią linią obrony. Nadlatujące na Izrael pociski i drony niszczyło lotnictwo (oprócz izraelskich myśliwców, także maszyny z USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Jordanii), a pociski balistyczne eliminowały w stratosferze rakiety Arrow 3, wchodzące w skład systemu obrony dalekiego zasięgu o nazwie Proca Dawida.

Lecz obsługa systemów Żelaznej Kopuły i tak miała co robić. Niebo nad Izraelem znaczyły liczne rozbłyski. To znak, że pocisk Tamir dosięgnął celu.

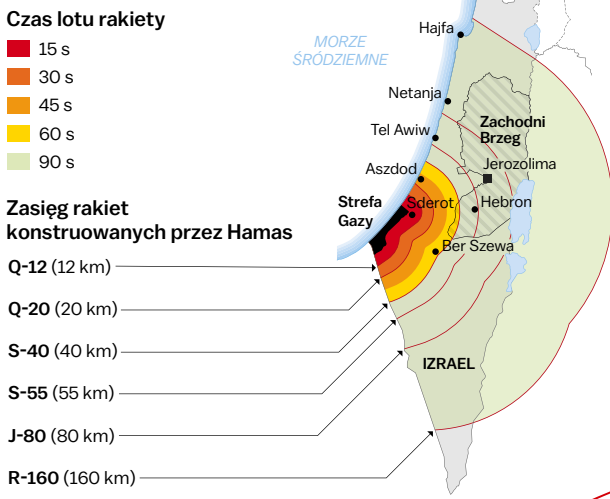
Z 320 irańskich pocisków przebiło się jedynie siedem.

Liczba ataków rakietowych na Izrael ze Strefy Gazy



ŹRÓDŁO: BEN SASSON-GORDIS, MEIR AMIT TERRORISM AND INFORMATION CENTER

Zagrożenie rakietowe dla Izraela



Żelazna Kopuła (Iron Dom)

W 2001 r. Hamas wystrzelił pierwsze rakiety w kierunku Izraela z okupowanej Strefy Gazy. Początkowo były to 4 rakiety, rok później 35 rakiet, a dwa lata później 153 rakiety. Gdy w 2004 r. na Izrael spadły 283 rakiety, zrodził się pomysł opracowania skutecznego systemu dopasowanego do specyfiki tych ataków. System ten został nazwany Żelazną Kopułą i pojawił się w siłach zbrojnych Izraela w 2011 r. Od tego czasu jest nieustannie testowany i udoskonalany. W rezultacie osiągnął niespotykaną skuteczność.

W listopadzie 2012 r. podczas operacji „Filar Obrony” system wykazał się skutecznością na poziomie **84 proc.**

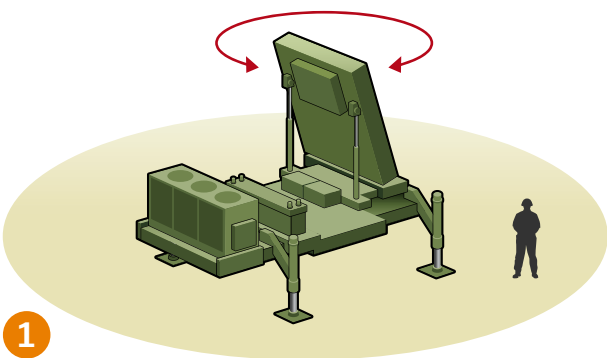
W 2014 r. podczas operacji „Ochronny Brzeg” armia podała, że skuteczność systemu wyniosła **89,6 proc.**

W maju 2021 r. podczas operacji „Strażnik Murów”, w trakcie której na Izrael wystrzelono 4400 pocisków, system osiągnął skuteczność na poziomie **90 proc.**

Armia podała, że w trakcie operacji „Alot ha-Szachar” w 2022 r. system skutecznie przechwycił **96 proc.** pocisków.

Żaden inny sytem obrony przeciwrakietowej nie może pochwalić się zbliżoną efektywnością.

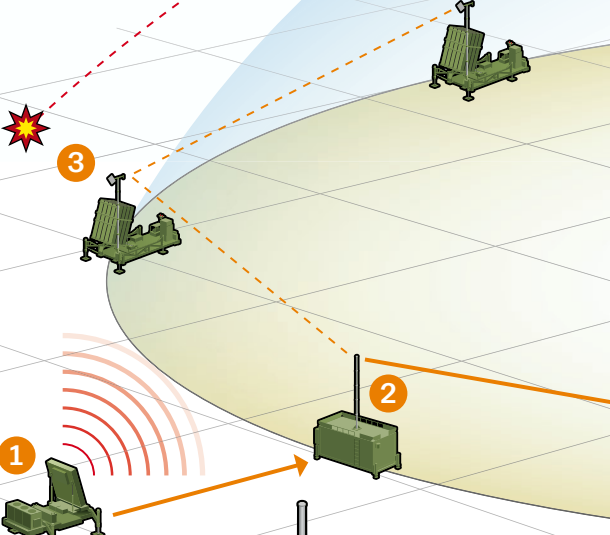
Radar wykrywa zbliżające się pociski nieprzyjaciela. Identyfikuje je, oblicza i aktualizuje ich trajektorie. Informacje wysyła do centrum dowodzenia.



MOBILNY WIELOZADANIOWY RADAR MMR

Służy do zwiadu powietrznego, kierowania ogniem i wsparcia ognia kontrartylerijskiego. W czasie rzeczywistym rozpoznaje i klasyfikuje nadlatujące cele (pociski artyleryjskie, moździerze, rakiety, drony itp.) następnie oblicza i na bieżąco aktualizuje ich trajektorie. Działa niezależnie od warunków pogodowych i pory dnia. Może śledzić 1100 celów z dystansu 474 km w trybie dozoru oraz 200 celów na minutę w trybie kierowania ogniem.

Rakiety, które nie stanowią zagrożenia, nie są niszczone

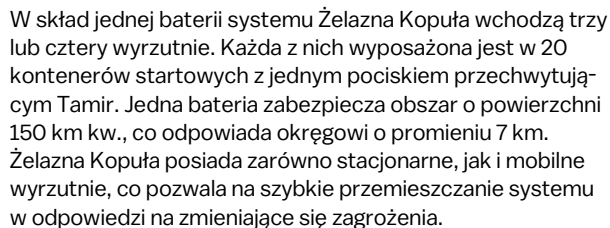
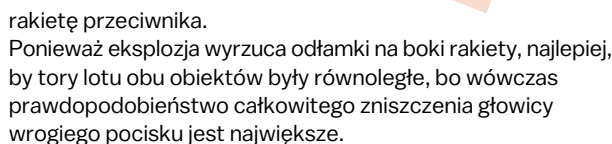


Centrum dowodzenia analizuje dane radarowe i podejmuje decyzję o ewentualnym zestrzeleniu wrogiego obiektu przez najbliższą wyrzutnię.

CENTRUM DOWODZENIA I KONTROLI

Ocenia na podstawie danych radarowych i zaawansowanych algorytmów komputerowych, które z wykrytych pocisków faktycznie stanowią zagrożenie dla obszarów zamieszkałych lub strategicznych. Decyzja o odpaleniu przeciwrakiety jest podejmowana tylko wtedy, gdy rakietę uznaje się za rzeczywiste zagrożenie. To pozwala na efektywniejsze zarządzanie amunicją i minimalizowanie kosztów, gdyż nie każda wykryta rakietą jest przechwytywana.

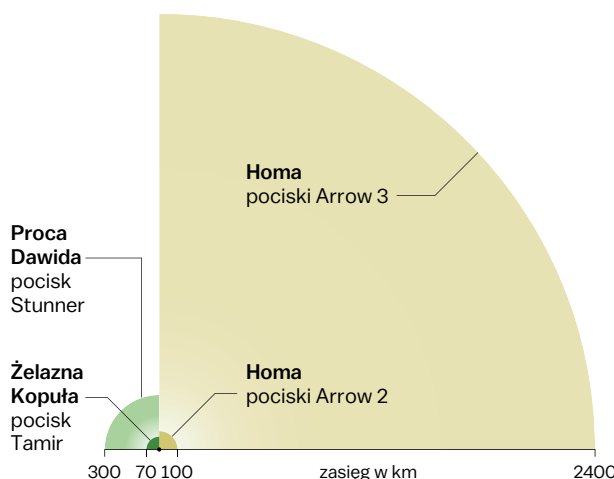
Koszt: ok. 50 tys. dol.



A diagram illustrating a missile intercepting a target at a 90-degree angle. A green missile is shown in the upper left, moving towards a target (a grey object) in the lower right. A red dashed line indicates the missile's path. A yellow starburst at the point of impact represents the interception. A green dashed line from the target to the interception point is labeled "90 st." (90 degrees). The background is a light blue circle.

Żelazna Kopuła jest również relatywnie tania. Koszt jednej baterii to 50 mln dolarów, natomiast koszt jednego przechwycenia to 100-150 tys. dolarów. To 20 razy mniej niż w przypadku amerykańskiego systemu Patriot, którego jedna rakieta kosztuje ok. 3 mln dolarów.

W 2017 r. do służby weszła udoskonalona wersja pocisku Arrow 3. Jego zasięg dochodzi do 2400 km i osiąga pułap 100 km. Uzbrojony jest w głowicę zawierającą 150 kg materiału wybuchowego. Umożliwia likwidowanie pocisków balistycznych w przestrzeni kosmicznej oraz satelitów na niskich orbitach.



ŹRÓDŁA: WIKIPEDIA, ARMY-TECHNOLOGY.COM, DEFENCE24



FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

TAKI DOBRY DOMEK BYŁ

Nikt tu nie ma wątpliwości: wojna wkroczyła w nową fazę. I jest ona jeszcze straszniejsza niż poprzednie.

Michał Olszewski, Piotr Andrusieczko

Trzy tygodnie po tym, jak w blok przy ulicy Hierasima Kondratiewa 112 w położonym 30 kilometrów od granicy z Rosją mieście Sumy uderzył dron Shahed, Wiktorina Panasenko stoi w ruinach mieszkania. Zamiast dużego pokoju ziele jama bez sufitu – zawalił się podczas akcji gaśniczej. Nie ma ściany nośnej, zastąpionej przez dużą płytę OSB, żeby nikt nie chodził po pogorzelsku.

Na tym, co było podłogą, wśród nieuprzątniętych kawałków gruzu, leżą resztki dawnego życia: ubrania, kosz z wikliny, pudełko z Hello Kitty, pościel, zdarte strumieniem wody tapety. Ocalał kredens, a w nim przemieszane z kawałkami żelbetowej płyty, leki, smoczki, pasta do zębów i dziecięce przybory. Z półki spogląda jasnym wzrokiem wielkie i uśmiechnięte jajko Kinder Bueno – to z okularami na czole i beżową pilotką. Śmierdzi spalenizną.

Było tak: obudziły się, kiedy nad blokiem przeleciał pierwszy dron. Prawdopodobnie celował w budynek sądu po drugiej stronie ulic. Hałas „szahida” przypomina dźwięk rozpędzonego skutera, tyle że jest głośniejszy. Wiktorina kazała schować się starszej córce w ubikacji, sama poszła do mniejszego pokoju, żeby wziąć na ręce młodszą, niepełnosprawną córkę. Wtedy usłyszała huk. Mieszkanie napelniło się dymem.

Krzyknęła do starszej córki: „Nastia, żyjesz?”

Nastia odpowiedziała „Żyje”. Jak stały, tak uciekły.

Nad ich głowami zginęły trzy osoby. Mieszkańcy bloku przy Kondratiewa nie mieli tyle szczęścia co ci z bloku przy Parkowej – tam „szahida” zatrzymały wysokie brzozy, owszem, wyleciały wszystkie szyby, ale budynek ocalał.

Kiedy Panasenko stoi w środku ruin, skojarzenia muszą być jednoznaczne: tak z pewnością po wojnie stały kobiety w pogorzelskich warszawskich kamienic.

Niech was nie zwiodą Sumy w świetle wiosennego poranka. Rany po Rosji nie są tak widoczne i rozległe jak w niedalekim Charkowie. Miasto jest rozległe, przestronne, dużo tu miejsca dla każdego, życie nawet w dzień powszedni toczy się jakby leniwie, może dlatego, że połowa mieszkańców uciekła. Dobrze

widzieć to po zmroku – światła w blokach wyglądają jak nawigacyjne lampki statków w morzu ciemności.

Jednak w Sumach nikt nie ma wątpliwości, że wojna wkroczyła w nową fazę. Widać to w statystykach: w porównaniu z lutym w marcu liczba alarmów powietrznych w obwodzie sumskim wzrosła niemal dwukrotnie, choć po prawdzie nie mają one tutaj aż tak wielkiego znaczenia – mieszkańcy już dawno obliczyli, że rakietą z wyrzutni schowanej gdzieś w lasach pod Kurskiem leci do nich minutę. Zdarzają się dni, kiedy w obwodzie sumskim notowane jest 21 ostrzałów i 120 wybuchów. Czekasz na pociąg na dworcu, pociąg odjeżdża planowo, chwilę później w pobliżu spada KAB i wylatują wszystkie szyby w budynku. Zadzierasz głowę, niebo jest bezchmurne i sam już nie wiesz, czy masz przywidzenia, czy też w słońcu błyszczą ledwo widoczny punkt, czyli rosyjski dron zwiadowczy.

O KAB-ach, czyli bombach szybujących, które mogą być wystrzeliwane przez lotnictwo rosyjskie z dalszej odległości, mówi się w Sumach, jak i w całej Ukrainie, ze strachem. Portal Defence 24 wyliczył, że w marcu został pobity dramatyczny rekord: na kraj spadło 2300 takich bomb, nie tylko klasycznych ładunków o masie 500 kg, ale również trzykrotnie cięższych. Dla porównania: jeszcze w lutym było ich 1500. O czym to świadczy, w Sumach gło-

śno nikt nie chce mówić, żeby nie obniżać morale.

Jest słoneczny poniedziałek. Wspólnie z aktywistami humanitarnej organizacji Mereziowo jedziemy do położonej 50 kilometrów na południe Ochtyrki. W czasie jazdy dowiadujemy się, że KAB-y upadły w okolicach lotniska w Sumach. Rozpoczyna się dzwonięcie do bliskich, nerwowe przeglądanie Telegrama, oczekiwanie na pierwsze zdjęcie. W tym samym czasie na centrum położonego niedaleko na zachód od Sum Bilopola spadają cztery KAB-y, które równają centrum miasta i dzielnicę targową z ziemią. Ponad dwa lata od wybuchu wojny historia zatacza koło, wracając z tą samą siłą.

Po drodze zajeżdżamy jeszcze do Switłany Bondariewny, dyrektorki przedszkola i domu kultury w położonych o trzy kilometry od granicy z Rosją Uhro-idów. Bondariewna opowiada część historii, która zniknęła z polskich i europejskich oczu, a w Ukrainie jest codziennością. Granica opustoszała. Po scenach sprzed ponad dwóch lat, kiedy na zachód szły lub jechały miliony uciekinierów, pozostało mgliste wspomnienie. Rozproszyli się po świecie, roztopili w innych krajach. Tymczasem według ministerstwa do spraw reintegracji tymczasowo okupowanych terytoriów liczba uchodźców wewnętrznych sięgała pod koniec 2023 r. 12 milionów. Ci z Sum

eprasa.pl b5ab0608f3

NASZA EUROPA

Salman Rushdie powraca

27 SEKUND SŁAWY
I WYSTARCZY



FOT: J. KUDACKI / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS

Zabójca zawsze ma wielką władzę nad swoją ofiarą. Ja mam swój sposób na odwet. Książka nosi tytuł „Nóż” nie tylko dlatego, że opowiada o ataku nożownika, ale także dlatego, że sama jest nożem. Stanowi moją broń, moje narzędzie do odzyskania kontroli.

Martin Scholz

WELT

Napastnik dźgnął go piętnaście razy, ale Salman Rushdie przeżył i zareagował na to jak pisarz: książką. Kiedy spotykamy się w siedzibie jego agencji literackiej w pobliżu Central Parku na Manhattanie, jego głos jest już ochrypły od udzielania wywiadów z okazji premiery jego książki. Ale nie narzeka, zainteresowanie go cieszy. Na 256 stronach „Noża” (Knife) opisuje konsekwencje przemocy, dla niego ma to wymiar autoterapeutyczny.

W 1989 r. ajatollah Chomeini wydał wyrok śmierci na indyjsko-brytyjskiego pisarza, za rzekome bluźnierstwo zawarte w powieści „Szatańskie wersety”. Po 33 latach ten wyrok próbował wykonać 24-letni wówczas Hadi Matar, Amerykanin o libańskich korzeniach. 12 sierpnia 2022 r. zaatakował Rushdiego podczas panelu dyskusyjnego w Chautauqua w stanie Nowy Jork, raniąc go w szyję, twarz i brzuch. Obezwładnienie napastnika zajęło 27 sekund. Rushdie przeszedł ośmiogodzinną operację, a lekarze początkowo zakładali, że jej nie przeżyje.

Przeżył, ale w lewej ręce ma niedowład, nie widzi na prawe oko. Dlatego być może najbardziej zdumiewające w jego nowej książce jest to, jak często rozbawia czytelników. Humor jako lek, jako eliksir życia – a także jako tarcza i broń. „Najlepszą rzeczą do zrobienia, kolego”, szepcze Rushdie, „będzie teraz przysunięcie dyktafonu jeszcze bliżej mnie, ponieważ głośniejsze nie dam rady”.

...

„To mój sposób na zaakceptowanie tego, co się stało” – mówi pan o „Nożu”. „Prawdopodobnie co cię nie zabije, to cię wzmocni” – pisze pan, ale natychmiast pyta: „Czy aby na pewno?”.

– Powiem, dlaczego to powiedzenie mnie dotyczy, chociaż fizycznie jestem znacznie słabszy niż przed atakiem. Otóż nie udało się uciszyć mojego głosu. A to był cel napastnika.

Sam pisze pan, że nie wierzy w Boga – ale przecież w pańskiej literaturze jest miejsce na wiarę i na cuda.

– Oczywiście zdaję sobie sprawę, że mówienie o uzdrawiającej mocy literatury brzmi jak banał. Ale dla mnie ta książka to kwestia relacji władzy. Zabójca zawsze ma wielką władzę nad swoją ofiarą. Ja mam swój sposób na odwet. Książka nosi tytuł „Nóż” nie tylko dlatego, że opowiada o ataku nożownika, ale także dlatego, że sama jest nożem. Stanowi moją broń, moje narzędzie do odzyskania kontroli.

NASZAEUROPA

W Ameryce nazywają takie książki „page turner”: thriller, który kipi od emocji i maksymalnie angażuje, ale także zawiera historię miłosną, eseje i mini-sage o pańskiej patchworkowej rodzinie.

– Wie pan, kiedy zdecydowałem się na tę książkę, byłem oczywiście bardzo przejęty tematem – atakiem na mnie. Ale potem pomyślałem: „Ok, mógłbym to opisać na dziesięciu stronach. To nie jest książka. Co zatem uzasadniałoby jej napisanie?”. I wtedy zacząłem myśleć o tych wszystkich warstwach, które pan wspomniał. I które jakoś spinają się w tamtych 27 sekundach.

„Nie mogę już sam siebie ostrzec. Mogę tylko o tym pisać”. Drobiazgowo rozpraczowuje pan pytanie: „dlaczego stałem jak sparaliżowany, gdy mnie atakowano”.

– Emocjonalnie trudno było mi napisać tę książkę. Aż w pewnym momencie pisarz w mojej głowie przejął kontrolę. Moje pisarskie ja, które w pewnym sensie zostało

– Ja naprawdę lubilem to ubranie od Ralpha Laurena, tam było sporo skomplikowanych krawieckich poprawek.

„Jeśli możesz uniknąć zsyzywania powiek – unikaj tego. To naprawdę boli”.

– Można powiedzieć, że to motyw przewodni „Noża”: humor jako strategia przetrwania.

Człowiek to czyta, uśmiecha się – i czuje się trochę zawstydzony, że uznał to za zabawne...

– Niepotrzebnie. Śmiech jest dobry, śmiech leczy. Trudno jest pisać o różnych okrucieństwach bez ryzyka odrzucenia czytelnika. Np. po wojnie wielu niemieckich pisarzy zmagало się z tą kwestią: jak pisać o tym horrorze? Jak się z nim zmierzyć? Dla mnie to pytanie pojawiło się na znacznie mniejszym, za to bardziej intensywnym, bo osobistym poziomie. To było jak mikrowariant tego uniwersalnego, wielkiego pytania.

argumentów, aby przekonać zradkalizowanych przez ekstremistów?

– Problem polega na tym, że gdy ideologia już zawładnęła ludźmi, nie mogą postrzegać niczego poza wyznaczonym przez nią ramami. Zasadniczo jest to podobny schemat do tego, który można zaobserwować u tych, którzy czczą Donalda Trumpa. Bez względu na to, o jakie zbrodnie oskarży go sąd, jego zwolennicy wierzą, że to tylko teatr polityczny.

Prawdopodobnie poczuć coś w rodzaju całkowitego wyzwolenia dopiero po zakończeniu procesu mojego niedoszłego zabójcy. Czyli najprędzej jesienią.

Proces został przełożony właśnie – z powodu publikacji „Noża”. Adwokat Hadiego Matara nie tylko nalegał, aby móc ją wcześniej przeczytać. Zażądał również wglądu we wszystkie materiały, takie jak relacje świadków, które pan zebrał.

– Zaskarżyliśmy to żądanie. Zgaduję, że wezwą mnie na świadka. To powinno mu wystarczyć.

– Przeczytał ponoć dwie strony. Prawie nie więcej o mnie nie wiedział. Nie był też notowany, nie znajdował się na żadnej liście „zagrożeń terrorystycznych”. Był po prostu zwykłym facetem. Tymczasem morderstwo to jednak nawet w USA dość poważne przestępstwo. Zastanawiałem się, jak ktoś tak zwyczajny mógł zebrać w sobie wolę odebrania cudzego życia, a także zaakceptować poświęcenie dużej części własnego. Jak generuje się pragnienie zabicia kogoś, o kim nic się nie wie?

Nie ma przekonującej odpowiedzi na to pytanie, prawda?

– Nie. Pamiętam, jak kiedyś powiedziałem do moich wydawców: „Gdybym przyszedł do was z fikcyjną historią o kimś, kto chce zabić osobę, o której nic nie wie – powiedzielibyście mi: to tak nie działa, to nie jest przekonujące. Do tego potrzeba konkretnej motywacji”. Ale w sprawcy tego typu jest pustka.

W książce jest jeszcze jedna bohaterka: pańska żona, poetka i fotografka Eliza Griffiths.

– Kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy, wpadłem na szklane drzwi, idąc obok niej. Od tamtej pory powtarzam wszystkim: po prostu mnie rozwalila. A miałem wtedy 70 lat. To nieprawdopodobne, że spotkałem kogoś takiego tak późno. Przede wszystkim muszę powiedzieć, że dwójgu pisarzom trudno jest żyć razem, chyba że naprawdę podziwiają nawzajem swoją pracę. Ja od razu zamówiłem jej książki poetyckie. Były świetne, ale potem napisała powieść – i to było przerażające dla nas obojga. Ona wahala się, czy dać mi ją do przeczytania, ja bałem się ją przeczytać. Powieść była świetna. A ja nadal nie potrafię pisać żadnych wierszy.

Nie poradziłabym sobie bez niej ze wszystkim, co mnie spotkało. Miała wszystko pod kontrolą, była ze mną w każdej chwili. Bardzo sprytnie i dalekowzroczne było również to, że na początku uniemożliwiała mi spojrzenie na swoją twarz w lustrze. Udało się jej to przez wiele tygodni, kiedy byłem pospinany klamrami jak potwór Frankensteina. Wszyscy lekarze wciąż mnie oklamywali: „Och, dziś wyglądasz znacznie lepiej, Salman”. Chciałam im wierzyć. Kiedy jednak Eliza podał mi w końcu lustro, uprzedziła: to będzie hardcore.

Wracając do napastnika. Pisze pan: „Nie wybaczę mu sam. Ale też nie odmówię mu wybaczenia, jeśli będzie go chciał”.

– On jest dla mnie po prostu jakby nieistotny. Pojechałem z żoną pod więzienie hrabstwa Chautauqua: blok otoczony murem z drutem kolczastym. I jednak pomyślałem: „On jest tam zamknięty, podczas gdy ja spędzam tu miły dzień”.

A żona musiała pana poprosić, aby pan nie tańczył i nie robił zamieszania.

– Tak. Prawdopodobnie poczułam radość z bycia żywym. W każdym razie moje stopy zaczęły tańczyć bez mojej wiedzy.

Gdy Chomeini wydał na pana fatwę, niektórzy uważali, że sam pan to na siebie sprowadził. Czy publiczne postrzeganie pana osoby zmieniło się od czasu ataku?

– Tak. Te złe czasy, kiedy niektóre linie lotnicze odmawiały przyjęcia mnie na pokład jako pasażera, już minęły. Ale w przyszłości chcę po prostu żyć swoim życiem. W czerwcu skończę 77 lat, a chciałbym jeszcze coś napisać. Nie o fanatycznej przemocy. Nie zostałem pisarzem, aby pisać o sobie. Z powodu tych wszystkich, nazwijmy to – wypadków – w moim życiu, napisałem o sobie dwie książki, „Josepha Antona” i „Nóz”. Chciałbym, żeby to by było na tyle w tym temacie. ●

nietknięte, powiedziało osobie, która została dźgnięta: „Ok, zaufaj mi, oto co zrobisz”. Posłuchałem.

W pewnym momencie to pańskie pisarskie ja wprowadza elementy fantastyki, dając nożowi głos i budując napięcie jak w horrorze Stephena Kinga, ze słowem oznaczającym „morderstwo” pisany wspak – „Redrum” z powieści „Lśnienie”. Czy takie zabiegi pomogły w pisaniu?

– Tak, bo czułem się jak postać z opowiadania Kinga. Chciałbym tu dodać, że Stephen King był jednym z pisarzy, którzy wspierali mnie najbardziej po fatwie. Kiedy wiele księgarni w USA bało się sprzedawać „Szatańskie wersety”, napisał do nich: „Jeśli nie wystawicie tej książki w swoich sklepach, to moje wycofajcie również”.

Opisuje pan swoje obrażenia, skomplikowane procedury medyczne precyzyjnie, rzeczowo i bez emocji – aż potem sarkastyczna puenta: „Stałem tam jak piniata i pozwoliłem, żeby mnie dźgnął. To było tak, jakbym był głównym daniem na jego talerzu, krwistym stekiem”. – Ścisłej, używam francuskiego terminu „saignant”, który odnosi się do poziomu wysmażenia, owszem

I kiedy leży pan, krwawiąc, a lekarze rozcinają pańską marynarkę, myśli pan sobie: „Och, nie mój piękny Ralph...”.

Ponadto, kiedy piszę, ten komiksowo-komiczny ton przychodzi naturalnie. Pożucie humoru pomaga zachować kontrolę. Chciałem wejść głębiej, opowiedzieć o ludziach, którzy mnie uratowali. Próbowałem też dowiedzieć się, dlaczego napastnik chciał mnie zabić.

Nazywa go pan tylko: „A”.

– Kiedy Margret Thatcher była premierem Wielkiej Brytanii, IRA nasilała zamachy bombowe. Thatcher często mówiła prasie: „Nie poświęcajcie im zbyt wiele uwagi. Nie dostarczajcie tlenu ich żądzy rozgłosu”. To utkwilo mi w pamięci. Zamachowiec miał swoje 27 sekund sławy, kiedy mnie dźgał. Pozwólmy mu teraz pozostawać w cieniu.

Nie chciał pan spotkania z nim. W książce zamiast tego tworzy pan z nim wyimaginowany spór, próbując dowiedzieć się, dlaczego ten młody człowiek o libańskich korzeniach, który urodził się w USA, chciał pana zabić. Zradkalizował się podczas wizyty w Libanie – i poprzez Internet.

– Owszem, podczas spotkań z imamem Yutubi, jak nazywam go w książce.

„Jesteśmy teraz w miejscu, w którym nauczyciel nie może uczyć, a uczeń nie może go usłyszeć”. To jest właśnie pański wniosek – że nie można już użyć

Zakładam, że nie wysłał pan przedpremierowej kopii do obrońcy zamachowca, aby przyspieszyć sprawę?

– Nie, będzie musiał pójść do księgarni i kupić egzemplarz. Bardzo wątpię, by sam zamachowiec przeczytał moją książkę.

Przypomina pan atak na Samuela Becketa w Paryżu w 1939 r., gdy uliczny opryszek dźgnął go, a ostrze o włos ominęło serce.

– To był alfons o zabawnym nazwisku Prudent (franc. roztropany). Beckett prawie wtedy umarł.

Ale zrobił coś, czego pan unika: rozmawiał bezpośrednio ze sprawcą, ponieważ chciał wiedzieć, dlaczego go dźgnął.

– Tak, ale odpowiedź nie była zbyt pouczająca. „Ja też nie wiem, przepraszam”, odparł sprawca. W każdym razie Beckett nic nie zyskał na tym spotkaniu, nie dało mu ono żadnego wglądu. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę i doszedłem do wniosku, że spotkanie z napastnikiem nic by mi nie dało. Że lepiej dla mnie będzie, jeśli wykorzystam tu swoje umiejętności pisarskie. Zdecydowałem użyć wyobraźni, aby wejść się w jego głowę – a potem zobaczyć, co z tego wyniknie.

Dziennikarzowi powiedział, że nawet nie znał pańskich „Szatańskich werse-



FOT. CHRISTOPHER FURLONG/GETTY IMAGES

Adam Michnik poleca

NOWE WOJNY SĄ DZIWNE

Wszyscy zachowujemy się jak ostatni ludzie

Z IWANEM KRASIEWEM*
ROZMAWIA ANDRIJ KOLESNIKOW

ANDRIJ KOLESNIKOW, rosyjski politolog, publicysta: Wojny zmieniły kształt: jesteśmy świadkami zacieklego konfliktu w Europie, najpotężniejszej od dekad konfrontacji palestyńsko-izraelskiej, katastrofy w Górskim Karabachu; istnieją obawy o Tajwan, a nawet odmrożenie, po 70 latach, konfliktu między dwiema Koreami. Czy trwa już rozproszona III wojna światowa?
IWAN KRASIEW: Granica między wojną a pokojem już nie istnieje. To stan, który Mark Leonard** słusznie nazwał „unpeace” – „nie-pokój”.

Nowe wojny są dziwne. Z jednej strony są podobne do wojen domowych, z drugiej – do wojen cywilizacyjnych.

Czy Zachód, Europa, mają odpowiedź na to wyzwanie? Unia Europejska to projekt antywojenny, który stanął w obliczu niewyobrażalnego w XXI wieku wyzwania – działań militarnych w Europie.

– Najważniejszą rzeczą, która się zmieniła, jest nasz stosunek do przyszłości.

Dzisiaj przyszłości się boimy. Zawsze, także w czasach sowieckich, każdy chciał zorganizować przyszłe życie swoich dzieci. Można było starać się planować przyszłość. Teraz wydaje się to niemożliwe.

Z tytułu książki Francisa Fukuyamy „Koniec historii i ostatni człowiek” pozostała tylko druga część. W pewnym sensie zachowujemy się tak, jakbyśmy byli ostatnimi ludźmi na Ziemi. Weźmy np. ludzi młodych, którzy są zaniepokojeni zmianami klimatu: mówią, że nie ma przyszłości, nie powinniśmy mieć dzieci, bo planeta Ziemia wkrótce umrze. A niektóre skrajnie prawicowe grupy mówią: nie Ziemia, ale

nasz naród umrze. Apokaliptyczne zachowanie i postrzeganie świata przejawia się na różne sposoby w różnych grupach społecznych, ale łączy je to, że zachowują się jak ostatni ludzie.

Według Centrum Lewady znaczny strach przed wojną światową był obecny już w 2018 r., a potem nadszedł COVID... Zawsze istnieją problemy, których nie możemy rozwiązać teraz, ale niezmiennie istniało poczucie, że będziemy w stanie je rozwiązać w przyszłości, za 10-15 lat. Teraz jest to nie do pomyślenia.

Przez długi czas Europa wierzyła, że wielka wojna na kontynencie jest w zasadzie niemożliwa. I przyszła wojna w Ukrainie. Dominował pogląd, że wzajemnie korzystna współpraca gospodarcza uniemożliwia wojnę: będziemy kupować tyle rosyjskiego gazu, że Putin nigdy nie będzie chciał użyć siły zbrojnej. Ten pogląd upadł z dnia na dzień. Stąd poczucie bezbronności, którego do tej pory nie było.

Niezlomny opór Ukraińców to dla Unii problem, bo ona jest społeczeństwem postheroicznym. Na Ukrainie widzimy mobilizującą siłę nacjonalizmu. Europa jako całość jest zdominowana przez ideologię postnacjonalistyczną. To zupełnie inny świat niż ten, w którym przywykliśmy żyć.

ECFR zakończyło niedawno międzynarodowe badanie socjologiczne. 35-40 proc. respondentów z krajów pozaeuropejskich uważało, że Unia przestanie istnieć w ciągu 10-15 lat. Narody wydawały się nieśmiertelne i nagle okazało się, że może nastąpić ich koniec.

Po 1991 r. konfrontacja rosyjsko-ukraińska została tylko odroczone. Jak się okazało, rozpad ZSRR trwał nadal – i osiągnął szczyt 30 lat po jego oficjalnym rozwiązaniu. Większość imperiów upadła po I wojnie światowej, brytyjskie po II wojnie. Imperium rosyjskie wciąż się rozpada. Istnieje poczucie,

że wszystkie obecne konflikty, w tym rosyjsko-ukraiński, nie mogą zostać ostatecznie zażegnane, przynajmniej w perspektywie 10-20 lat, a jedynie zamrożone.

– W drugiej połowie XX wieku wszyscy myśleli wyłącznie w kategoriach zimnej wojny. Okazało się jednak, że najważniejszym procesem była dekolonizacja. W pewnym sensie można powiedzieć, że 24 lutego 2022 Rosja zaatakowała ZSRR. Przemówienie Putina podczas ceremonii uznania niepodległości tzw. Ługańskiej Republiki Ludowej i Donieckiej Republiki Ludowej było absolutnie antyradzieckie.

Każde imperium tworzy własną, odrębną tożsamość. Tożsamość radziecka przetrwała przez 30 lat od upadku ZSRR. Najtragiczniejszą postacią tego procesu jest mieszkająca na Ukrainie kobieta, „babcia Ania”, która witała rosyjskie wojska radziecką flagą. Nie zdawała sobie sprawy, że wkroczył na Ukrainę zupełnie inny kraj i zupełnie inna armia.

Imperium sowieckie było szczególne, bo Rosjanie zmieniali tożsamość władzy. Była to najbardziej niestabilna tożsamość: każdy mógł stać się Rosjaninem, aby inni nie zostali zdominowani. W rezultacie metropolia, sama Rosja, nie miała tak silnej tożsamości jak republiki na obrzeżach imperium. Dlatego też, gdy rozpoczął się jego upadek, rosyjska tożsamość była najbardziej problematyczna. Prowincjom imperium było łatwiej kształtować swoją tożsamość – negatywną wobec centrum, wobec Rosji. ZSRR zniszczył imperium rosyjskie, a teraz Putin chce je odtworzyć.

Paradoksalnie, Rosja jest teraz zdominowana przez strach demograficzny. Ma ogromne terytorium i bardzo mało ludzi.

Więc podstawowym motywem tego, co się dzieje, nie jest zdobycie terytorium?

– To wariant nacjonalizmu, który wygląda na ekspansję terytorialną, ale w rze-

Zawsze istnieją problemy, których nie możemy rozwiązać teraz, ale niezmiennie istniało poczucie, że będziemy w stanie je rozwiązać w przyszłości, za 10-15 lat. **Teraz jest to nie do pomyślenia**

czywistości jest demograficzno-apokaliptyczny.

Jakie są dominujące ideologie, które uzasadniają lub opisują nowe tożsamości? W przypadku Rosji to powrót świadomości imperialnej i jest to ideologia stosowana w praktyce w formie konfrontacji z Ukrainą, Zachodem i własną ludnością, jej liberalną częścią. Zamiast ideologii „kopiuj-wklej”, zapożyczonych, wracają lokalne, archaiczne, głębokie ideologie.

– Te ideologie i tożsamości nie są monolityczne. Na początku lat 90. pojawiła się koncepcja Samuela Huntingtona o zderzeniu cywilizacji. One są niestabilne dlatego, że przyszłość jest niepewna. To dość traumatyczna sytuacja, pogłębiona przez starcie rosyjsko-ukraińskie.

Jest jeszcze jedna ważna kwestia – imperialna przeszłość. Dla Polaków i mieszkańców krajów bałtyckich to nie jest konflikt ukraiński – to jest ich wojna, boją się okupacji: w przeszłości byli częścią tego imperium. Grekom, Serbom, Bułgarom oczywiście nie podoba się to, co zrobiła Rosja, ale to nie jest ich konfrontacja zbrojna, bo to nie jest ich imperium. W przypadku dawnego imperium Habsburgów – Czechów, Słowaków, Węgrów – sprawy mają się inaczej.

Po II wojnie światowej istniały cztery państwa, które uważały się za wyjątkowe: ZSRR i USA – państwa ideologiczne, oraz Niemcy i Izrael – „kat i ofiara”. Teraz, zwłaszcza po zaostrzeniu sytuacji na Bliskim Wschodzie, niewielu chce uznać „ofiarny” status Żydów – to Palestyńczycy są uważani za ofiary. Niemcy nie są już wzorem efektywnego rozwoju; nikt nie mówi: „Chcemy być jak Niemcy”.

Tożsamość narodów wynika z ich własnego statusu ofiary. Każdy jest ofiarą! Rosyjski dyskurs jest dyskursem ofiary. Wspólny język, w którym narody mogą ze sobą rozmawiać, zniknął. A taki język istniał podczas zimnej wojny. USA i ZSRR mogły przywołać doświadczenie sojuszu z czasów II wojny. Teraz ten uniwersalny język nie może być używany. Świat, który wyłonił się po II wojnie i był przez nas oswojony, upadł.

Konflikt ukraiński zjednoczył Europę, a zarazem ujawnił wewnętrzneuropejskie sprzeczności. Co i jak zmienia się dzisiaj w Europie? Mamy np. falę ukraińskich uchodźców, rosyjskich emigrantów. Wydaje się jednak, że nad Europą na razie nie zachodzi słońce: sieć bezpieczeństwa instytucji demokratycznych działa, wystarczy spojrzeć na przykład Polski. Zatem jakie są perspektywy przetwarzania projektów „Zachód” i „Europa”?

– Oczywiście zagrożenie militarne odegrało ważną rolę w zjednoczeniu Europy, ale Europejczycy nie wierzą, że są w stanie wojny z Rosją, a nie-Europejczycy twierdzą, że jest to wojna Rosji z Zachodem.

Fala migracji w związku z wojną w Ukrainie jest ogromna. 8 proc. polskich gospodarstw domowych przyjęło do siebie uchodźców.

Identyfikacja z Ukraińcami, ofiarami tej wojny, jest bardzo silna. Oni łatwiej się integrują się ze społeczeństwem zachodnim niż migranci z Syrii. Problemem nie jest to, jak przyjmuje ukraińskich uchodźców Europa, ale to, że wielu z nich nie wróci na Ukrainę. Kraj straci ogromną liczbę ludzi.

Problem z rosyjską emigracją polega na tym, że nawet ci, którzy wyjechali, bo nie zgadzali się z reżimem Putina, zostali powitani w Europie nie jako dysydenci, ale jako Rosjanie. Zachód nie rozumie tragizmu ich sytuacji; Rosjanie są dla Europejczyków zupełnie niezrozumiałym światem. W rezultacie wielu Rosjan musiało wrócić do domu.

W Europie mamy do czynienia z faktami, które podważają fundamenty europejskich wartości. Weźmy antysemi-

tyzm, który wypełza zewsząd. Co stanie się z europejską tożsamością, która ukształtowała się po 1945 r., a następnie po upadku komunizmu?

– Największą iluzją jest myślenie, że świat się zmienia, ale Zachód pozostaje taki, jaki był. Nastąpi nie tylko rozszerzenie Unii Europejskiej, jej ekspansja, ale także przebudowa. A antysemityzm? W różnych grupach istniał w ukryciu, a teraz się zmanifestował, są też nowi migranci – jego nosiciele.

Wydawało się też, że konflikt ukraiński jest tak straszny, że zmieni świadomość wielu ludzi. Ale np. Turcja, Chiny czy Indonezja postrzegają tę wojenną sytuację jako okno możliwości dla siebie, szansę, by stać się liderami. Turcja stara się być aktywnym mediatorem na scenie międzynarodowej. Zarazem małe europejskie kraje zdają sobie sprawę ze znaczenia istnienia Unii: nie ma dla nich miejsca na tym świecie poza uczestnictwem w jej strukturach. Nawet nacjonalistyczni politycy w tych krajach mają tego świadomość.

Myślę, że Unia zachowa demokratyczny charakter i mimo poważnych zmian będzie najbardziej liberalnym miejscem na świecie.

Czy polski przykład nie daje podstaw do optymizmu? Czy sprawne instytucje demokratyczne, możliwość zmiany władzy mogą uratować europejską, demokratyczną tożsamość?

– To ważny przykład. Przez osiem lat konserwatywny rząd zachowywał się jak nauczyciel, który chciał reedukować kraj, mówiąc mu, jak ma żyć i myśleć. W rezultacie to właśnie w tych latach nastąpiła głęboka liberalizacja społeczeństwa. Jeszcze w 1989 r. było ono bardzo konserwatywne, także ze względu na szczególną rolę Kościoła. Istniał konserwatywny konsensus kulturowy. Powinien on być pozwolić Jarosławowi Kaczyńskiemu rządzić przez 10-15 lat. Ale ten mechanizm nie zadziałał. Konsensus już nie istnieje.

Populistyczne fale w świecie zachodnim też są częścią procesu modernizacji. A przecież Europa jest projektem otwartym.

Tym, co ma znaczenie dla wyobrażeń ludzi o świecie, jest moment, w którym zostali poddani socjalizacji: podczas fazy otwartej społeczeństwa czy podczas tej zamkniętej. Ludzie, którzy weszli w dorosłość w okresie optymizmu, w erze nowych możliwości, poczucia „mogę coś zrobić”, są w stanie wiele zmienić. Ostatnio mamy do czynienia z poczuciem zamknięcia, polaryzacją opinii. Ale Polska daje przykład nowej otwartości. Bóg jeden wie, jak to się skończy. Wydaje się jednak, że pojawiły się możliwości, których wcześniej nie było.

Rosja też była różna w różnych okresach historycznych, tak jak Europa i Ameryka. Rosyjskie państwo było tworem nieprzyjaznym, ale to nie znaczy, że nic się w Rosji nigdy nie zmieni. ●

przeł. arp



FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Iwan Krastew

• ur. w 1965 r., politolog, publicysta, szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii. Związany z wiedeńskim Instytutem Nauk o Człowieku. Rozmowa za pismem „Obszczaja tietrad”, wydawanym przez działającą na emigracji moskiewską Szkołę Edukacji Obywatelskiej.

• ** analityk, dyrektor think tanku Europejska Rada Spraw Zagranicznych, ECFR

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wasył Łoziński*

Kyiv Vice: Milicja moralności

gdzieś tu była moralność, gdzieś tutaj upadła!

w przedszkolu na trawniczku, w narcystycznej sytuacji, przed lustrem, zabawki wtedy jeszcze były małe, figurki wielkości samochodzików.

teraz „kupiliśmy pół kraju i was też kupimy!”

– reklamowy slogan riderów,

którzy przyszli do centrum Lesia Kurbasa,

żeby pogadać o tym z nieboszczykiem.

nie zawsze można się dogadać, ale w walce

o szczęście proletariatu i rewolucji

wszystkie metody są dopuszczalne.

pokazowy proces ani kaźń – żadna nie jest to moralność,

dla niej sama NKWD-owska trójka to za mało,

zmienny nastrój powinien przewidywać

jeszcze jakiś paragraf, czyż nie?

albo przynajmniej jakieś gruntowe archiwum,

z którego można prawie historycznie porechotać.

wstawaj-wstawaj, moralności!

milicjanci, weźcie się pod boki!

prywatny detektyw to bohater starych

filmów tylko dla dorosłych.

obecni bohaterowie to aktorzy porno i wy,

milicjanci!

jakie wspaniałe macie mundury, wasz zawód

jest najstarszy na świecie. nie ma co się wstydzić

pastelowych barw, modnego kroju,

łśniących mięśni, sportowych jachtów i aut.

o was już nakręcono serial

z Donem Johnsonem w roli głównej.

tu była moralność, teraz zastąpi ją milicjant.

nie trać świadomości, nie zapomnij historii,

milicjant przeczyta ci morały.

***Wasył Łoziński** - ur. w 1982 r., ukraiński poeta, tłumacz i eseista. Jego wiersze były tłumaczone na wiele języków, on sam przekładał na ukraiński m.in. utwory Franza Kafki, a z polskich autorów Tadeusza Różewicza, Bohdana Zadury i Tadeusza Dąbrowskiego. Wiersz za: Łoziński, „Święto po awanturze”, przeł. Bohdan Zadura, PIW, Warszawa 2019.

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczeorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFIKY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

1 RP

eprasa.pl b5ab0608f3

POŻEGNANIE Z RUSOFILIĄ

Macron, „kumpel Putina”, wpędza go w niepewność, co zrobi Zachód.

Jerzy Mink*

Chciałbym się skupić na dziwnej francuskiej fascynacji Rosją, która może wyjaśnić, przynajmniej częściowo, humorystyczno-empatyczne początki relacji Emmanuela Macrona z prezydentem Putinem i późniejszą jego wolte.

Obserwatorzy polityki Macrona zastanawiają się nad retorycznym nawykiem prezydenta Francji, by używać zwrotu „w tym samym czasie”. Mogłoby to dotyczyć również stosunku Macrona do Rosji, gdyby nie ewoluował on od postawy „kumpla” Putina, pewnego swojej zdolności do intelektualnego przekonania dyktatora, do postawy szefa wojennego deklarującego konieczność militarnego zwycięstwa nad nim, a tym samym nad Rosją.

Francuska rusofilia jest intrygująca, a zarazem zaskakuje nas pewna francuska „schizofrenia” wobec Rosji. Sformułowałbym hipotezę historyczną, wprowadzając ukrytą zmienną: we Francji ten, kto kocha Polskę, nienawidzi Rosji, a ten, kto kocha Rosję, nie kocha Polski.

Hipotezę tę łatwo zweryfikować, sięgając po postaci dwóch wielkich filozofów XVIII wieku. Wolter twierdzi, że tylko caryca Katarzyna II, którą podziwiał i od której otrzymuje prezenty, może wprowadzić ducha tolerancji dzięki rosyjskiemu prawosławiu, w opozycji do postawy polskich katolików. Wolter jawi się zatem jako zwolennik interpretacji swojej epoki poprzez zderzenie cywilizacji, kilka wieków przed pojawieniem się tezy Huntingtona, którą teraz podchwycił Putin.

Jednak Francja była w tym czasie schizofreniczna: Jean-Jacques Rousseau wprost bronił polskiej cywilizacji. Od 1768 r. polska szlachta walczyła przeciwko królowi Stanisławowi Augustowi, który był podporządkowany carycy Katarzynie. Rousseau napisał „Uwagi o rządzie polskim”, z których można wyluskać dwa emblematiczne zdania: „jeśli nie możesz powstrzymać ich przed połknięciem ciebie, przynajmniej spraw, by nie mogli cię strawić” oraz „jeśli uda ci się zapobiec temu, by Polacy kiedykolwiek stali się Rosjanami, gwarantuję, że Rosja nigdy nie podporządkuje sobie Polski”.

Hipoteza przeciwstawienia między Francją a Rosją na tle kwestii polskiej okazała się jeszcze bardziej produktywna podczas epopei Napoleona. Wiemy, że Napoleon kochał Polaków, a zwłaszcza jedną Polkę. Ale zanim zaatakował imperium carów, wpadł na pomysł geopolitycznego sojuszu z Rosją. Sojusz ten udaremnił Talleyrand.

We wrześniu 1808 r. Napoleon poprosił Talleyranda o pomoc w negocjacjach prowadzonych w Erfurcie z carem Rosji, z którym chciał zawrzeć sojusz. Talleyrand był zwolennikiem sojuszu z Austrią. Oto, co powiedział carowi Aleksandrowi,

• **Władimir Putin i Emmanuel Macron podczas szczytu G20 w Osace, czerwiec 2019 r.**

FOT. ELIOT BLONDET/
ABACA/EAST NEWS

aby zapobiec planom cesarza Francuzów: „Panie, po co tu przybyłeś? To od ciebie zależy ocalenie Europy, a możesz to zrobić tylko przeciwstawiając się Napoleonowi. Naród francuski jest cywilizowany, ale jego władca nie; władca Rosji jest cywilizowany, ale jego naród nie; dlatego to władca Rosji powinien być sojusznikiem narodu francuskiego”.

Sojusz nie doszedł do skutku, ale wizerunek cywilizowanego cara, w kontrze do prostackiego Napoleona, przeniknął do znacznej części francuskiej arystokracji.

A jednak podczas wielkich polskich powstań duża część francuskiej elity była antyrosyjska i stała po stronie polskich powstańców.

Jednak ta korelacja słabiej pasuje do dzisiejszej epoki. Zamiast tego górę bierze Macronowska doktryna „w tym samym czasie”. W geopolityce francuskiej „w tym samym czasie” oznacza rozmowę z Rosjanami, schlebienie im, w myśl przekonania, że są plastyczni, reformowalni i podatni na sugestie.

Oba postkolonialne państwa przywiązują wagę do symboli wielkości i dawnej świetności: przyjęcie Putina przez Macrona w Wersalu [maj 2017] zostało nagrodzone splendorem przyjęcia Macrona w Petersburgu [maj 2018]. Produktem tego przekonania jest tzw. paradygmat „realistyczny”. Ci, którzy myślą inaczej, są wyśmiewani i ignorowani, piętnowani jako „podżegacze wojenni”. Albo nieuleczalni idealisci.

Od narodzin V Republiki do dziś Francja jest podzielona między te dwie postawy: niektórzy kochają potężną i egzotycz-

ną Rosję, inni nienawidzą jej wrodzonego imperializmu. A pomiędzy nimi znajduje się polityka zagraniczna Francji wobec Rosji, ucieleśniona w tzw. realizmie, który stara się pogodzić dwie skrajności, ale kończy się zaślepieniem przywódców Francji na imperialistyczne apetyty Putina.

Od wprowadzenia konstytucji V Republiki polityka zagraniczna Francji była wyłączną domeną prezydentów. Dlatego warto przeanalizować zachowanie każdego z nich wobec Rosji.

Gen. Charles de Gaulle jako pierwszy narzucił swoją siatkę interpretacyjną. Jego postrzeganie stanu sił zbrojnych w latach 60. wpłynęło na jego decyzję o opuszczeniu zintegrowanego dowództwa NATO. Od tego momentu generał zadeklarował strategiczną niezależność Francji. Nie miało to jednak na celu sprzymierzenia się z Rosją. Przypisuje mu się nawet powiedzenie o broni nuklearnej: „Dajcie mi bombę, która może zabić 80 mln Rosjan”.

Generał jest stałym punktem odniesienia dla wojny w Ukrainie. Elsa Vidal, dziennikarka specjalizująca się w sprawach

rosyjskich, słusznie zauważa, że „de Gaulle wierzył w wieczność Rosji”, uważał, że reżim sowiecki jest przejściowy, i był przekonany o kulturowej bliskości między dwoma narodami. A jednak, zgodnie z tradycją „w tym samym czasie”, odbył pod nosem Sowietów triumfalną podróż do Polski w 1967 r., w przemówieniach zapewniając Polaków, że pewnego dnia odzyskają pełną suwerenność.

W ten sposób stał się ojcem założycielem „ofensywnego realizmu”, jak powiedziałby teoretyk owej doktryny John Mearsheimer. We francuskiej polityce zagranicznej ocierała się ona później raczej o naiwny realizm. Przekonanie de Gaulle’a, że dobre stosunki z Moskwą są przydatne w równoważeniu wpływów amerykańskich, miało nieustanny wpływ na błędne interpretacje intencji Kremla.

Nie warto rozwodzić się nad prezydenturą Pompidou, ale prezydentura Valéry’ego Giscarda d’Estaing potwierdza szkodliwe skutki „realizmu” we francuskim stylu. To właśnie w tym czasie jego doradca Samuel Pisar, notabene ojczym Antony’ego Blinkena, sekretarza stanu w gabinecie Bidena, opublikował książkę „Les armes de la paix” [„Pokojuwe bronię”]. Pojawił się nowy główny nurt: można było zdesowietyzować Związek Radziecki, a Rosję można ucywilizować poprzez współpracę gospodarczą. Handlowi przypisuje się cudowną zdolność do reformowania Rosji, przy jednoczesnym przemykaniu oczu na jej imperialną kulturę polityczną.

Na korzyść Giscarda przemawia kontekst, w jakim działał: konferencja helsińska, powstanie opozycji demokratycznej

**Za sprawą Talleyranda
wizerunek cywilizowanego
cara, w kontrze
do prostackiego Napoleona,
przeniknął do znacznej części
francuskiej arystokracji**

w przestrzeni dominacji sowieckiej, przebudzenie społeczeństwa obywatelskiego, a wreszcie to, że jego polski przyjaciel Edward Gierek nie był Breżniewem.

Rządy Giscarda dobiegły końca, gdy jego przeciwnik François Mitterrand użył argumentu o bliskości ustępującego prezydenta z jego polskim przyjacielem, który był w końcu podporządkowany Moskwie, opisując Giscarda w decydującej debacie telewizyjnej jako „małego telegrafistę” w służbie rosyjskiej komunikacji.

Potem przyszedł pragmatyzm prezydenta Mitterranda. Z jednej strony wygrał on poprzez sojusz z komunistami, którzy mieli silne powiązania z ZSRR; z drugiej, w swoich życzeniach noworocznych pod koniec grudnia 1981 r. ogłosił, że „musimy porzucić Jaltę”.

Podczas swej pierwszej wizyty w Moskwie w 1984 r., w konfrontacji z gensekiem Czernienką, zażądał zaprzestania represji wobec małżeństwa Sacharowów. Podążał za gaullistowską linią dialogu ze wszystkimi sowieckimi przywódcami, podkreślając swój szacunek dla rosyjskiej kultury i uznając geopolityczną rzeczywistość.

Mitterrand pozostał zasadniczo przywiązany do zachodniej solidarności. Podczas kryzysu raketowego, gdy ZSRR wykonywał zachodnich pacyfistów, którzy krzykali: „Raczej czerwoni niż martwi”, aby uniemożliwić Amerykanom zainstalowanie pocisków Pershing w RFN w odpowiedzi na sowieckie SS-20 w NRD, Mitterrand oświadczył: „Wy macie SS-20, my pacyfistów”.

Geopolityczny konserwatyzm Mitterranda wysunął się na pierwszy plan, gdy zniknął Związek Radziecki. Obawiał się on, że świat stanie się odtąd ofiarą chronicznej niestabilności. Powiedział podczas posiedzenia rządu w lipcu 1989 r.: „Istnieje ryzyko chaosu w imperium sowieckim, a to ryzyko nie jest lepsze od porządku, który panował do tej pory”.

Kiedy wybuchła pierwsza wojna czecheńska, francuska klasa polityczna przymknęła na to oko. Dla niej była to wewnętrzna sprawa Rosji. Pomimo powszechnego oburzenia Mitterrand przyjął zaproszenie Kremla do wzięcia udziału w uroczystościach 9 maja 1995 r. z okazji 50. rocznicy zwycięstwa nad III Rzeszą.

Według Elsy Vidal następcą Mitterranda, Jacques Chirac, był „zakochany w Rosji”. Zaczął od mocnego stwierdzenia o swoim poparciu dla włączenia Rosji do G7: „Rosja

jest wielkim narodem, jednym z najważniejszych na świecie”. A przecież w tle były nadal rosyjskie zbrodnie w Czeczenii.

Chirac wzywał, by „nie ingerować w sprawy Rosji”. Wypowiedział też słynne zdanie, którego użył również Macron w szczytowym momencie inwazji na Ukrainę: „Uważaj, aby nigdy nie upokarzać Rosji”. Z Putinem natychmiast przeszedł na „ty”.

W 2004 r. Chirac starał się uspokoić swojego rosyjskiego przyjaciela, niezadowolonego z powodu rozszerzenia Unii Europejskiej i NATO o kraje Europy Środkowej. Na szczycie NATO w 2006 r. sprzeciwił się wyznaczeniu mapy drogowej dla

To również on podpisał kontrakt na sprzedaż Rosjanom dwóch wielozadaniowych okrętów wojennych Mistral. Jego celem było zbudowanie zaufania między Europą a Rosją po najeździe Rosji na Gruzję. Później wyszło na jaw, że po odejściu z urzędu przyjął pieniądze od Rosjan za serię wykładów, a jego premier François Fillon zatrudnił się w rosyjskich firmach. Fillon zrezygnował z tych intratnych posad dopiero po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę.

François Hollande, który jako jedyny nie uległ pokusie fraternizowania się z Putinem, anulował kontrakt z powodu okupacji Krymu i Donbasu. Był też jedynym pre-

W geopolityce francuskiej zasada „w tym samym czasie” oznacza rozmowę z Rosjanami, schlebianie im, w myśl przekonania, że są plastyczni, reformowalni i podatni na sugestie

Ukrainy, ścieżki prowadzącej ją do Sojuszu. W tym samym roku, aby jeszcze bardziej złagodzić gniew Putina, przyznał mu Legię Honorową.

Nicolas Sarkozy, najbardziej cyniczny, zastąpił Chiraca po kampanii wyborczej, w której wyróżnił się wygłaszaniem zdecydowanie antyrosyjskich uwag, w imię POLITYKI WARTOŚCI w sferze spraw zagranicznych, w przeciwieństwie do „realizmu” poprzedników. Kilkakrotnie oświadczył, że odmówi podania ręki Putinowi. Ale wkrótce po wyborze posunął się jeszcze dalej niż oni w komitywie z rosyjskim prezydentem. W 2008 r., podczas francuskiej prezydentury w UE, pospieszył na ratunek Gruzji zaatakowanej przez Rosję. Ale spartaczył porozumienia pokojowe, dając Putinowi wolną rękę w kwestii Abchazji i Osetii Południowej.

Zamienił politykę wartości na politykę zbliżenia gospodarczego. Był jedynym europejskim przywódcą, który zadzwonił do Putina, aby pogratulować mu zwycięstwa partii Jedna Rosja, podczas gdy wiele krajów europejskich, w tym Niemcy, potępiło rosyjskie wybory jako „ani wolne, ani demokratyczne”. Wreszcie, zezwolił na budowę cerkwi w centrum Paryża, na brzegu Sekwany, w pobliżu wieży Eiffla i place de la Concorde; jej kopuły szpecą jedną z najbardziej reprezentatywnych perspektyw stolicy Francji.

zydentem Francji, który nie miał złudzeń co do Putina – według niego koktajl Putina to w jednej trzeciej uwodzenie, w jednej trzeciej brutalność, w jednej trzeciej zaskoczenie, posypane szczyptą kłamstwa.

Tym, co łączy politykę zagraniczną różnych francuskich prezydentów, z chlubnym wyjątkiem Hollande’a, jest pewna forma naiwnego realizmu opartego na przekonaniu, że Rosja jest wielkim krajem, o silnych tradycjach i wielkiej kulturze.

Rusofilie wspiera kilka rodzajów graczy. Począwszy od wpływu niektórych potomków tzw. emigracji białych Rosjan, uciekających przed rewolucją 1905 i 1917 r. To np. „wieczny” sekretarz Akademii Francuskiej, sowietolożka Hélène Carrère d’Encausse, ale też dyplomaci pragmatycy, np. Hubert Védrine [szef francuskiego MSZ w latach 1997-2002], czy skorumpowani politycy, uwiedzeni różnymi prezentami i preferencyjnym traktowaniem, tacy jak Sarkozy.

W epoce sowieckiej, w połowie lat 60., przywódcy wierzyli w cywilizacyjną misję Francji wobec kraju totalitarnego. Można to podsumować w trzech słowach: „entente, détente, convergence” [„porozumienie, odprężenie, zbliżenie”]. Wyjaśniają one intensywną współpracę francusko-rosyjską we wrażliwych obszarach, jak kosmos i energia atomowa.

Co najmniej od 2007 r. i konferencji bezpieczeństwa w Monachium Rosja Putina

weszła w dynamikę konfrontacji na arenie międzynarodowej, która od 2014 r. stała się konfliktem zbrojnym skierowanym przeciwko Ukrainie i Zachodowi. We Francji, ale i w innych krajach zachodnich, nie spodziewaliśmy się tego, bo aby to przewidywać, musielibyśmy wcześniej usunąć różne warstwy rusofilii.

Dziś wydaje się, że Macron odbył swoją drogę do Canossy. W obliczu imperialnych dążeń i nieprzewidywalności Rosji prezydent Francji, od czasu przemówienia z 26 lutego 2024 r. [kiedy powiedział, że nie można wykluczyć wysłania wojsk zachodnich na Ukrainę], porzucił figurę „w tym samym czasie” i w ten sposób wymazał okres swojej pozornej bądź rzeczywistej naiwności.

Oczywiście wrogowie nie zapomną mu kompromitujących zdjęć [z Putinem]. Podkreślone zostanie jednak również, a może przede wszystkim, że był on jedynym zachodnim przywódcą (z chlubnym wyjątkiem krajów graniczących z Ukrainą i Rosją), który powiedział, że „wszystko jest możliwe”, odzyskując tym samym kontrolę nad narracją odstraszenia. W obliczu wojny w Ukrainie praktycznie wszyscy inni przywódcy mówią, że „to nie jest możliwe”, „tamtamto nie jest możliwe”. I w końcu, po pewnym czasie, to, co nie było możliwe, staje się możliwe.

Macron postawił rosyjskiego dyktatora w sytuacji niepewności co do tego, co robi Zachód. Jest to definicja STRATEGICZNEJ AMBIVALENCJI. Oczywiście krajom posiadającym broń nuklearną jest łatwiej. Ale ma to fundamentalne znaczenie w obliczu ryzyka, że Ameryka może wybrać wkrótce swój stary atawizm izolacjonistyczny.

*Georges (Jerzy) Mink

• Ur. w 1946 r., polsko-francuski socjolog i politolog. Wieloletni dyrektor ds. badań we francuskim centrum naukowym CNRS, profesor w Kolegium Europejskim w Natolinie.

• Tekst to jego wykład wygłoszony podczas konferencji „10 years of Russia’s war against Ukraine. The long end of the post-Soviet era”, zorganizowanej w ramach projektu natolińskiego Kolegium Europejskiego „3R” (3 rewolucje ukraińskie i wojna). Autor korzystał m.in. z książek „Les aveuglés” Sylvie Kauffmann i „La fascination russe” Elsy Vidal.

REKLAMA

Kraj/34311439



© Peter Pakvis/Getty Images

**JEDNA Z NAJLEPSZYCH
ROCKOWYCH AUTOBIOGRAFII,
JAKIE POWSTAŁY!**

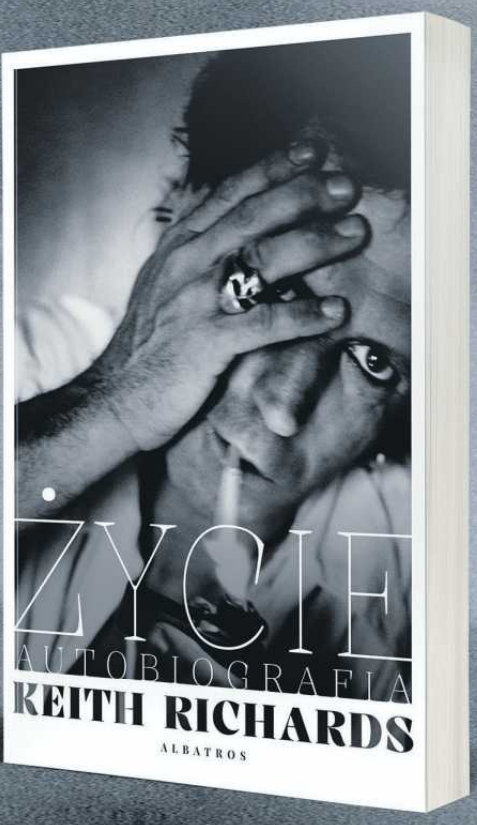
**SYMBOL ROCK'N'ROLLA
CHARYZMATYCZNY GITARZYSTA
FILAR LEGENDARNYCH ROLLING STONESÓW**

**CZŁOWIEK, O KTÓRYM KRAŻĄ NAJBARDZIEJ SZALONE
POGŁOSKI... I JAKIMŚ CUDEM WIĘKSZOŚĆ Z NICH OKAZUJE SIĘ PRAWDĄ.**

**FASCYNUJĄCA KSIĄŻKA, KTÓRĄ WYSTARCZYŁO ZATYTUŁOWAĆ „ŻYCIE” –
BO JEJ TREŚĆ MÓWI SAMA ZA SIEBIE!**

**Richards nie tylko potrafi pisać najlepsze melodie – ma też
w zanadrzu najlepsze historie do opowiedzenia.**

„ENTERTAINMENT WEEKLY”



ZYCIE
AUTOBIOGRAFIA
KEITH RICHARDS
ALBATROS



Byłam na pierwszym Kongresie Mężczyzn. Nie tylko zmarłam

Aga Kozak

Jak pisać o Kongresie Mężczyzn nie narazić się – jak z resztą naraził się chyba on sam, podkreślę to, pierwszy – wszystkim? A zdarzyło się zarówno dobre, jak i krindżowe. Jak nie brzmieć – nomen omen – paternalistycznie i nie poklepywać kolegów po plecach mówiąc: „no, my tam już byliśmy”, „aaa, nasz pierwszy Kongres Kobiet...”. Jak jednocześnie nie bać się, że na razie jest w tej przestrzeni rozsądnie i spolegliwie, ale wystarczy, że napisze, że spoko i coś się stanie?

I tak zbiorę bęcki. Po prostu napiszę więc, co zauważyłam, co słyszałam w kuluarach i po Kongresie. I co myślę ja.

Edukacja, zdrowie, ojcostwo

Porządkowo: Kongres Mężczyzn odbył się w Krakowie, w Pałacu Krzysztofora w sobotę 20 kwietnia. Zorganizowany był przez Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn. Obowiązywały bilety w cenie 199 zł. „Mamy nadzieję, że w przyszłym roku Kongresowi uda się zdobyć większą liczbę sponsorów i pozwoli to na obniżenie kosztu wejściówki, mamy świadomość, że dla niektórych osób mogła to być blokada” – napisali mi w mailu organizatorzy. Na sali, na której było przeciętnie 60 – 70 osób, bo ludzie dochodzili i wykruśzali się (przewaga mężczyzn, ale też parę kobiet, z czego jedna, która przyszła w towarzystwie partnera i jedna prelegentka) było – wedle słów prezesa zarządu Jakuba Chabika – czterem członków stowarzyszenia. Ci, którzy chcieli dołączyć do Stowarzyszenia, mogli zapisać się do niego w trakcie trwania Kongresu, zachęcano również do podpisywania wydrukowanej i wystawionej deklaracji postulatów Kongresu, o których zaraz napiszę więcej. Kongres objął patronatem Rzecznik Praw Obywatelskich Marcin Więcek. Wydarzenie trwało od 9:30 do 17:00, odbyły się cztery panele merytoryczne – o edukacji, zdrowiu, ojcostwie i parasolowy, pokazujący przekrój organizacji zajmujących się mężczyznami. Oraz jeden panel satyryczny, o którym później, bo nie da się go niestety pominąć.

Magdalena Środa pisze

Warto może nadmienić, że kongres poprzedziły dwie awantury w mediach: jedna wokoło felietonu prof. Magdaleny Środy na łamach Wyborczej, który komentowany był na przerwach Kongresu. Środa, zauważając, że patriarchy krzywdzi i kobiety, i mężczyzn napisała bowiem: „Organizatorzy Kongresu Mężczyzn pragną zwrócić uwagę na zdrowie mężczyzn, edukację (bardzo bowiem ubolewają, że chłopcy rzadziej kończą studia niż dziewczęta; ciekawe dlaczego, może są bardziej leniwi?) oraz na prawa mężczyzn i chłopców, którymi nikt w polityce się nie zajmuje. Rzeczywiście, ministerstwo ds. równości zajmuje się przede wszystkim kobietami, dokładnie z tych samych powodów, dla których ministerstwo zdrowia zajmuje się chorymi, choć i zdrowi mają przecież swoje problemy.”

Do zarzutów prof. Środy odniósł się – również na łamach Wyborczej – Michał Gulczyński, sprawny, empatyczny mówca, członek zarządu Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn, doktorant Uniwersytetu Bocconiego w Mediolanie w dziedzinie polityk publicznych i administracji. Autor raportu „Przemilczane nierówności. O problemach mężczyzn w Polsce”. Tezy jego wypowiedzi streszczone są na social mediach Stowarzyszenia: „Kongres Mężczyzn zajmuje się problemami mężczyzn, bo jest to obszar nie-

zagospodarowany ani przez naukę, ani polityki równościowe państwa. Prof. Środa sugeruje, że jeśli mężczyźni zajmą się problemami kobiet, to w końcu i problemy mężczyzn zostaną rozwiązane – niestety, nie widać śladu, aby feminizm zainteresował się nimi, a niektóre feministki te problemy wypierają i lekceważą – a jej wypowiedź pokazała to lepiej, niż ktokolwiek inny mógłby to zrobić. Dlatego będziemy mówić o mężczyznach i ich problemach oraz dawać płaszczyznę do integracji i wspólnego działania środowiskom, które dziś robią wspaniałą robotę. Kongres Mężczyzn jest płaszczyzną i nie mamy zamiaru kogokolwiek prosić o akceptację dla pomagania potrzebującym. Pogardliwe traktowanie problemów mężczyzn (np. samobójstw) albo sugerowanie, że chłopcy są z natury leniwi od dziewczynek nie przystoi w debacie publicznej”.

Druga awantura dotyczyła artykułu Krystyny Romanowskiej we „Wprost”, w którego leadzie pojawiło się to, na co zwracał tak trafnie w artykule sprzed paru tygodni Kamil Fejfer: generująca kłopotliwość, podnosząca ciśnienie, lub powodująca skoki dopaminy polaryzacja. „W Krakowie odbywa się pierwszy w Polsce Kongres Mężczyzn. Zdaniem jego organizatorów mężczyźni w Polsce są dyskryminowani, żyją o 8 lat krócej niż kobiety, znacznie wcześniej kończą edukację i później przechodzą na emeryturę. I właśnie o tym zatroskani o swój los mężczyźni zamierzają rozmawiać. Co na to kobiety? – Niech zastanowią się, jak płacić na czas alimenty i nie być przemocowcem wobec słabszych? Mężczyźni

szych i młodszych, kobiet i mężczyzn. Nie ma miejsca na trywializowanie lub lekceważenie przemocy wobec mężczyzn, pod pozorem, że inni mężczyźni tej przemocy się dopuszczają. Nie ma też miejsca na mizandrię w przestrzeni publicznej. Bądźmy wrażliwi – i zwalczajmy ją.” – można przeczytać na fejsbuku Stowarzyszenia.

Czego więc chce Stowarzyszenie na rzecz Chłopców i Mężczyzn?

Czego dotyczy Deklaracja Kongresu Mężczyzn, którą można było podczas imprezy podpisywać?

- „Domagamy się:
1. Równości emerytalnej.
 2. Równości w dostępie do edukacji.
 3. Profilaktyki zdrowotnej dla mężczyzn.
 4. Jednakowego obowiązku obronnego z elastycznymi formami jego realizacji.
 5. Zrównania praw ojców i matek wobec prawa i instytucji publicznych.
 6. Równego traktowania mężczyzn i kobiet przez wymiar sprawiedliwości.”
- Przez chwilę nie wiedziałam, dlaczego trudno mi się czyta tę deklarację, choć rozumiałam każdy z punktów, uważam, że są równościowe – choć wymagające przegadania, czym równość jest – i właściwie pod każdym mogłabym się jakoś podpisać. Na szczęście zapytał mnie o kongres Marcin Poćwiardowski, znajomy terapeuta prowadzący warsztaty i kręgi dla mężczyzn. Marcin zauważył, że w deklaracji słychać „samo domaganie się, wskazywanie na braki, powiedziałbym: narzekanie”. – Deklaracja Kongresu to głównie „domagamy się”. To po-

Polski mężczyzna nie ma męskich przyjaciół, a jak ich już ma, to nie przyzna się przed nimi do żadnej słabości

uważają, że żyją w matriarchacie i są uciśniani, ale – co dziwne – zaczynają mówić o tym po rozwodach i rozstaniach. Wcześniej w ogóle tego nie dostrzegają – odpowiadają.” To ten artykuł pojawia się w screenach rozżalonych osób pod postami o kolejnych panelach Kongresu. To w jego kontekście pojawia się określenie „feminazistki”.

Sprawa kości rosołowej

Poprzedziła Kongres również sprawna seria interwencji Stowarzyszenia, min. w sprawie dyskryminacji i przemocy wobec mężczyzn: najgłośniejsza była chyba sprawa kości rosołowej. Przypomnę: chodziło o incydent przemocy wobec mężczyzny w dniu pierwszej tury wyborów samorządowych. Podczas sprzeczki z partnerem o wynik wyborów, 44-letnia kobieta z gminy Bartoszyce wyjęła z zupy kość i uderzyła nią mężczyznę w głowę. Trafił do szpitala. Stowarzyszenie wystąpiło do Rady Etyki Mediów „z prośbą o zajęcie stanowiska w sprawie bulwersującego materiału z TVN24, w którym sztychowano i lekceważono z przemocy wobec mężczyzny pobitego przez partnerkę.” Gazeta.pl i TVN – Gazeta.pl zamieściła szyderczą ankietę, dziennikarka TVN24 żartowała z przemocy na antenie- przeprosiły za zbagatelizowanie tematu. „Niestety banalizowanie i trywializowanie przemocy wobec mężczyzn, albo po prostu niedostrzeganie jej i nienazywanie przemocą (zwłaszcza że ma często charakter psychologiczny i finansowy) jest powszechne. (...) Nie ma miejsca na przemoc, wobec nikogo – star-

zycja kogoś, kto nie ma wpływu. Nie ma zdań: „my deklarujemy, postanawiamy, zobowiązujemy się; to dajemy, to ustanawiamy” – powiedział mi Poćwiardowski. Choć działając, organizując Kongres Stowarzyszenie dowodzi swej odpowiedzialności i sprawczości, to problem ma z przekazem, który brzmi biernie.

Mężczyźni do lekarza są doprowadzani przez partnerki

Tej energii sprawczości, proponowania rozwiązań brakowało mi właściwie w każdym panelu. Omawiano dane statystyczne, krytykowano system, a raczej systemy: zdrowotny, edukacyjny, prawny za niewidzenie potrzeb mężczyzn. Mówiono, że istnieje luka edukacyjna, zauważano, że nie ma nauczycieli i bibliotekarzy mężczyzn, że mężczyźni popełniają samobójstwa, że są w kryzysie bezdomności, że żyją krócej i nie chodzą do lekarza – nie dając wystarczających recept na to, co można by zrobić, żeby się to zmieniło. I proszę mnie nie zrozumieć źle: widzę zatrażające statystyki zdrowotne, a raczej chorobowe. Widzę to, że jesteśmy w tyle państw UE, jeśli chodzi o dbałość o zdrowie psychiczne. Wiem też, że trudno w Polsce dostać się do lekarza, ale chciałabym wiedzieć JAK i CO oraz KTO powinien mówić do mężczyzn, żeby do niego chodzili, a nie wstrzymywali się do stanu, w którym są obciążeniem dla rodzin, państwa i podatników. Tymczasem, jak to ujął jeden z panelistów, na mężczyznach presję wywierają kobiety. Jak to mówił prof. Piotr Chłosta, urolog, założyciel urologicz-

no-muzycznego festiwalu KultURO, mężczyźni do lekarza są doprowadzani przez partnerki, na których w Polsce zwyczajowo spoczywa obowiązek opieki.

Gdy już wszyscy przerażymy się wystarcząco zdrowiem fizycznym i psychicznym mężczyzn w Polsce, chciałybyśmy się dowiedzieć – np. korzystając z doświadczenia osób występujących w panelu o organizacjach – co działa. I odpowiedzi udzielili między słowami uczestnicy ostatniego panelu – Sabina Żurek z Fundacji Kapitan Światelko, organizatorka akcji „Mosznowladcy” i dr Michał Bomastyk z Instytutu Przeciwdziałania Wykluczeniom, którzy sami eksperymentowali z przekazem do mężczyzn. Wiem więc już, że trzeba koniecznie pisać „dla mężczyzn”, kierować do nich przekazy podobne jak te „dla kobiet”. Chciałabym jednak jeszcze więcej podobnego instruktażu co robić, żeby – jeśli nawet państwo nie daje opieki – mężczyźni opierali się na sobie samych i swoim rozsądku, a nie przekonaniu, że „muszą być twardzi”. Lub mieli wsparcie w swoich męskich druhach?

Wyprawa do Castoramy po jakieś sznurki.

W kontekście tego ostatniego warto przytoczyć wzruszającą wypowiedź Waldemara Domańskiego, jednego z trzech członków zarządu Stowarzyszenia, działacza kulturalnego i społecznego, dziennikarza. Domański nawoływał, żeby mężczyźni przestali być „małżami”, zamkniętymi na siebie i innych, u których wiecznie jest ok, którzy wiecznie „wracają tylko z Teneryfy” i żeby pogadać trochę o sobie, pozbyć się „toksyczności wobec samego siebie i całego świata”, a nie potem „musieć załatwiać problemy wyprawami do Castoramy po jakieś sznurki”. Spontaniczna wypowiedź trafiła w sedno: jak wynika z badań polski mężczyzna nie ma męskich przyjaciół, a jak ich już ma, to nie przyzna się przed nimi do żadnej słabości, co powoduje większość z wymienionych na Kongresie problemów.

Wiadomo, że facet jest jak zwierzę

Pierwsze razy są trudne, jednak gdybym miała oceniać Kongres Mężczyzn po pierwszym panelu – tym o edukacji – i gdyby pozostałe utrzymały jego brak poziomu, byłabym tą imprezą zniesmaczona. W pewnym zresztą momencie w komentarzach pisanych przez uczestników Kongresu w aplikacji menti poproszono prowadzącego panel Patryka Bernardellego o etyczną moderację, a właściwie moderację w ogóle. I choć padały w tej rozmowie o luce edukacyjnej superciekawe informacje: że chłopców na etapie wczesnoszkolnym powinno się traktować inaczej niż dziewczynki (i jak), że ich rozwój psychoruchowy jest inny, że należy inaczej projektować dla nich biblioteki (rozstaw półek, dobór lektur a nawet temperatura w czytelnich), to jednak wszystko to było podane w sosie kiepsko wyrażanej pretensji do tego, że nauczycielkami i bibliotekarkami są głównie kobiety, które nie rozumieją potrzeb chłopców oraz że brakuje mężczyzn nauczycieli i bibliotekarzy. Zabrakło refleksji nad zawodami niskopłatnymi i nieprestżowymi, za to słychać było narzekanie, że jak w pokój nauczycielskim są same kobiety i tylko jedno mężczyzna, to „atmosfera pokoju nauczycielskiego też się liczy” – nie padły jednak pomysły rozwiązań systemowych.

Do tego dodajmy powoływanie się nie na badania, lecz tylko własne doświadczenie, brak zrozumienia roli socjalizacji chłopców, fetyszyzowanie zdyskredytowanej socjobiologii i ciągle podkreślanie, że „chłopaki to wiadomo” („boys will be boys”) nie interesują się emocjami, ale za to piłką nożną i militariami tak. A do tego informacje o „rosnącej agresji dziewczynek”. Podtrzymywanie stereotypów wzbudziło reakcje w komentarzach, za to żadnej moderatora. Ja zapamiętam z tego panelu niestety głównie zdanie jednego z uczestników, brawurowego Marcina Skrabka z meskieczytanie.pl, że prze-

cież „wiadomo, że facet jest jak zwierzę”, które mnie (i nie tylko mnie, znów odwołam się do komentarzy) zbulwersowało i zabolalo. Jeśli bowiem żądamy szacunku od innych, najpierw musimy go mieć sami dla siebie.

Na szczęście panel o zdrowiu – Polacy żyją osiem lat krócej niż kobiety, piąta pozycja od końca według danych Eurostatu – był na tyle merytoryczny, że w komentarzach zaczęło pojawiać się słowo „nuda”, podobnie z resztą jak przy okazji panelu o ojcostwie, do którego nie zaproszono reprezentanta grupy, która jest chyba najbardziej poszkodowaną męską społecznością: ojców doświadczających alienacji rodzicielskiej. Przedstawiciel Fundacji Kocham Cię Tato, Michał Jasiewicz wypowiedział się z mocą w ostatniej rozmowie, w której – i absolutna im za to chwala – udało się Stowarzyszeniu na rzecz Chłopców i Mężczyzn coś, co do tej pory wydawało się niemożliwe: obok siebie zasiedli min. dr Łukasz Hajduk, działacz katolicki ze stowarzyszenia Mężczyźni św. Józefa i dr Michał Bomastyk z Instytutu Przeciwdziałania Wykluczeniom, czyli z pracującej na rzecz inkluzywności, qu-

eerowej organizacji, która prowadzi telefon zaufania dla mężczyzn. Ilość poruszonych w każdej z tych rozmów wątków nie jest do ogarnięcia i właściwie każdy z nich zasługuje na czule i wnikliwe pochylenie się nad nim w osobnym artykule.

Ze zimno dla kobiet

Działy się też w krakowskich Krzysztoforach historie anegdotyczne, które może lepiej oddadzą atmosferę Kongresu niż podsumowanie paneli. Jak chociażby historia z temperaturą. To słynna opowieść w świecie feministycznym: kobiety chodzące do pracy do biur odczuwały czasem różnicę „płciową” w tym, że po prostu było im tam zimno. Termostaty ustawiane były bowiem pod mężczyzn – mających grubszą skórę i inaczej odczuwających ciepłotę. Na sali kongresowej było tak zimno, że musiałam sobie przynieść kurtkę, ale ponieważ jeden z panów skomentował to, że jemu jest gorąco – nie zapytano o potrzeby innych, choć menti to idealne do tego narzędzie! Tak więc termostat został zaprogramowany pod „prawdziwego mężczyznę” z pierwszego panelu, choć już dwaj uczestnicy ostatniego wyrazili jasno, że było im cały czas zimno.

Były też momenty zatrważające, jak ten: niezaopiekowany przez nikogo, ani osobę prowadzącą panel, ani organizatorów śledzących przeciwieństwo pytania na menti, kiedy jedna z anonimowych osób zapytała, czy jeśli kobieta po rozwodzie zakłada drugą rodzinę, to w ogóle należą jej się alimenty. To była osoba – prawdopodobnie nieźle skrzywdzona przez życie – którą trzeba było się zająć, osoba, której inni mężczyźni a nie „wściekle baby” powinni wytłumaczyć „stary, to nie tędy droga”.

Były też momenty mnie szalenie wzruszające: jeden, kiedy prowadzący panel o zdrowiu Jakub Belina – Brzozowski, pracownik humanitarny, w Stowarzyszeniu odpowiedzialny za komunikację z mediami, właśnie wydający swój pierwszy tomik poezji – na opowieść jednego z lekarzy o tym, że mężczyźni, do których nie kieruje się edukacji prozdrowotnej, krwio-

mocz tłumaczą sobie tym, że objedli się buraczków odpowiedział: „Kiedy mówił o tym profesor Piotr Chłosta przypominało mi to, że taki objaw zignorował również mój ojciec: to był okres świąteczny, uznał, że ciemniejszy mocz to kwestia wigilijnego barszczu. Niestety, opóźniło to jego diagnozę o dwa miesiące. W efekcie wychowywałem się bez ojca. Dlatego chciałem zaapelować do wszystkich słuchających i czytających nas mężczyzn: chodźcie do lekarzy i zgłaszajcie im wszystkie niepokojące objawy. Bo potem cierpieć będziecie nie tylko wy, ale i wasi najbliżsi”.

Były też momenty dla mnie żenujące, bo z takiego porządku, którego bardzo staram(y) się już nie uznawać: czyli parokrotne wspomnianie o „zarządzie” i „zdjęcie zarządu” i „przesłanie prezesa”. Dla mnie to – ręka w rękę z brakiem pytania o temperaturę na sali – jednak ukłon w stronę dawnych, patriarchalnych hierarchii, ale może się czepiam.

Jaki kraj, taki Ricky Gervais

A może nie, bo jednak... Bowiem jaki kraj, taki Ricky Gervais. Jaki poziom świadomości – taki poziom żartu. Ja akurat wykłętego

ki tożsamościowe – a męskość jest przecież tożsamością – zanurzamy się zawsze jednocześnie w toksycznych wewnętrznych walkach środowiskowych. To jednak dzięki tym sporom nareszcie męskość być może nie będzie już przezroczysta, nie będzie tym, „co nie jest kobiecością”. Będzie się deklarować, dyskutować, klócić o siebie – za to jestem Stowarzyszeniu na rzecz Chłopców i Mężczyzn wdzięczna.

Co do owej definicji męskości padł wysunięty przez dr Michała Bomastyka postulat, żeby odejść już od mówienia o „toksycznej” męskości, oznaczającej męskość hegemoniczną. I żeby zacząć szukać nazwy na tę „nową”, fajną męskość. Bomastyk opowiadał, że spotkał się w literaturze z „sustainable masculinity”, ale przełożona na język polski miałaby nazwę „zrównoważonej”, której przeciwieństwem miałyby być niezrównoważona... Czula kojarzy się polskim mężczyznom homoerotycznie, „caring” – jako opiekuńcza jest za wąska, choć chodzi o zaopiekowanie się światem i sobą. Padło też: „włączająca” czy „inkluzywna”, a w komentarzach zebrały lalki męskość „odpowiedzialna” i „zdrowa”. Co wybiorą mężczyź-

Apelowano, by pozbyć się „toksyczności wobec samego siebie i całego świata”, a nie potem „musieć załatwiać problemy wyprawami do Castoramy po jakieś sznurki”.

przez wielu Gervaisa oglądam (choć czasem z rosnącą zgrozą), bo uważam go za trickstera współczesnej kultury. Zwraca uwagę na to, co w politycznej poprawności przegięte, jest głosem, który – bywa – przywołuje do rozsądku. Nie zdziwicie się więc chyba, że Adam Małczyk z krakowskiej formacji Chatelet swojego występu w tzw. „panelu satyrycznym” w stylu gervaisowskim jednak nie uniósł: widać było, że jest trochę przerażony i speszony rangą wydarzenia. Wydawało się więc, że będzie się starał trzymać – kompletnie przez to nieśmieszny – bezpieczny poziom żartów. Kabaretowiec przyszarżował jednak przepytując obecnych z życia seksualnego (kiedy, kto, ile, nakłanianie do podnoszenia rąk), niby nie kpiąc ale jednak kpiąc ze stosunków jednopłciowych i oświadcza-jąc, że ma dużo dzieci, bo „oczywiście jest po rozwodzie”, nazywając swoją partnerkę „swoją panią” i chwalać jej gotowanie oraz pobłażliwie komentując gadulstwo. Nic, czego przyzwyczajeni do przemocowości polskich biesiad, dowcipów o teściowych i „pe- dałach” byśmy się nie spodziewali. Cały występ miał tytuł „Wyspa mężczyzn w morzu kobiet” i był jednym z nielicznych akcentów „obłożonej twierdzy” męskiej. – Żenujące – skomentowali jego wystąpienie obecni na Kongresie koledzy dziennikarze, ale po minach organizatorów widać było, że nieprzygotowany i niepewny siebie komik nie zadziałał i na nich dobrze. Po co więc znalazł się w programie, skoro ten czas można było poświęcić choćby na rozmowę na temat emerytury, wizerunku publicznego mężczyzn czy wspomnianej kwestii przemocy?

Czula, zrównoważona, a może zdrowa

Mam takie podejrzenie, że Kongresu Mężczyzn naprawdę nie muszą krytykować kobiety: jego pomysłodawcy doświadczą bowiem tego wszystkiego, czego doświadcza awangarda – od swoich. Myślę, że organizatorki Kongresu Kobiet znają to bardzo dobrze. Doświadczą pewnej formy tego, co Mark Fisher opisywał w „Wyjściu z zamku wampirów”: że zagłębiając się w polity-

ni? Będę to śledzić licząc na to, że za nazwą będą szły też postawy i czyny. Szczególnie czule spoglądając w stronę owej odpowiedzialnej... Ujęła mnie w kontekście tej dyskusji wypowiedź samoświadoma, traktująca o słabości i wyrozumiałości dla siebie samych Jakuba Chabika ze Stowarzyszenia Na Rzecz Chłopców i Mężczyzn – że Kongres jest na początku drogi i że język dyskursu, który kobiety wypracowywały przez ostatnie lata, mężczyźni dopiero muszą wypracować. Można by się tu od razu doczepić, że „dopiero”, że przespalić, że my bliżej, wy dalej, ale po co. Super, że się dzieje.

Incele i redpilowcy mężczyznom nie służą

Co poczułam po Kongresie Mężczyzn? Że dawno nie widziałam mężczyzn nie – prze-ważając – queerowych z taką otwartością i wyraźną ulgą mówiących o sobie. Potwierdził zresztą moje odczucia Jakub Chabik: – Najbardziej z Kongresu zapamiętałem moment, kiedy podchodzili do mnie mężczyźni i mówili: „Od dawna tak myślałem o mężczyznach i męskości, ale sądziłem, że jestem sam na świecie; dopiero wy uświadomiliście, że jest nas wielu, którzy myślą tak samo”.

No i poczułam też takie NARESZNIE. Nareszcie pojawiają się być może partnerzy do działania i do rozmowy, do zderzania wizji. Miałabym taką nadzieję, że to Stowarzyszenie na Rzecz Chłopców i Mężczyzn i im podobni świadomi mężczyźni będą sojusznikami na rzecz prawdziwej równości, nie „akcji afirmacyjnych”, że zaopiekują się też lub rozprawią z tymi, którzy mężczyznom nie służą: incelami, redpilowcami. Żebyśmy my, kobiety i elgibety nareszcie nie musiały tego robić. Bo – tak jak mówiliście na Kongresie – my naprawdę wiemy, że równości nie osiągniemy bez was. ●

• Autorka przygotowuje wraz z Pawłem Goźlińskim dla wydawnictwa Agora zbiór rozmów z mężczyznami na temat wyzwań współczesnej męskości. Książka ukaże się jesienią.



FOT. TIM MACPHERSON/GETTY IMAGES

NORMALNE CHŁOPAKI SZUKAJĄ MIŁOŚCI

Czy dlatego, że dziewczyny, jak mówi Magda, nie biorą byle czego, młodym mężczyznom trudniej jest znaleźć partnerkę?

Iwona Görke

21-letnie Magda i Dominika w tym roku skończą technikum fryzjerskie. Obie są singielkami. – Nie mam potrzeby, by być w związku. Najpierw chcę skończyć szkołę, zając się sobą, rozwijać się – mówi Dominika łapiąc popołudniowe promienie słońca przed knajpą, w której dorabia. Magda ma podobnie. Dodaje jeszcze, że łatwo się dekoncentruje i rozwijanie znajomości z mężczyzną mogłoby przeszkodzić jej w samorozwoju. Nie czują presji ze strony otoczenia, by z kimś być. Trochę inaczej patrzy na to rodzina. – Szczególnie babcie. W moim wieku miały już mężów i dzieci. Ale przecież czasy się zmieniają. Tak, jak i ludzie – przypomina Magda.

Nie mają obecnie partnerów, ale dobrze wiedzą co w mężczyznach lubią, a co je odstrasza. Obie zwracają uwagę na drobne gesty, albo, jak to mówi Magda „pierdółki”. Chociażby otwieranie im drzwi i przepuszczanie w nich, złapanie za rękę, gdy wspólnie przechodzą przez pasy, a akurat nadjeżdża samochód, powiedzenie komplementu czy proponowanie spotkań. Dzięki tym drobnym gestom, jak mówią przyjaciółki, mogą poczuć, że mężczyźni na nich zależą.

Na pytanie dotyczące tego, co oznacza dla nich męski mężczyzna, odpowiadają, że męski mężczyzna jest dojrzały. To bardzo pojemne słowo. Możemy przecież mówić o dojrzałości emocjonalnej, intelektualnej czy społecznej. ChatGPT, zapytany o to, czym jest dojrzałość, kilkudziesięciu wypowiedź podsumowuje następująco: „W skrócie, dojrzałość to połączenie doświadczenia, refleksji i odpowiedzialnego postępowania”. Dla Dominiki dojrzałość wiąże się z umiejętnością rozmawiania na różne tematy. Także te mniej wygodne, związane z trudnymi chwilami w życiu, dylematami, problemami. Dominika oczekuje, że mężczyzna nie będzie odpowiadał na jej zwierzenia półsłówkami, a rzeczywiście wysłucha i postara się wspólnie z nią znaleźć rozwiązanie problemu. Okazywanie zainteresowania i zrozumienia jest dla młodych kobiet bardzo ważne, bo i Magda o tym wspomina. Opoowiada, jak zwierzała się chłopakowi, ale on zamiast odnieść się do tego, co powiedziała,

zaczyna się z nią licytować, jak bardzo to on ma gorzej od niej. Inna niepożądana reakcja na zwierzenia? – Odpowiedź typu „aha” albo „ostro” – mówi Magda.

Dominika nieszczerze nie lubi podejmować decyzję, więc nie miałyby nic przeciwko, gdyby to on zdecydował np. o tym, gdzie mieliby iść na pierwszą randkę.

– A gdyby zaproponował kino?

– Na pierwszą randkę to nienajlepszy pomysł. Na kolejną w porządku, ale na pierwsze spotkanie chciałabym iść na spacer albo do kawiarni, by spokojnie porozmawiać i się poznać – tłumaczy.

– Co mnie odstrasza? – Magda odpowiada bardzo szybko. – Brak kultury.

To zbyt techniczna wulgarność, zbyt głośne zachowanie w miejscach publicznych czy obrzydliwe zachowania typu plucie na chodnik.

Obie nie umówiłyby się także z kimś, kto ma problem z alkoholem albo narkotykami. Dominikę odstraszyłaby chorobliwa zazdrość, taka, która każe facetowi przeglądać jej telefon. Bo zazdrość niewielka, taka, która pozwala poczuć się zauważoną i adorowaną jest w porządku. Nie zniosłaby także czeplania się o byle co.

Z kolei Magda nie chciałaby się spotykać z kimś, kto jest „życiowo nieporadny”. – Osobą, która ma dwadzieścia parę lat, ale nie ma żadnej pracy. Jest na utrzymaniu rodziców. I interesuje się tylko tym, by jeździć autem po mieście za pieniądze rodziców. No nie, takie fleksowanie się mi się nie podoba.

Mężczyzna powinien szanować swoich rodziców. W szczególności mamę. Ale matkę synka by nie chciała.

Magda: Czy kobiety są słabą płcią? – Kobiety są bardziej wrażliwe, ale to nie świadczy o tym, że są słabe. Zazwyczaj muszę ogarniać więcej niż mężczyźni: pracę, dom, dzieci. Są wielozadaniowe. Słaba płć to stereotyp. Kobiety mają wymagania, co do mężczyzn, ale i oni nie pozostają dłużni. Kobiety zaczynają siebie szanować. I, że tak brzydko powiem, nie biorą byle czego.

Wieczni single

Czy dlatego, że dziewczyny, jak mówi Magda, nie biorą byle czego, młodym mężczyznom trudniej jest znaleźć partnerkę?

Trudno powiedzieć. Są jednak panowie, którzy prowadzą intensywne poszukiwania, by znaleźć tą jedyną.

O tych poszukiwaniach mówi 25-letni Mariusz. Od trzech lat jest sam. Niektórzy jego znajomi żartują sobie z niego i innych kolegów, że to wieczni single. Bo i jego kole-dzy szukają miłości. Bezskutecznie. – Oni są w porządku. Niektórzy z nich studiują, inni nie, ale pracują. Normalne chłopaki, przystojne, bez nałogów – mówi.

On sam tej jedynej szuka przez znajomych, wyjścia na miasto, wyjazdy. Korzysta także z aplikacji. Dwudziestopięciolatek szybko nawiązuje kontakty. Szybko także wie czy z danej znajomości może być coś więcej. Bo „chemia” między ludźmi jest albo jej nie ma. Są także i oczekiwania wobec

tej drugiej osoby. Kobieta, z którą się zwiąże, powinna być ambitna i zaradna. Nie chciałby być z osobą, która „chce tylko leżeć i pachnieć”. No i powinna być, tak, jak i on, osobą wierzącą w Boga. Mariusz poznał taką kobietę. Chciałby spróbować stworzyć z nią relację. Zaimponowała mu. Mogłaby poddać się przeciwnościom, takim, jak trudniejszy start w życiu, bo nie pochodzi z zamożnej rodziny, ale nie. Ona jest zdeterminowana. Studiuje i utrzymuje się sama. – Jest zaradna i ambitna. Do tego wygadana. Zawsze uśmiechnięta i ładna – wylicza. Problemem jest duża odległość. Czy coś z tego będzie? Czas pokaże.

Kobiety to ta silna płęć

– Szukam partnera i jestem otwarty na związek – mówi 32-letni Rafał, pracownik zagranicznej firmy IT. Chciałby się związać z osobą, która będzie przede wszystkim stabilna. Przyszły partner Rafał powinien także wiedzieć czego chce i nie bać się do tego dążyć. Ważna dla niego jest niezależność, uczuciowość oraz otwartość na życie i ludzi. Odstraszają go niezaradność życiowa, brak pewności siebie i to, jak facet jest drama queen szukającym zwady. Lubi „męskich mężczyzn”, czyli takich, którzy mają ogarnięte wszystkie sprawy dookoła siebie. Te emocjonalne i finansowe. – Dla mnie męski mężczyzna to osoba potrafiąca wesprzeć swoją rodzinę i przyjaciół. A, gdy sam potrzebuje pomocy, to nie boi się o nią poprosić. Nie obawia się otworzyć emocjonalnie – tłumaczy.

– A jakie jest twoje wyobrażenie kobiecej kobiety?

Rafał zastanawia się i trochę wstydzi się tego, co chce powiedzieć. – Trudno mi uwierzyć w to, że mam tak stereotypowy pogląd na tę kwestię. Dla mnie kobieta jest kobieca, kiedy jest zadbana, ładnie pachnie. Idzie ulicą i zwraca na siebie uwagę – wylicza. I reflektuje się: – Nie podejrzewałem siebie o taki szowinizm.

– Kobiety to słaba płęć?

– Kobiety są przeciwieństwem słabej płci. To mocna płęć – stanowczo stwierdza. Samo to, że decydują się rodzić dzieci, świadczą o ich sile. Jeżeli którąkolwiek z płci nazywać słabą to tą męską. Emocjonalnie sobie nie radzą w wielu sprawach. O czym świadczą, przypomina Rafał, statystyki dotyczące samobójstwa. Nie oznacza to jednak, że mężczyźni mają w życiu, tak ogólnie, jakoś gorzej. Bo gorzej wciąż mają kobiety. To im społeczeństwo narzuca ciśniejsze role, z których trudno wyjść, ale i je spełnić. A to, co jest kobietom narzucane, to nie tylko sprawy męczyzny, ale i innych kobiet. I to one mają mniej swobody. Mniejszą możliwość wyboru. Muszą o większej ilości rzeczy myśleć, więcej rzeczy brać pod uwagę zanim wykonają jakikolwiek ruch. – Do tego jeszcze zegar biologiczny i presja związana z macierzyństwem. Kobiętom nie jest łatwo – przekonuje. – Samo to że kobieta boi się wyjść wieczorem, bo boi się, czy ktoś jej nie zaatakuję to jest chore, w jakich kategoriach na co dzień muszą myśleć kobiety, a jakich faceli.

Męczyźni, którzy nie mają do zaoferowania takim typowym lalom kasy

Dwudziestotrzyletni Paweł niedawno zakończył półroczną żalobę po związku trwającym cztery lata. Dopiero teraz odżywa. Za uważał, że nietrudno jest znaleźć dziewczynę do randkowania. – Ale te dziewczyny? – na chwilę milknie. – Ja cenię w kobietach kobiecość, to, że trzeba je zdobyć. Dziewczyny poznanych w klubie nie trzeba za bardzo zdobywać. Tu liczy się pierwsze wrażenie. Masz wygląd albo wypchany portfel, to masz dziewczynę – twierdzi.

– Pieniądże szczęścia nie dają, ale dobrze wiem, jak to jest je mieć i wiem też, jak jest, gdy nie ma się kasy. Pieniądże są przepustką do tego lepszego życia, świata wykreowanego w mediach społecznościowych. Męczyźni, którzy nie mają do zaoferowania takim typowym lalom kasy, mają gorzej. Pierwsze wrażenie można zrobić wyglądem lub pełnymi kieszeniami.

– Ale ty chyba nie chciałbyś, jak mówisz, lali?

– No nie. Teraz mam ten czas, w którym chcę się wybawić, ale to nie jest tak, że ja zabieram do domu poznane w klubie dziewczyny. To dla mnie obrzydliwe. Ja w takie relacje nie wchodzę. Intymność jest zarezerwowana dla jednej osoby. I tak powinno być w normalnym świecie.

Paweł patrzy na daną dziewczynę z perspektywy. Zastanawia się nad tym, co ona zapewni w przyszłości jego dziecku.

– Nie chciałbym mieć dziewczyny, która po jednym dniu weszłaby ze mną w relację intymną.

Trochę się zapętlilem, ale tak jest – mówi.

Jego typ jest stereotypowy. Blondynka z niebieskimi oczami, ale jeżeli kobieta „jest ładna to jest ładna”. Wygląd na samym początku gra istotną rolę. Bardziej patrzy na to jak ona się zachowuje. Stara się sobie wyobrazić, jak ona będzie się zachowywać za jakiś czas, za kilka lat. – Czy jak ja się jej oświadcę to czy ona za rok tych zaręczyn nie zarwie, bo spotkała kogoś innego. Jestem młody, ale oczekuję już poważnego związku, nie skakania z kwiatka na kwiatek.

Męski facet? Powinien zapewnić byt kobiecie. Czuby się źle, gdyby był na utrzymaniu kobiety. – To pewnie wynika z tego, z jakiej rodziny jestem, ale uważam, że to facet jest głową rodziny. To on musi stawiać czoła wszelkiemu rodzajowi problemom. I to według mnie świadczy o męskości, a nie, że

rzeż to kwestia uznania ich praw reprodukcyjnych. Aborcja to jedno. Inną kwestią jest debata na temat antykoncepcji awaryjnej. – Żenujące jest to, że niektóre kobiety, także polityczki, mówią, że to aborcja – mówi.

Współcześnie kobiety, uważa, są bardziej świadome. Wiedzą, że ich świat nie musi się kręcić wokół mężczyzny i dzieci. Panie mają aspiracje. Marzenia. I je spełniają.

Ni stąd, ni zowąd jedna ze stron przestaje odpowiadać

W Kortowie, uniwersyteckim kampusie mieszczącym się w 170-tysięcznym Olsztynie, na jednej z ławek siedzi Julia i Kuba. Są na pierwszej randce. Tinderowej. Nie pisali ze sobą długo, raptem cztery dni. Żadne z nich nie lubi wymienić wiadomości w nieskończoność. Lepiej szybko się spotkać. To mówią oboje. Trudno poznać osobę po tym, jak się komunikują przed apkę. No i tam wciąż ma się nowe pary, ktoś, kto może być fajny, może zniknąć, można o nim zapomnieć. – Zdecydowanie wolę porozmawiać twarzą w twarz niż przez ekran – przyznaje Kuba.

Zresztą często bywa tak, że nagle jedna ze stron przestaje odpowiadać. Tak ni stąd, ni zowąd. Julia przyznaje, że kiedyś przestała odpowiadać na wiadomości. – Chłopak z którym pisałam zgbulił mi się w moich maczach. Zleciał na dół listy – tłumaczy dziewczynastolatka. Nie lubi, jak jej rozmówcy za bardzo dopytują np. o to, gdzie konkretnie jest, zadają zbyt osobiste pytania. My-

ja się myślę – wspomina. Niedawno od jednego z mężczyzn usłyszała, że „kobiety są troszczkę głupsze”. – Powiedziałam mu, że to jego opinia. I że się z nią nie zgadzam – dodaje. Więcej się z nim nie spotkała. Współcześnie można paść ofiarą złudnego poczucia łatwości nawiązywania kontaktów, ale to tylko wrażenie. – Trudniej jest zbudować relację i ją utrzymać. Bo wiele osób, każdej płci, nie wie po co jest w apkach. Nie traktują tego poważnie, albo są tam z nudów – konkluduje Kuba.

Ekstrawertyk pozna ekstrawertyczkę

21-letnia Zuzanna jakiś czas temu zakończyła związek trwający prawie sześć lat. Na imprezach czy w aplikacjach poznawała nowe osoby, ale jak oni chcieli się spotkać, to się wycofywała. Po rozstaniu czuła się samotna, ale wciąż jest niegotowa do nawiązywania nowych relacji.

Szymon, także po niedawnym rozstaniu, nie ma problemu w nawiązywaniu nowych znajomości. „Szybki chłopak”, mówi o sobie. Jest ekstrawertykiem i z taką osobą chciałby być. Z partnerką, która będzie łatwo nawiązywała kontakty i będzie zaradna.

– A co ta zaradność dla ciebie oznacza?

– Umiejętność poradenia sobie w każdej sytuacji. Nawet tych najmniej oczekiwanych. Jakby ktoś ją zostawił z randomowym mieście, bez telefonu. A ona by sobie poradziła.

Jej mężczyzna powinien pozwolić jej na słabości. Zaopiekować się. Być dżentelmenem. Ale nie chodzi tutaj o bycie słabszą w relacji, zależną

ktos ma powyżej 185, brode i tatuaże. To wypaczony świat. Wypaczony przez media społecznościowe.

A kobieta, ta z którą się zwiąże, mogłaby pracować? – Oczywiście, że tak. To nawet wskazane. Mi po prostu chodzi o to, że chciałbym dać mojej partnerce wybór czy chce pracować czy nie. By to pójście do pracy nie było powodowane koniecznością, bo nie mamy na chleb. Uważam, że każdy facet powinien podchodzić do tego w taki sposób.

Męski mężczyzna i kobieca kobieta

– Męski mężczyzna zapewnia rodzinie byt i jest umięśniony. Z kolei kobieca kobieta wychowuje dzieci, jest zadbana, elegancka – stwierdza 28-letnia Patrycja, absolwentka psychologii pracująca w międzynarodowej korporacji. Zaraz jednak dodaje, że są to stereotypy. Pewne abstrakcyjne i jednocześnie archaiczne wyobrażenia, w które ona nie wierzy. I, jak mówi, nie mają one dziś znaczenia. – Przynajmniej nie dla mnie – dopowiada.

Dla Patrycji, w jej wieku, podkreśla, ważne jest, czy mężczyzna pracuje czy może wciąż pozostaje na utrzymaniu rodziców. To, jakie ma wykształcenie nie jest aż tak istotne. Nie skreśliłaby kogoś bez papierka z uczelni wyższej. Bo i taki mężczyzna może być mądry.

Nie umówiłaby się z facetem, który wierzy w teorie spiskowe. A ich, jak mówi, nie brakuje.

Wymaga od mężczyzny, z którym miała by się spotykać i budować jakąś relację ponadprzeciętnej inteligencji. I poczucia humoru. Powinna móc z nim porozmawiać „o wszystkim i o niczym”. I czuć się z nim swobodnie. Móc być sobą.

Patrycja uważa, że współcześnie kobiety znajdują się w lepszej sytuacji niż na przykład 50 lat temu. Ale idealnie nie jest. Wciąż trudniej im awansować. Wciąż to mężczyźni, również i w firmie, w której pracuje, zajmują większość prestiżowych stanowisk. Kolejną sprawą, w której kobiety mają go-

śli o swoim bezpieczeństwie. Nie stawia się na znalezienie partnera. Może to być po prostu znajomość. W mieście jest nowa, niedawno zaczęła studia na kierunku medycznym. I jak mówi, trochę jej się nudzi. Czy spotka się z Kubą znowu? Albo z kimś innym, kogo poznała w aplikacji? To zależy od tego, czy rozmowa będzie się kleiła.

Dla Kuby, studenta zarządzania, ta rozmowa też jest ważna. I to czy poczuje więź, czy czuje się z daną osobą komfortowo.

A kogo unikają?

– Głupich – odpowiada szybko Kuba.

– Czyli jakich? Niewykształconych? Nieporadnych życiowo?

– Pustych, nieogarniętych – mówi.

W aplikacjach, dodaje, jest dużo osób w wieku maturalnym. I oni często do tej matury nie chcą podejść, bo szkoła ich nudzi, na studia nie chcą iść i w sumie to nie mają na siebie żadnego pomysłu. Nie wiedzą, jak poprawnie funkcjonować w społeczeństwie. I opierają swoje istnienie na tym, jak wyglądają.

Dla Julii redflagiem są uzależnienia.

A ważne jest by miała z danym mężczyzną podobne poglądy, by gdzieś na tym gruncie światopoglądowym się spotkali. Nie chciałaby umawiać się z chłopakiem, który w opisie w apce pisze coś w rodzaju „feministkom dziękuję”. Ale nie ma nic przeciwko spotkaniu się z osobą wierzącą. Ważne, jest to jak mężczyzna traktuje kobiety. Także te w rodzinie – mamę, babcię czy siostrę. Kuba mówi, że ten szacunek do kobiet ma od urodzenia. Wychowywał się z siostrą. Ale, przyznaje, że rzeczywiście, u niektórych panów z szacunkiem do kobiet nie jest najlepiej. Wśród rówieśników nie widzi powrotu do konserwatywnych wartości. Ale widzi to Julia. W małej skali, ale jednak. To są chociażby komentarze albo zachowania. – Zdarzyło mi się spotkać z takimi osobami. I mam wrażenie, że oni nie słuchają tego, co mam do powiedzenia, tylko czekają aż skończę mówić, bo chcą mi powiedzieć dlaczego

W związku z Szymonem nie musiałaby sobie radzić sama, bo jak zapewnia, jest bardzo opiekuńczy. Potrafi się oddać w stu procentach. Wysłuchać. Docenić. Nie dawać powodów do zazdrości. Zuza też. Potrafi się dla drugiej osoby poświęcić. A nawet, jak w ostatniej relacji zatracić siebie, jak chce pomóc. Pragnie relacji z mężczyzną, który będzie po prostu normalny, ciepły. Będzie potrafił wysłuchać. A nie tylko mówić o sobie. W związku nie będzie miejsca na uzależnienia. Tak, jak i zazdrość. – Ma mi tych powodów do zazdrości nie dawać – mówi.

Jej mężczyzna powinien pozwolić jej na słabości. Zaopiekować się. Być dżentelmenem. Ale nie chodzi tutaj o bycie słabszą w relacji, zależną.

Bo kobiety, jak mówi, wcale tą słabszą płcią nie są. Zuza to określenie słyszy głównie z ust osób dużo starszych. I na prowincji. Sama, wspomina, jest ze wsi. Tak samo zresztą Szymon. I to właśnie tam częściej słyszał to określenie. Także to, że dziewczynom czegoś nie wypada zrobić. Ale nie tylko im, niektóre zachowania też i chłopakom nie przystoją. Dwa lata temu, gdy przeprowadził się do miasta na studia odkrył inny świat. Taki, w którym to jednostka decyduje jaka chce być.

Wnioski z terapii

– Kobiety mają kulturowego farta, bo im wolno być emocjonalnymi. Bardzo dobrze, jeżeli z tej kobiecej emocjonalności czerpie zarówno kobieta, jak i facet – mówi Jan, 32-letni lekarz z Trójmiasta. – Uważam też, że kobieca jest wytrzymałość psychiczna taka prawdziwa, bez ociny. – dodaje.

Mężczyzna lubi kobiety sprawcze i pewne siebie. Aczkolwiek: – Muszę przyznać że myśli gdzieś dryfowały mi w kierunku wyglądu zewnętrznego, ale to nie jest takie ważne. Lubię to, co ludzie robią ze swoim ciałem, jak nim rządzą, jak się w nim czują. Dbanie o swoje ciało, wyrażane w róż-

ny sposób, jest kobiece. Dbłość o szczegóły też kojarzy mi się z kobiecością. Zmysłowość. Wielowymiarowość postrzegania zjawisk – opowiada. I dodaje, że mówi z perspektywy heteroseksualnego faceta. Takiego, dla którego, to co „męskie” nie wiąże się ze stereotypami. Tylko z tym, że mężczyzna ma kontakt ze swoją emocjonalna stroną. Dostrzega ją i wyciąga wnioski. Taki mężczyzna, uważa, nie robi nic na siłę ani przeciwko sobie. Jest w dialogu, zarówno ze sobą, jak i partnerką. Jest także zaangażowany. Sprawczy, ale bez napinki i przesady. Ufa partnerce. Dzieli się z nią obowiązkami, a podział ten wynika z ustaleń i preferencji w danej relacji.

– Część z tych wniosków pochodzi z terapii – przyznaje. – Pewnie niedawno bym jeszcze odpowiadał inaczej, ale teraz więcej widzę czego mi na przykład brakuje i w miarę do czego bym chciał dążyć.

Według Jana współczesny świat nadal jest dość mocno męski. Stereotypy nadal pracują i w mężczyznach i w kobietach. To mężczyznom, mówi, łatwiej jest osiągnąć materialny sukces. – W dodatku, na niektórych kobiet przemawia to, że tylko one mogą urodzić dzieci. To jest oczywiście cudowne, ale wiąże się z wieloma obowiązkami, trudnościami, które nadal nie są dostatecznie społecznie docenione.

– Określanie kobiet słabą płcią broni się współcześnie?

– Chyba nie. Współczesny świat oferuje wiele bardzo różnorodnych możliwości oddziaływania na niego. Jeśli coś miałyby tworzyć ramy dla istnienia słabszej płci to byłyby to uwarunkowania społeczno-kulturowe – uważa lekarz.

Współcześnie, mówi Jan, przed obiema płciami stoją nowe wyzwania. Kobiety sięgają coraz częściej po to, co kiedyś było zarezerwowane dla mężczyzn. Adaptują się do tego świata. Mężczyznom ta adaptacja do współczesności może wychodzić gorzej. Bo ten świat nie jest już tak bardzo patriarchalny jak niegdyś. Nie wszystko da się załatwić siłowo, wyparciem czy sprawczością. – Trzeba coś poczuć, być soft. I chyba do tego trudno się dostosować – uważa.

Idealny partner? To partner obecny, dbający o bliskość, ale także dający przestrzeń na wyrażenie siebie przez drugą osobę i próbujący jakoś to przyjąć, przetworzyć. Ogarniający siebie. – Najlepszy partner czy rodzic to chyba taki co ogarnia swój cyrk – konkluduje Jan. ●

• Imiona niektórych bohaterów i bohaterek zostały zmienione

Swift

Szyborska lubiła długopisy firmy BIC, a BIC to również kod systemu Swift. Jak te fakty połączy sztuczna inteligencja?



Michał Rusinek

Cenię sobie listy od wnikliwych czytelników, którzy znajdują w moich felietonach nieścisłości czy błędy. Zawsze odpowiadam i zawsze dziękuję. No i poprawiam, przynajmniej w wersji internetowej, a jeśli felieton ukazuje się potem w książce – to już w wersji poprawionej. Przychodzą do mnie także listy dotyczące książek Wisławy Szyborskiej, publikowanych za zgodą Fundacji, którą mam zaszczyt prowadzić. Zresztą nie tylko książek, bo także piosenek: to wnikliwa słuchaczka zauważyła, że pewna znana wokalistka zmieniła jedno słowo – a właściwie dodała jedną literę w jednym słowie – w śpiewanym przez siebie wierszu noblistki. Tego już się zmienić nie udało.

Błędy w książkach zawsze mogą się zdarzyć, bez względu na to, ile par oczu będzie te książki czytać przed wydaniem. W „Wierszach wszystkich” omyłkowo znalazł się nawet wiersz autorstwa nie Szyborskiej, lecz Witolda Turdzy – bardzo udany pastisz. Na tyle udany, że nikt nie zauważył, że to pastisz. Znaleźć go można tylko w pierwszym wydaniu, które dzięki niemu stało się białym krukiem. Teresa Świątkiewicz, tłumaczka Szyborskiej na język portugalski, umieściła go nawet w swoim wyborze – jako przykład genialnego pastiszu. My – bi-

jemy się w piersi, bo to nasza wina, ale i zarazem mamy poczucie, że samą Szyborską ten błąd by rozba-
wił. Z pewnością za to ucieszył on
samego autora pastiszu.

Niedawno na Instagramie dostałem wiadomość dotyczącą przedrukowanego w „Wierszach wszystkich” wiersza „Jawność” (z tomu: „Wolanie do Yeti” z roku 1957). Autorka wiadomości wyraża zaniepokojenie, czy aby omyłkowo nie pojawił się w nim wyraz całkiem współczesny, oznaczający globalny system płatności używany do rozliczania transakcji poprzez transfer wartości pieniężnych między instytucjami finansowymi. Rzeczywiście, wyraz ten jest skrótem od nazwy stowarzyszenia, które wprowadziło ów system: Society for Worldwide Interbank Financial Telecommunication i powstało 20 lat po napisaniu przez Szyborską „Jawności”. Słusznie więc pojawienie się tego słowa zaniepokoiło czytelniczkę.

Cała strofa brzmi tak: „I wiedzą szklanki, czemu na dnie/ herbaty stygnie nie dopita./ Swift już nadziei nie ma żadnej,/ nikt go tej nocy nie przeczyta”. Tu przypomnijmy, że sytuacja liryczna w tym utworze przedstawia się tak oto, że „wśród głębokiej nocy” leżą obok siebie „nadzy kochankowie”, „odziani tylko w listki powiek” i nic – poza nimi samymi – ich nie interesuje: ani dopijanie herbaty, ani doczytywanie Swifta. Z pewnością chodzi bowiem o Jonathana Swifta, autora „Podróży

**Nie mam pewności,
czy wiadomość na
Instagramie napisała do
mnie prawdziwa osoba.
Może to była właśnie
sztuczna inteligencja?**

Guliwera” – i prawdopodobnie właśnie o tę książkę. Tak zresztą, najdelikatniej i najuprzejmiej, jak tylko potrafiłem, odpisałem wnikliwej czytelniczce.

Nie chodzi mi teraz o wyśmiewanie się z kogoś, komu Swift nie kojarzy się z literaturą, a z bankowością. Właściwie to się nawet temu komuś nie dziwię. Niech Państwo spróbują bowiem wpisać to słowo do wyszukiwarki Google’a: wyskoczą Wam prawie wyłącznie strony dotyczące wspomnianego systemu płatności, modelu samochodów Suzuki, piosenkarki Taylor Swift oraz jakiegoś baru w Londynie. Dopiero na samym końcu pojawi się link do książki: „The Life of Jonathan Swift”. Wyobraźmy sobie, że sztuczna inteligencja ma za zadanie zinterpretować ten wiersz. Ponieważ korzysta z zasobów internetu, jakie jest prawdopodobieństwo, że potraktuje „Swift” jako nazwisko pisarza, a nie jako przelew, samochód, piosenkarkę czy bar? Zapewne niewielkie. W internecie znaleźć także można informację, że Szyborska lubiła długopisy firmy BIC, a BIC to również kod identyfikujący banki pracujące w systemie Swift. Jeśli sztuczna inteligencja potrafi łączyć fakty – a podobno potrafi – to zyskuje dodatkowy argument, by w jej interpretacji oszołomiony miłością podmiot liryczny w wierszu „Jawność” odmawiał czytania wyciągów bankowych, a nie „Podróży Guliwera”.

Nie mam pewności, czy wiadomość na Instagramie napisała do mnie prawdziwa osoba. Może to była właśnie sztuczna inteligencja? Twierdziła wprawdzie potem, że jej mąż wiedział był, o kogo chodziło Szyborskiej, ale przecież sztuczna inteligencja też może mieć męża, a w każdym razie może twierdzić, że ma męża. Męża, który wie. Badania nad sztuczną inteligencją pokazują przecież, że ma ona patriarchalne poglądy. ●

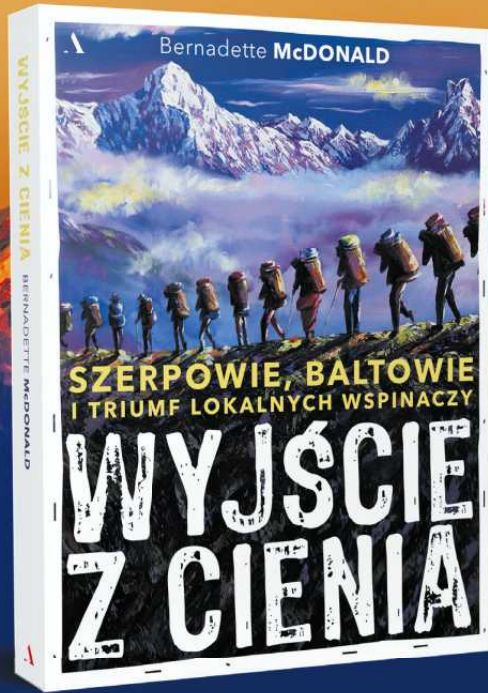
REKLAMA

Kraj/34310817

Fascynująca historia kluczowej i często tragicznej roli Nepalczyków, Tybetańczyków i Pakistańczyków w wyprawach na najwyższe szczyty świata.

JON KRAKAUER

Szerpowie, Baltowie, Ladakhowie, Hunzowie czy Bothiowie od zawsze brali udział w górskich wyprawach. Stoją za światowymi sukcesami gwiazd wspinaczki, ale ich nazwiska rzadko są znane. Dziś coraz głośniej je słyszeć. Z wielogłosu niezwykłych historii Bernadette McDonald buduje poruszającą opowieść o prawdziwych ludziach gór.



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



publio.pl



Wydawnictwo
Agora

Kamil Fejfer

stnieje cała seria memów pokazujących różnice pokoleniowe między ludźmi młodymi oraz ich rodzicami. Jeden z najpopularniejszych formatów przedstawia Yes Chada i Trad Girl. On jest alegorią tradycyjnej, zdecydowanej, nieco karykaturalnej męskiej siły i opanowania. Portretowany jako mężczyzna z bujną brodą, sumiastymi wąsami, blond włosami i niebieskimi oczami, na każde pytanie odpowiada zdecydowanym i oszczędnym „Yes” lub „OK”. Trad Girl z kolei to „porządna”, skromna i tradycyjna blondynka w niebieskiej sukience.

W memach Yes Chad i Trad Girl zazwyczaj są rodzicami. Trad Girl mówi do Yes Chada: zróbmy sobie drugie dziecko. Ten odpowiada: „OK”. Podpis: „Moi rodzice w wieku 30 lat”. Niżej obrazek podpisany „Ja w wieku 30 lat”. Co robi dzisiejszy 30-latek? Siedzi przed monitorem i „Musi po raz piętnasty pomóc staruszkowi znaleźć jego kożę” w popularnej grze.

Mało co tak rozpala debatę publiczną jak pokoleniowe diagnozy. Od kilku lat w tym kontekście coraz mniej pisze się o milenialsach, a ich miejsce w artykułach i analizach zajmuje najmłodsza generacja, czyli Zetki (osoby urodzone w latach 1995-2012). Nic dziwnego, pokolenie Y, czyli właśnie mileniali (urodzeni w latach 1980-94) wchodzi już w wiek średni. To oni stanowią coraz większą część managementu w korporacjach, coraz więcej ma już własne dzieci. I ta grupa chce poznać młodych dorosłych, ponieważ ci ostatni są konsumentami oraz pracownikami lub przyszłymi pracownikami firm, którymi dziś zarządza (przynajmniej częściowo) generacja Y.

Dzisiaj to Zetki przejęły pałeczkę w pokoleniowej sztafecie „roszczeniowców”. Ten refren znamy przynajmniej od półtorej dekady. Ale w przypadku generacji urodzonej od połowy lat 90. do mniej więcej 2012 r. doszła jeszcze jedna diagnoza – Zetki dorastają znacznie wolniej niż pokolenia wcześniejsze. O ile z roszczeniowością można dyskutować, tak opóźnione dorastanie jest niepodważalnym faktem.

„Po maturze w 2022 udało mi się z partnerką wyprowadzić na swoje, ale po rozstaniu musiałam wrócić do domu rodzinnego. A przez obecną sytuację na rynku mieszkaniowym nie stać mnie na mieszkanie” – mówi mi 22-letnia Sasza, studentka filozofii z Warszawy.

„Dzięki dobremu skomunikowaniu Wołomina z Warszawą droga z domu na uczelnię zajmuje mi poniżej godziny. Podróż pociągami to 20 minut, metrem mniej niż 15, a po 5 minutach spaceru jestem na kampusie głównym UW” – stwierdza 20-letni Adam, student kulturoznawstwa mieszkający z rodzicami w podwarszawskiej miejscowości. Nie pracuje, na razie chce skupić się na nauce.

Późne wyprowadzki, powroty do domów rodzinnych i tzw. gniazdowanie (czyli mieszkanie w wieku dorosłym z rodzicami) jest jedną z cech młodego pokolenia. Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Odroczona dorosłość” w 2022 roku w 51 proc. Polaków w wieku 25-34 lata mieszkała z rodzicami. Trend wzrostowy widać od roku 2005. Dla wielu wyjaśnienie tej sprawy jest proste: mieszkania w Polsce są po prostu horrendalnie drogie. Taka diagnoza tłumaczy jednak tylko część zjawiska. Więc po kolei.

Odsetek osób gniazdujących zauważalnie wzrósł w 2020 r., czyli w momencie początku wielopoziomowego kryzysu. Najpierw mieliśmy do czynienia z uderzeniem covidu i z lockdownami. Te „uwięzili” w domach wielu studentów. Spora część z nich, jak i ich rodziców, słusznie doszła do wniosku, że nie ma powodu, żeby mieszkali z dala od rodzinnych domów, skoro i tak nie chodzą na zajęcia.



NIE WYFRUNĘ

**Zetki wyprowadzają się z domu na chwilę i wracają do rodziców.
Być gniazdownikami muszą czy chcą?**

Po co płacić za stancję? Mało kto pamięta, ale w roku 2020 mieliśmy do czynienia ze spadkiem cen wynajmu mieszkań. Zadziałała prosta gra popytu i podaży. Popyt gwałtownie spadł, podaż pozostała na tym samym poziomie. Jeśli właścicielom nieruchomości zależało na wynajmie, musieli obniżyć ceny.

Kiedy po lockdownach wracaliśmy do normalności, pojawiła się podwyższona inflacja, więc Polacy i Polki zaczęli coraz dokładniej oglądać każdy grosz. Najgorsze dla rynku mieszkaniowego miało jednak dopiero nadejść. W pierwszej połowie 2022 r., po ataku Rosji na Ukrainę, wraz z falą uchodźców z portali pośredniczących w wynajmie mieszkań w niektórych miastach zniknęło ponad 70 proc. ofert. Kilka miesięcy później na dobre uderzył trzeci kryzys (wynikający z dwóch poprzednich), który tlił się od miesięcy: największa inflacja od lat 90. Właściciele mieszkań, chcąc powetować sobie drożyznę i wiedząc, że popyt jest ogromny i rośnie, sami podnosili czynsze.

Wszystkie te trendy widać w statystykach – odsetek młodych osób mieszkających z rodzicami nie opadł do dziś względem odczytów przedpandemicznych. „Najpierw mieszkaliśmy z dziewczyną w takim mega peerelowskim, dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Brazylijskiej, za 2400 zł. Było substandardowe, to prawda, ale całkiem spore. Dzisiaj za taką kwotę trudno nawet znaleźć kawalerkę” – mówi Sasza. Kilka miesięcy później udało im się przeprowadzić do mieszkania, które było własnością rodziny partnerki Saszy.

Właśnie, co z nią? Nawet jeśli nie przemówi własnym głosem, to jej historia coś nam powie. „Po rozstaniu pozostała w tamtym lokalu”. Sasza mówi, że z uwagi na dobrą sytuację ekonomiczną rodziny jej bylej dziewczyny nie dotyczą problemy z rynkiem mieszkaniowym.

Powrót części młodych do rodziców widoczny jest nie tylko w Polsce. Ostatnie lata nie są tu również niczym nowym. O podobnym trendzie w kontekście kryzysu ekonomicznego zapoczątkowanego w 2008 r. pisał w 2012 r. w „Atlanticu” Derek Thomson. W tamtym czasie w Stanach Zjednoczonych widoczna była narastająca fala „gniazdujących” młodych dorosłych.

Powód? Zdaniem Thomsona wynikało to z faktu pogorszenia się sytuacji ekonomicznej wchodzących w dorosłość milenialsów. Po zawirowaniach gospodarczych i pęknięciu bańki na rynku nieruchomości wielu nie miało innego wyboru niż wrócić do rodziców. Inni, nawet jeśli wybór mieli, to w niepewnych czasach woleli gorszy gospodarczo moment przeczekać u opiekunów. Nic dziwnego, w pierwszych latach po wielkim kryzysie wzrosło bezrobocie i „uelastyczniło się” zatrudnienie. Po stronie pracowników owa „elastyczność” oznaczała większą niepewność i mniejszą terminowość wypłat. W takich warunkach dom rodzinny był jednym z niewielu pewnych punktów odniesienia.

Wróćmy jednak do polskich gniazdowników.

W ostatnim roku w kontekście mieszkaniówki PiS dołożyło jeszcze jedną cegielkę: „Bezpieczny Kredyt 2 procent”. Program znów podbił ceny nieruchomości, tym razem na rynku sprzedaży. W dużych miastach średnia cena metra wzrosła od kilkunastu do nawet 25 proc.

Z kredytu skorzystało co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób. Kupowały mieszkania w najbardziej popularnym przedziale cenowym. Jednocześnie nie pojawiło się magicznie dodatkowe kilkadziesiąt tysięcy nieruchomości. Skutek nie mógł być inny niż podwyżka. Ten, kto załapał się na rządową dopłatę, mógł mówić o sporym szczęściu, na programie wyszedł całkiem nieźle. Dla tych, którzy jeszcze nie mieli zdolności kredytowej lub z innych powodów nie mogli sobie pozwolić na mieszkanie, perspektywa własnego M oddaliła się w nieokreśloną przyszłość.

Mamy więc kilka całkiem niezłych wyjaśnień, dlaczego tak wielu młodych Polaków i Polek gniazduje. Z tą czysto ekonomiczną opowieścią są jednak dwa problemy.

Po pierwsze, wraz z powrotem wielu uchodźców do kraju (lub wyjazdem dalej, na zachód) rynek najmu stygnie, wraz ze spadkiem inflacji ceny produktów i usług stabilizują się, a do tego zauważalnie rosną pensje – w zeszłym roku wzrost średniej płacy przebił inflację, a w ostatnich miesiącach jeszcze przyspieszył. Podwyżki dostała całkiem spora grupa – według danych firmy rekrutacyjnej Randstad z grudnia, około 60 proc. pracowników stwierdziło, że w roku poprzedzającym badanie zwią-



FOI GETTYIMAGES

mniej pokoju. Być może chodzi więc o to, że mieszkania są drogie w stosunku do zarobków?

Tutaj jest ziarno prawdy, ale niewielkie. Otóż patrząc długoterminowo, wzrost cen mieszkań jest zbliżony do wzrostu pensji. To inny proces niż w przypadku stosunku naszych zarobków do cen towarów i usług. Tutaj z roku na rok możemy sobie pozwolić na coraz więcej. Nieoczywisty wniosek jest następujący: wydając dzisiaj ten sam procent naszych dochodów – założmy 40 proc. – na cele mieszkaniowe, możemy żyć wygodniej niż w przeszłości.

Jak to rozumieć? Chodzi o to, że za owe 60 proc., które nam zostaje w kieszeni po opłaceniu mieszkania, możemy kupić znacznie więcej towarów i usług dzisiaj, niż za 60 proc. pensji mogliśmy kupić w 2005 r.

Wydaje się więc, że gniazdownictwo to szersze zjawisko kulturowe, na które składa się wiele elementów.

Jedną ze zmian, którą widać w kolejnych pokoleniach, jest coraz większy odsetek osób kontynuujących edukację. Według danych cytowanych przez portal CiekaweLiczby.pl, w roku 1998 jedynie około 11 proc. osób w wieku 24-34 lata miało w Polsce wyższe wykształcenie. Dzisiaj ponad 40 proc. Osoby takie jak Adam czy Sasza trzy lub cztery dekady temu zamiast na studia, po prostu poszłyby do pracy.

To oczywiście nie oznacza, że Adam lub mu podobni uciekają przed dorosłością w edukację. Wykształcenie jest dobrą inwestycją, która zwiększa prawdopodobieństwo lepszych zarobków w przyszłości. To, że więcej osób wybiera wyższą edukację, nie tylko przyczynia się do ich lepszych zarobków w dalszej karierze. Samo w sobie zjawisko jest symptomem ekonomicznego postępu. Oznacza bowiem, że coraz więcej rodzin może sobie pozwolić, aby ich dzieci nie pracowały od razu po zakończeniu szkoły średniej i pozostawały, przynajmniej częściowo, uzależnione finansowo od rodziców.

Jednym ze skutków tego, że dzisiajśi młodzi dorośli znacznie chętniej idą na studia niż ich rodzice, jest rosnący wiek zarówno zawarcia pierwszego małżeństwa, jak i zająścia w pierwszą ciążę. Według danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego w roku 1995 kobiety pierwsze dziecko rodziły – uśredniając – w wieku około 23 i pół roku. W 2021 wiek ten wynosił już 28 lat. W 1995 r. średni wiek zawarcia pierwszego małżeństwa wynosił nieco ponad 24 lata. W 2021 już ponad 29 lat.

Pytam więc Adama, czy jeśli poznałby dziewczynę, to wyprowadziłby się od rodziców. „Jeżeli tak by się stało, to rzeczywiście wiele mogłoby się zmienić” – mówi. Po chwili jednak dodaje: „Ale jeśli miałbym kogoś na poważnie, to nie wydaję mi się, żeby mieszkanie z rodzicami było wielkim problemem”. Na razie nie szuka, koncentruje się na nauce.

Pamiętacie Yes Chada i Trad Girl, którzy dobijając trzydziestki, planowali drugie dziecko? W dzisiejszych czasach taka trajektoria życiowa jest o wiele mniej prawdopodobna, ponieważ młodzi dorośli wciąż się uczą w momencie, kiedy ich rodzice sprowadzali ich na świat. Oni mówią: najpierw edukacja i załapanie się do niezłej pracy, a dopiero później rodzina.

To zjawisko ma również przełożenie na niską dzietność. Jeżeli rośnie wiek kobiet, które zachodzą w pierwszą ciążę, to – przynajmniej dla części z nich – nie wystarczy czasu, żeby zająć w kolejną. Oczywiście fenomen niskiej dzietności jest o wiele bardziej skomplikowany. Oddziałuje nań i kultura, i ekonomia. Ale znów – ten ostatni aspekt bywa przeceniany. Warto pamiętać, że poza Izraelem żadne rozwinięte państwo na świecie nie ma zastępowalności pokoleń. Niezwykle zamożna i prowadząca prospołeczne polityki Finlandia ma dzietność na poziomie 1,3-1,4, czyli niewiele wyższą od naszej.

„Odkładanie decyzji o założeniu rodziny, decyzja o posiadaniu mniejszej liczby

dzieci czy nawet samotnym życiu są wynikiem przeobrażeń zachodzących w zachowaniach ludzi młodych, którzy najpierw inwestują w rozwój zawodowy, a dopiero później w założenie rodziny i jej powiększenie” – czytamy w raporcie GUS „Pokolenie Gniazdowników w Polsce”.

Socjologicznie „dorosłość” w literaturze wyznaczana jest przez kilka kamieni milowych. Opracowania GUS i PIE wskazują na: ukończenie edukacji, podjęcie pierwszej pracy, wejście w stały związek, zostanie rodzicem i wyprowadzka z domu. A wszystkie te rzeczy się przesunęły w czasie. Jean Twenge, psycholożka z Uniwersytetu w San Diego, nazywa to zjawisko „spowolnieniem strategii życiowych”.

Inną sprawą jest to, że w ostatnich dekadach mamy do czynienia z rozpadem sztywnych ram społecznego funkcjonowania. W raporcie PIE eksperci nazywają to zjawisko „dezinstytucjonalizacją” lub „destandaryzacją”. Obecnie trajektorie życia młodych dorosłych są na tyle zróżnicowane, że coraz częściej ciężko wskazać w życiu jednostek uniwersalny i kompletny zestaw wydarzeń, przez który można zdefiniować dorosłość. „Nie wszyscy wyprowadzają się z domu rodzinnego i zakładają własne rodziny, nie wszyscy wchodzą w stały związek, nie wszyscy zostają rodzicami” – czytamy w raporcie.

W świecie, gdzie kulturowo coraz bardziej akceptowane są różne style życia, nie do końca wiadomo, czym miałyby być dorosłość. Jednocześnie, choć część wyznaczników dojrzałości nieco się rozmywa, to trudno byłoby nam uznać, że niepracujący, niemający partnerki czy partnera 30-latek zanurzony w świecie gier komputerowych jest naprawdę osobą dorosłą. Prawdopodobnie większość z nas stwierdziłaby, że jest kimś zawieszonym między dorosłością a światem nastoletnim. Mającym co prawda zdolność do wszystkich czynności prawnych, szczącącym się biernym i czynnym

Udomowieni



prawem wyborczym, a jednocześnie pędzącym życie osoby bardzo młodej.

Ale dlaczego właściwie te procesy zachodzą? Mamy do czynienia z trendami, u podstaw których w sporej części leży ekonomia. Ale to obraz nie tak prosty, jak malują ci, którzy twierdzą, że młodzi dorośli gniazdują lub nie mają dzieci dlatego, że mieszkania są drogie, a pensje niskie.

Jeśli ktoś mówi „co z tego, że mamy wypasione telefony, skoro nie możemy sobie pozwolić na mieszkania”, to można odpowiedzieć – mieszkania są tak samo drogie, jak kiedyś, natomiast wszystko inne, w porównaniu do zarobków, jest tańsze.

Powtórzmy: obecnie młodzi dorośli zarabiają nieporównywalnie więcej niż ich rodzice w analogicznym wieku. Mają lepszy dostęp do większości usług, w tym publicznych. Pokolenie milenialsów i zetek żyje w świecie o wiele bardziej dostatnym niż pokolenie X czy baby boomers w ich wieku. Coraz więcej osób może studiować i nie pracować (lub pracować tylko na część etatu) inwestując w swoje przeszłe wyższe zarobki.

W przypadku gniazdowania jest jeszcze jedna rzadko poruszana kwestia, która może wpływać na decyzje o dłuższym pozostawianiu w domu rodzinnym. Chodzi o osłabienie konfliktu pokoleń. „Nie odczuwam potrzeby wyprowadzenia się od rodziców, mam z nimi bardzo dobry kontakt. Gdybym się uparł, to pewnie bym się wyprowadził, ale wydaje mi się, że mogę inaczej zainwestować te przykładowe 1500 zł na miesiąc, które bym płacił za pokój w Warszawie” – mówi Adam z Wołomina. „Z mamą mam dobre relacje i mam własny, duży pokój, więc mam przestrzeń do nauki i relaksu. Mieszkanie jest dobrze skomunikowane z uniwersytetem” – stwierdza Sasza.

Te wypowiedzi są dość typowe dla pokolenia Z. Jednocześnie dla generacji starszych milenialsów czy pokolenia X konflikt z rodzicami był czymś zupełnie naturalnym. Młodzi ludzie 20 czy 30 lat temu po prostu chcieli jak najszybciej opuścić dom, ponieważ ich wartości odbiegały od wartości ich rodziców. Chcieli również „korzystać z życia”, gdzie owym „korzystaniem” było kosztowanie do niedawna zakazanych owoców: alkoholu, seksu, czasem narkotyków.

To też się zmieniło. Z cytowanych w 2017 r. przez „Scientific American” badań przeprowadzonych przez badaczki z San Diego State University i Bryn Mawr College wynikało, że ówczesne nastolatki rzadziej piją alkohol i uprawiają seks niż nastolatki z poprzednich pokoleń. W drugiej dekadzie XXI wieku mniejszy odsetek nastolatków również robił prawo jazdy, mniejszy odsetek pracował i mniejszy umawiał się na randki.

Jean Twenge, współautorka badania, zastanawiała się, skąd wziął się ten zwrot. Być może nastolatki więcej czasu spędzały na odrabianiu prac domowych? Albo na angażowaniu się w zajęcia pozalekcyjne? Nic z tych rzeczy – te czynności nie zabierały młodym więcej czasu niż poprzednim pokoleniom. Co więc się zmieniło? Tak, dobrze się domyślać – nastolatki (jak i dorośli) przykleiły się do ekranów. Spadek ilości czasu poświęcanego na spożywanie alkoholu, randkowanie, seks, ale też spotkania ze znajomymi twarzą w twarz został zastąpiony przez czas spędzany przed smartfonami oraz na grach wideo.

Pytam więc Adama – nastolatkiem już nie jest, ale dopiero co był i generacyjnie wpasowuje się w opisywany trend – czy mieszkanie z rodzicami nie utrudnia spotkań ze znajomymi? Mówi, że rzeczywiście nie zaprasza często przyjaciół do siebie. Ale to nie znaczy – i tu kłania się wcześniejszy wątek, kondycji socjoekonomicznej – że przesiaduje sam, nachylony nad ekranikiem. – Zazwyczaj spotykamy się na mieście w lokalach. Albo jedziemy na działki za miasto.

Swoje dociekania Twenge rozwija w książkach „iGen” oraz wydanej w ze-

szłym roku obszernej pracy „Pokolenia”. Przygląda się trendom, które w Stanach Zjednoczonych dzięki badaniu „Monitoring the Future” można śledzić od lat 70.

O ile więc pół – tak, to już pół! – wieku temu niemal 90 proc. amerykańskich uczniów ostatniej klasy szkoły średniej miało prawo jazdy, tak w 2019 zaledwie około 60 proc. (późniejsze dane są obciążone covidowymi lockdownami). W połowie lat 70. ponad 80 proc. amerykańskich nastolatków randkowało. W 2019 r. – niepełna połowa populacji.

W pierwszej połowie lat 90. 65 proc. uczniów ostatnich klas szkół średnich przyznawało się do uprawiania seksu. W 2019 r. 55 proc. Na początku lat 90. ponad 80 proc. młodych piło alkohol, pod koniec ubiegłej dekady 60 proc.

Oczywiście niektóre z tych trendów, zwłaszcza spadek odsetka młodych osób sięgających po alkohol, mogą być rozpatrywane jako coś pozytywnego. Jednak w szerszym planie układa się spójny obraz. Otóż młodzi ludzie później niż dwie, trzy, cztery dekady temu angażują się w aktywności kojarzone z dorosłością. Stąd niektórzy mówią, że dzisiejsza młodzież w wieku lat 18 przypomina nieco 14-15 latków sprzed dwóch, trzech dekad.

Jest jeszcze jedna interesująca kwestia, która może uzupełniać ten pejzaż. Otóż pokolenie Z jest mniej skłonne do ryzyka. W „Pokoleniach” Twenge zauważa, że odsetek osób, które deklarowały, że „niekiedy lubią podejmować ryzyko”, spadł wśród amerykańskich uczniów w wieku 13-16 lat z około 45 proc. w roku 2010 do nieco ponad 30 proc. w 2021.

Badaczka zauważa również rosnącą istotność kategorii „bezpieczeństwa” dla osób młodych. Chodzi zarówno o bezpieczeństwo fizyczne, jak i emocjonalne. A jednym ze sposobów zapewnienia sobie tego stanu jest po prostu pozostanie w domu rodzinnym i niepodjęwanie aktywności, w które wpisane jest ryzyko niepowodzenia, zranienia, trudnych emocji i mierzenia się ciężarem codzienności. Z pewnością takimi rzeczami są praca zawodowa, długotrwały związek czy rodzicielstwo.

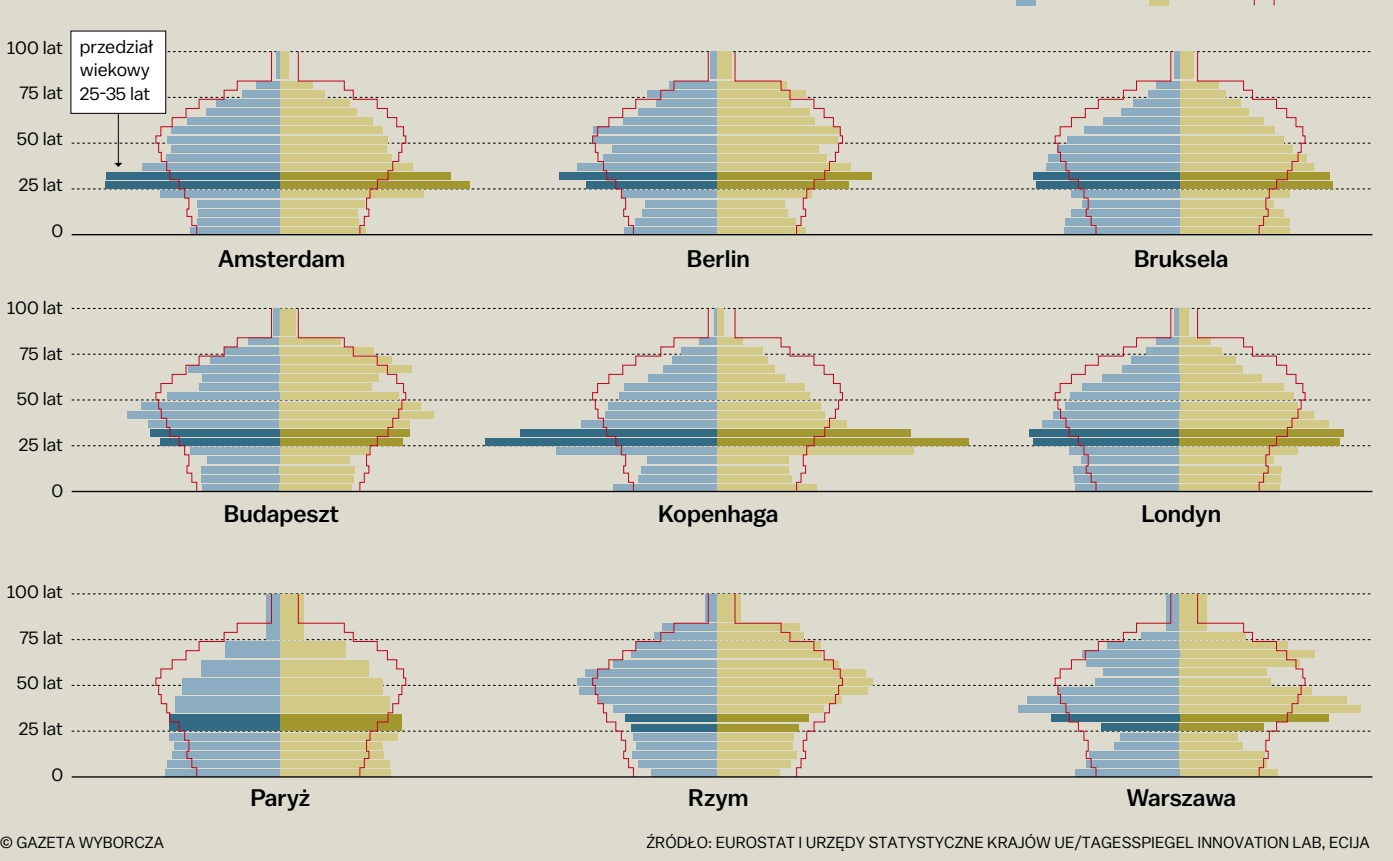
W kontekście tej ostatniej rzeczy Twenge wskazuje na interesujący aspekt. Otóż kultura niskiej dzietności wśród osób młodszych ma tendencję do napędzania samej siebie. Osoby młode, nawet jeżeli zdecydowałyby się na dziecko w wieku lat 24 czy 25 wiedzą, że będzie się to równało ze społecznym wykluczeniem. I nie chodzi wcale o negatywne stereotypizowanie. Młodzi są niezwykle tolerancyjni, jeśli chodzi o styl życia. Wykluczenie przybiera zupełnie inne formy. Kiedy na świecie pojawia się dziecko, zmieniają się priorytety, tematy rozmów oraz sposoby spędzania czasu, również wolnego.

Młodzi rodzice pośród innych młodych, którzy rodzicami nie są, po prostu nie mają czego szukać. To „antycypowane wykluczenie” dla części jest przeszkodą w decyzji o rodzicielstwie, nawet jeśli tego pragną.

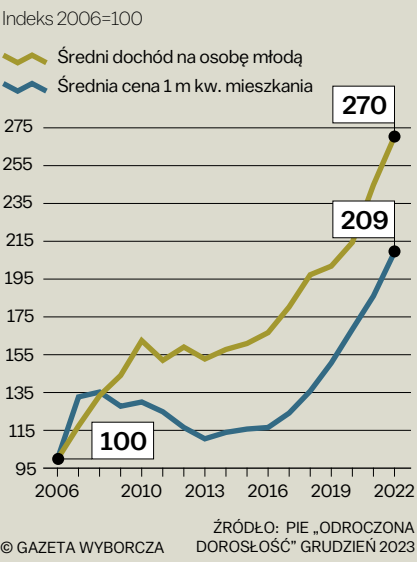
Ale Twenge w wyjaśnieniu spowolnienia strategii życiowych też sięga – a jakże – do ekonomii. Otóż szybkie strategie życiowe są właściwe dla osób wywodzących się z biedniejszych środowisk. Tę prawidłowość widać globalnie: w krajach o niższym poziomie rozwoju gospodarczego większy odsetek osób młodych szybciej rozpoczyna pracę, szybciej wchodzi w związki, a kobiety szybciej rodzą pierwsze dziecko.

Na późniejsze dorastanie wpływa więc cały szereg czynników, które się wzajemnie napędzają. Większa zamożność społeczeństwa pozwala na kontynuowanie nauki coraz większej liczbie ludzi. To przesuwając wiek, kiedy młodzi wchodzi w poważne związki oraz kiedy rodzą się im pierwsze dzieci. To znów ma przełożenie na dłuższe gniazdowanie. A proces podsycają social media, które behawioralnie uzależniają nas od słynnych „strzałów dopaminowych”.

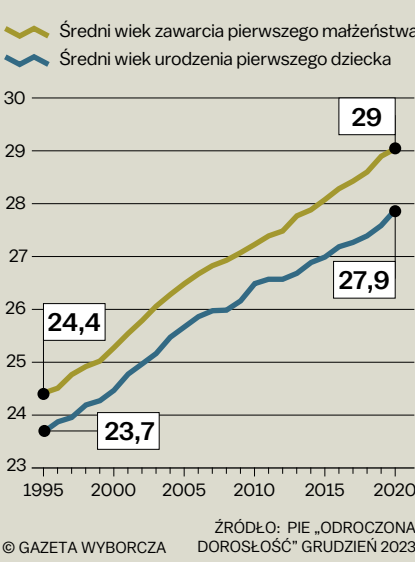
Rozkład wiekowy mieszkańców europejskich stolic



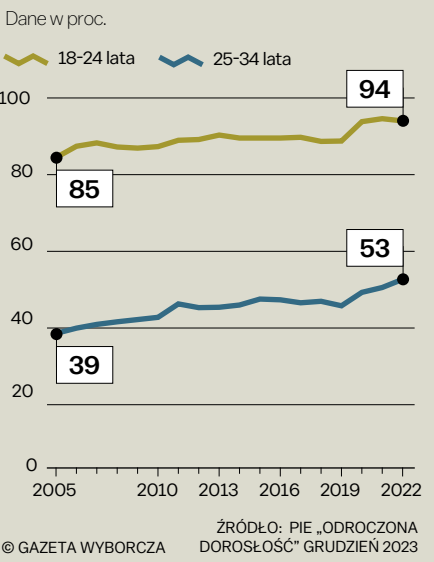
Zmiana średniej ceny mieszkań i dochodu rozporządzalnego osób młodych w Polsce



Średni wiek zawarcia małżeństwa i urodzenia pierwszego dziecka przez kobiety w Polsce



Odsetek młodych dorosłych mieszkających wraz z rodzicami w podziale na grupy wiekowe



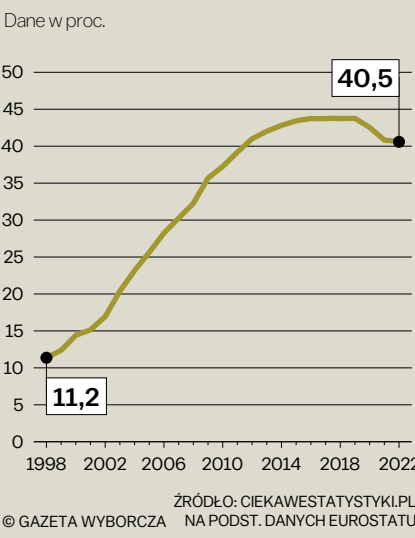
Inne czasy Tacy sami młodzi

Wewnątrz tak stworzonej architektury społeczeństwa generowane są sprzężenia zwrotne: jeśli niewiele osób młodych decyduje się na dziecko, to zniechęca kolejne osoby. A przyklejenie młodych do social mediów wtórnie uczy ich na ryzyka, które w ich głowach urastają do większych, niż są w rzeczywistości. Ochroną przed nieprzyjaznym światem zewnętrznym jest dla nich dom rodzinny.

Niektórzy mogliby pomyśleć, że oto zyskali więc argumenty, dzięki którym ich kręcenie nosem na młodsze pokolenia będzie uzasadnione. „Kiedyś to młodzi pili, wyprowadzali się wcześniej z domu, szli do roboty i nikt nie narzekał”. Cóż, to nie jest prawda. Badaczki Nancy E. Hill i Alexis Redding kilka lat temu opublikowały pracę, z której wynika, że młodzi dorośli w latach 70. mieli podobne rozterki, co Zetki. Naukowczynie przypadkiem trafiły na taśmę z nagraniem wtedy wywiadami ze studentami koledżów. Co z nich wynika? Że również wtedy osoby wchodzące w dorosłość zmagaly się z poszukiwaniem celu, odczuwały niepokój na myśl o dorosłości, obawiały się, że nie osiągną sukcesu, szukały swojej tożsamości.

Takim procesom trudno przypisać jakąś konkretną wartość etyczną czy też jasną ocenę. Czy picie mniejszej ilości alkoholu przez

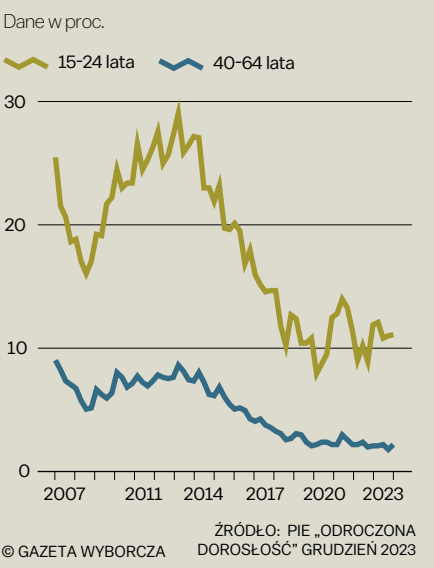
Odsetek Polek i Polaków w wieku 25-34 lata z wyższym wykształceniem



młodych jest czymś złym? Czy to, że więcej osób idzie na studia, jest czymś złym? Czy to, że niektórzy najzwyczajniej na świecie chcą się pobawić, zanim założą rodziny, jest czymś nagannym? „Raz tylko dany im czas” – jak śpiewał Jacek Kleyf.

Miejmy z tyłu głowy również to, że zetki vel zoomerzy dzisiaj wdrażają częściej niż poprzednie pokolenia, strategie życiowe właściwie klasom zamożnym. Dzieci wywodzące się ze środowisk uprzywilejowanych już całe dekady temu studiowały, a przez to nieco później zakładały rodziny. Dziś ten

Stopa bezrobocia w wybranych grupach wiekowych w Polsce



trend schodzi pod strzechy. A chyba wszyscy chcielibyśmy, aby awans społeczny był jak najszerszy?

No i fajnie, gdyby osoby nieco starsze pamiętały, że też kiedyś były młode. I – na co dowody przytaczają Hill i Redding – również zmagaly się z podobnymi rozterkami, co dzisiejsze pokolenie Z. Tylko dorastały w nieco innych czasach, innym otoczeniu gospodarczym i obyczajowym. Na pewnym poziomie to właśnie czasy, a nie rozterki konkretnych ludzi, najbardziej różnią pokolenia.



• Mural na fasadzie kaplicy więziennej dla kobiet to część pawilonu Stolicy Apostolskiej. Jego autorem jest włoski artysta Maurizio Cattelan – ten sam, którego rzeźba przedstawiająca Jana Pawła II przygniecionego meteorytem wywoła w Polsce protesty.

FOT. GABRIEL BOUYS / AFP

OTACZA MIE MORZE ŚWIATEŁ

Wracam do hotelu, pytam czy ktoś mnie szukał, czy zostawił wiadomość.
„Był mężczyzna”. Portier nie pamięta wyglądu. Idę po ciebie, Banksy.

Kiedy wybieram się do miasta, które związane jest z jakąś znaną postacią, publikuję na Facebooku list.

„Drogi Banksy – tym razem piszę, jadąc do Wenecji – odezwił się, zatrzymałem się w hotelu Saturnia...”. Trzy miesiące temu przed wyjazdem do Barcelony pisałem do Roberta Lewandowskiego. Z tym samym skutkiem. Bo nie o to chodzi, żeby Banksy czy Lewy odpowiedzieli. Rzecz w tym, żeby rozmowa była wbrew wszystkiemu, w pozornie niemożliwych konfiguracjach. Żeby czekać na niewyczekane. A skąd ta moja potrzeba? Pewnie z przyrodzonego mi rozbawienia, a także z dziecięcej perspektywy, gdzie żadna rozmowa nie jest niemożliwa. Żadne życzenie, żeby spotkać się z kimkolwiek innym. Nawet umarłych z żywymi i na odwrót, co na to samo wychodzi.

Lecę do Wenecji rzecz jasna na Biennale. Otwieram się i zamykam. Tym, co pomaga mi się otworzyć, jest perspektywa miasta połączonych żywiołów, ciekawość obszaru, o który na czas Wystawy Wenecja się powiększy, wzajemna ciekawość ludzi, którzy je odwiedzają. Tym, co każe się zamknąć, jest hasło, temat. Nie to, jakie jest, lecz to, że w ogóle jest. Bo jak-

że to? – zastanawia mnie, od kiedy czasem zaglądam na to zdarzenie. Zaprasza się tutaj kraje, te kraje angażują wybranych artystów, wolnych od tematów i zadań, i mówi się im jak dzieciom na lekcjach polskiego albo rysunku: narysuj wiosnę. Napisz wiersz o ojczyźnie...

...
przez cały pierwszy ranek szukałem banksy'ego
ale wtopił się w setki głośnych gondolierów
w cztery tysiące wszechakwarelistów
w milion turystów
kuratorów
artystów
(że akwarelista niby nie artysta?)
aha więc to są himalaje sztuki
banksy niżej jest środa abecadło chleb
i dwa a dwa to cztery
jest czerwone jabłuszko przekrojone na krzyż
banksy nie tylko zbrodnie
są u nas możliwe

...
Jeszcze na odległość niepokoi mnie hasło: Foreigners Everywhere / Stranieri Ovunque. Jak to będzie po

polsku? W eksplikacjach prasowych znajduję „cudzoziemców”, ale i „obcokrajowców”. Dlaczego nie „obcych”? Trochę rozumiem ostrożność, która trzyma się tego co polityczne, precyzyjne, a unika tego, co wieloznaczne. Rozumiem też sens parafrazy, którą we wstępie do katalogu polskiej wystawy zastosował jej komisarz – minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz: „Uchodźcy są wszędzie”. Cudzoziemcy to niekoniecznie uchodźcy, lecz pojęcie zastosowane w kontekście wojny Rosji z Ukrainą jakoś się broni. Odchodzi od hasła ogólnego, nakierowuje na ukraińską problematykę polskiego pawilonu.

Lecz jest jeszcze i inna wątpliwość, dotycząca ni- by drobnego rozwinięcia, które nie powinno było za- istnieć, a które wprowadza znaczący zamęt. Bo skąd w polskiej wersji wziął się czasownik: „są”? W te- macie podanym przez Adriano Pedrosę, kuratora 60. Międzynarodowej Wystawy Sztuki (La Bienna- le di Venezia), są tylko te dwa wyrazy: Foreigner Eve- rywhere. Proszę wybaczyć, ale prawo do skrótu na- prawdę jest ważne. I to nie tylko dla tłumacza. Nie mniej ważne byłoby zapewne i dla teologa. Dla filo- zofa. Dla prof. Zbigniewa Mikolejki. Pewnie dla każ- dego, kto Biennale traktuje poważnie i czerpie z nie- go inspirację do myślenia. „Cudzoziemcy są wszę-



dzie” to fragment reportażu lub formuła hejtu na przyjeźdźnych. „Cudzoziemcy wszędzie” jest ciekawe. To tyle, co „Cudzoziemcem jest się wszędzie”. Albo „Obcym jest się wszędzie”. I tu przypomina mi się początek „Podróży z Herodotem” Ryszarda Kapsuścińskiego, który opisywał jak podczas pierwszej swojej podróży do Rzymu, choć założył nowy garnitur, miejscowi patrzyli na niego jak na prowincjusza. Na kogoś, kto się przebrał.

„Foreigners Everywhere” brzmi biblijnie. Jak wyrok wykluczenia, jak nasze przekleństwo i piętno. Zachowałbym to znaczenie. Nie odbierałbym mu wieloznacznej głębi. I jeśli Biennale ma być wydarzeniem o poważnych wymiarach, trzeba uznać, że ważne jest w nim wszystko. Każde słowo. Każdy jego brak.

Traf (czyli bliskość hotelu) chciał, że pierwszymi z wystaw, które oglądam, są dwie tzw. ekspozycje towarzyszące, czyli nieuczestniczące w biegu po uznanie jury, niepodlegające konkursowej ocenie. Jedną z nich jest pomiędzy Museo Correr a tablicą poświęconą Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu – przestrzeń Fundacji Louis Vuitton z graffiti – przejmującymi interpretacjami pisarzy i artystów autorstwa Ernesta Pignon-Ernesta. Bohaterami francuskiego malarza są twórcy realizujący w najbardziej szlachetny i radykalny sposób temat Biennale. Artur Rimbaud, Anna Achmatowa, Pier Paolo Pasolini, Antonin Artaud, Jean Genet, Forugh Farrochsad: wszystkich łączy w oczach Ernesta Pignon-Ernesta uliczność podkreślona przez charakter ulicznego rysunku na ścianie, bluźnierstwo, wykluczenie, obcość. Salon Louis Vuitton jest tuż przy ważnej ulicy, ale wchodzi do niego niewielu zwiedzających, idących w większości do pawilonów narodowych, konkursowych, obecnych w Ogrodach Królewskich. Tymczasem intensywne, rozzdzierające, kondensujące istotę obcości rysunki Pignon-Ernesta żyją jak w oddzielnym mieście sztuki nie tylko okazjonalnej, lecz i tej, która jest już na zawsze i nie poddaje się ocenie.

Ze wstrząsającym obrazem umęczonego Pasoliniego pod powiekami schodzę na plac św. Marka i szukam tej części skrzydła Procuratie, gdzie Fundacja Staraków wystawiła Andrzeja Wróblewskiego. Po drodze z kolumny arkady krzyczy koślawy, rozchłapany napis farbą olejną, coś w rodzaju „Notte stellata”, gwiazdzista noc, przykryty czerwoną kartką

z informacją, że w Gazie brakuje światła, więc większość cesarskich cięć wykonuje się tam przy blasku telefonu komórkowego.

Czy to jest sztuka, Banksy? Czy to jest wydarzenie towarzyszące? Czy życie takie, jakie ono jest, nie jest we wszystkich swoich odmianach wydarzeniem towarzyszącym Biennale? W tej chwili, kiedy z całego miasta zwiedzający wypływają na plac, żeby długim szeregiem kierować się do Arsenału i Ogrodów, które mieszczą wystawy krajowe, brzmi to jak pewnik. Nasze życie jest wystawą towarzyszącą, bez kuratora, może bez znaczenia.

„Andrzej Wróblewski 1927-1957” jest wydarzeniem wielkim, porównywalnym w tych dniach może tylko z wystawą „Jean Cocteau – odgrywka żonglera” firmowaną przez Kolekcję Peggy Guggenheim. Numerycznie mniejszym, lecz bardziej skupionym, pozbawionym rozhuśtanej barwności francuskiego artysty, gwarantującym za to potężny ładunek zaskoczenia i dramatycznego udziału w życiu i sztuce.

Zachłystywać się – mając takiego artystę – tym, że wystawiony został na placu św. Marka, w najbliższym sąsiedztwie bazyliki, byłoby świadectwem kompleksów, a jednak zadziwia, że to się dzieje w takim miejscu, w takim kontekście. Że na artystę, który należy do intymnej historii tak wielu z nas, pomiędzy sklepami z wytworami Murano wchodzą z placu ludzie wszystkich narodowości i kultur, wszystkich przygotowań i nieprzygotowań do odbioru malarstwa, człowieka, historii.

Rozstrzelanie, obrazki z likwidacji getta, kierowca, kobiety w zamarłej kolejce, zastygli w osłupieniu chłopcy, szoferzy, znudzone dziecko przegięte przez kolana mamy w poczekalni dworcowej, ukrzesłowanie, sceny obyczajowe, portrety indywidualne, grupowe... – podczas każdej z ośmiu moich wizyt na wystawie zadziwiał mnie i widziałem jak zadziwiają innych, nieprzygotowanych, swoją szczególnością, gęstością odczuć, zasklepieniem losu wpiśanego w twarz i pozy. Stylem oscylującym pomiędzy realizmem wojennym a socrealizmem, nadrealnością poetyckich studiów Apollinaire’a. Kobiecością waleczną, plażową, przerażoną nalotem, kobietą macierzyńską, rozmarzoną, gniewną, samostanowiącą. W tym kuratorsko mądrym (Ania Muszyńska) rozpisaniu kilkudziesięciu dzieł, pochodzących w większości z kolekcji Anny i Jerzego Staraków, zwiedzający uczą się Wróblewskiego i pozwalają się nim zadzi-

• **Julien Creuzet we francuskim pawilonie podejmuje temat splątania karabskiej historii Martyniki, gdzie dorastał, z europejską i francuską tożsamością.**
FOT. GABRIEL BOUYS / AFP

wić. Odsłona po odsłonie budują w sobie jego artystyczny i historyczny obraz. Ważną składową wystawy jest zarejestrowana rozmowa z Andrzejem Wajdą, reżyserem i artystą zafascynowanym Wróblewskim do tego stopnia, że ważny epizod „Wszystko na sprzedaż” nakręcił na tle jego obrazów. Wajdy świadectwo jego życia i pracy, oddziaływania na innych, jest żywą, ciekawą, wnikliwą gawędą.

Widzę, jak osobowość twórcza Wróblewskiego okazuje się potężna także w Wenecji i przekracza swoimi niepokojami granice placu św. Marka. Po obejrzeniu Biennale w naturalny sposób uznaję wystawę Fundacji Staraków za jedno z jego najciekawszych zdarzeń. Może najciekawsze, choć nie jestem tu pewnie obiektywny. Za to jestem głęboko przejęty.

Wracam do hotelu, pytam czy ktoś mnie szukał, czy zostawił wiadomość.

„Był mężczyzna”. Portier nie pamięta czy młody, czy stary, wysoki czy niski, o wyglądzie mieszczańskim, artystycznym, czy innym.

Idę po ciebie, Banksy.
Banksy, Szekspira mamy
Banksy, na skrzypcach gramy. Banksy o zmroku
Zapalamy światła...

Słowa i tonacja Wisławy Szymborskiej mieszają się w jedno. Byłem tutaj z poetką, a powracające słowa jej mowy i wierszy są jak refleksy słońca przeskakujące z fali na falę. I nie wiem już, co jest moje, co jej.

Wychodzę, ponownie mijam widzianą już kartkę z informacją o braku elektryczności w Gazie. Dopiero teraz wczytuję się w plakat z kobietą ubraną barwnie, ludowo. I w skromne podpisy, z których wynika autorką dziewczyny na plakacie jest Heba Zagout. Obok podane są lata 1984 – 2023. Sprawdzam w internecie. Heba Zagout: malarka, poetka, pisarka, zginęła z dwojgiem dzieci w izraelskim nalocie w listopadzie zeszłego roku.

Jaka jest przyczyna – pytam Cię, Banksy – żeby nie uznać za dzieło obecne na Biennale tej informacji o Gazie, tego plakatu, tej palestyńskiej dziewczyny? Tych cięć cesarskich przy świetle telefonów?

Do Ogrodów Królewskich (Giardini Reali) i Arsenału, gdzie jest większość pawilonów, w tym polski, idę w piątek 19 kwietnia. Na furcie stawiam się o 9.30, otworzą o 10.00. Odbieram płócienną torbę z folde-

rami, pokazując zaproszenie, dowód osobisty. Wreszcie jest 10.00, wchodzimy. Wejście wygląda jak start do powszechnego biegu. Wygraną jest dotarcie bez specjalnej kolejki do pawilonów, o których się mówi, że są najciekawsze. Japonia, USA, Niemcy... Stawiam na spokój. Nic się nie stanie, jeżeli zamiast Niemiec czy Egiptu zobaczę Urugwaj albo Brazylię. Mój wzrok przyciąga od razu martwa strefa we wnętrzu i wokół pawilonu Rosji. Zamiast Rosji będzie tam w tym roku Boliwia, która jeszcze coś szykuje, zanim otworzy drzwi dla publiczności.

Idę tam, gdzie oglądanie jest fizycznie możliwe. Na początek Francja i Wielka Brytania. Francja ujmuje mnie od samego wejścia. Oczarowuje. Kolorowe welenki, siatki, akwaria. Wszystko jest podwodne, pozbawione grawitacji. Senne. I nagle rozumiem pogmatwaną, barwną instalację. Wiem. Czuję. I przechodzi mnie dreszcz. Myślę, że cały podwodny świat, którego sploty wchodzą do oczu i ust usadowionych tu i tam manekinów to tragedia śródziemnomorska opowiedziana językiem baśni. Kołysanka dla utopionych dzieci. Bajka o martwych dzieciach dla żyjących dzieci. A może wręcz pisana przez zaginione dzieci? Czy taki był zamiar? Jest w tej kompozycji jakieś ocalenie, ukojenie. I śmiertelno-senna powaga, która pozostaje.

W sąsiednim pawilonie, brytyjskim, materia jest inna. Monitory, na nich sceny, których nie rozumiem. Zagadkowe dla mnie przetworzenia obrazów Caravaggia, nieco dalej sceny z historii Afryki, z afrykańskimi przywódcami, najmocniejsze z Lumumbą. Mam w tym miejsce wrażenie sztuki jako sztuczności, jako odpowiedzi na zadany temat, utrudnionej po to, żeby stała się sztuką...

„Widziałeś Niemcy?”

„Nie widziałem”.

„Musisz”.

„Wolę miejsca, gdzie luźniej”...

Idę dalej – w Kanadzie wiszące kolorowe sznurki z wełny, poprzedzielane abstrakcyjnymi konstrukcjami. Nie mogę się dowiedzieć, czym są, co mówią. Wiem tylko, że przyciągają zwiernością materii i jej uważnie przemienionym porozwieszaniem.

Dalej Brazylia odsłania się ze swoim prostym przesłaniem – odwiecznością natury w migracji ptaków, w nagości żywej modelki o pomalowanej skórze przechadzającej się w towarzystwie wojowniczego mężczyzny. W kopcu, od którego odchodzą krwawe żyły ziemi. W chwilach odpływu publiczności Brazylia pozyskuje tłumy wielością bezpłatnych alkoholi. Pytam, czy wina są brazylijskie. „Włoskie”, śmieje się kelner. Poznawczo więc dalsze zwiedzanie brazylij-

• Tegoroczne hasło Biennale w Wenecji to „Cudzoziemcy są wszędzie” („Foreigners Everywhere – Stranieri Ovunque”). Opiekę kuratorską nad wystawą główną Biennale pełni Adriano Pedrosa, pierwszy kurator wydarzenia pochodzący z Ameryki Łacińskiej

FOT. MATTEO CHINELLATO/IPA/SIPA



• Wnętrze brytyjskiego pawilonu, gdzie John Akomfrah pokazał instalację „Canto III: Listening All Night To The Rain”.

FOT. AP PHOTO/LUCA BRUNO

Po obejrzeniu Biennale w naturalny sposób
uznam wystawę Fundacji Staraków
za jedno z jego najciekawszych zdarzeń.
Może najciekawsze, choć nie jestem
tu pewnie obiektywny.
Za to jestem głęboko przejęty

skiego pawilonu nie ma już mocy. Choć chciałoby się tam zostać, znaleźć w pośpiesznej wędrówce czas, pomyśleć, czy w ogóle jest o czym myśleć.

Dochodzę do Izraela, który jest pustym przeszkleniem. Pawilon jest zamknięty, w środku widać monitory, lecz nie widać tego, co na nich. Wreszcie dostrzegam na ścianie informację, że „artysta (artystka?) i kuratorzy Izraela otworzą pawilon, kiedy zostanie osiągnięte porozumienie co do zawieszenia broni i uwolnienia zakładników”.

Na szlaku, jak co roku, ludzkie oryginały. Jeden z nich kartką zawieszoną na szyi szuka cudzoziemskiej żony. Drugi, niejaki Fabio z Brazylii, trzyma głowę w desce klozetowej z napisem „Teraz każde gówno jest sztuką”. Mam mętlik, chcę już do Polski, gdzie czekają ukraińscy artyści i Marta Czyż, kuratorka.

Ale po drodze widzę nieobleganą Australię, więc wchodzę. Nie wiem jeszcze, że ten właśnie pawilon okaże się zwycięzcą, ale i tak zwraca moją uwagę. Mówię, jak rozumiem tę wystawę, jak dociera do mnie jej plan i rysunek. Na ścianach artysta rozrysował drzewo genealogiczne, im wyżej tym gęstsze. Mniemam, że postawił sobie za zadanie pokazać złożoność i bogactwo rdzennej przeszłości, zapomnianych pokoleń, zlekceważonych i ukrytych pod najnowszą historią. Czym jednak są stopy zadrukowanego papieru rozłożone na wielkim blacie, z których nic nie można odczytać, bo są za daleko? Ryza za rysą, stos za stosem. A na nich litery zamazane niedoskonałością naszego wzroku albo graficznym bełkotem tekstu. Wokół wielkiego stołu, na którym leżą, są lustra tworzące święte koło, na którym nie da się stanąć nie niszcząc eks-

pozycji. I przypominam sobie z niektórych materiałów, że wystawa miała chyba, czy miała mieć podtytuł o drzewach, o lesie, porzucony później, nieprzypomniany. Czy to przesłanie musi i może być aż tak proste? Czy chodzi o niszczenie lasu na rzecz papieru, z którego nikt nie przeczyta ani słowa?

Polski pawilon jest jednym z najlepszych. Ogląda się w nim zapisy filmowe ludzi z Ukrainy, którzy naśladują własnym głosem hałasy wojny, wybuchy pocisków. Bohaterowie potrafią je imitować jak praktycy lasu, którzy umieją odtwarzać śpiew ptasich gatunków. Te pokolenia Ukraińców, dorosłych i dzieci, mają wojnę w sobie. Znają brzmienie jej elementów co do każdego „pffff” czy „bum”. Każdy z aktorów-naturszczyków jest jak nauczyciel, który w szkole podstawowej pokazuje „jak robi krówka”, „jak robi konik”.

Działanie pokazane na filmie wciąga powoli swoją powtarzalnością. Niewiarygodnym, bagijnym korkociągami nieuchronnych zdarzeń. Zwykłością wpisaną w twarze ludzi i ich historii. Zdarzeń, które się stają naturą.

Kiedy wracam do hotelu nabrzeżem i mijam ludzi, którzy idą w przeciwnym kierunku, poddają się wierszowi Andrzeja Wróblewskiego, który znalazłem w katalogu Fundacji Staraków. Posłuchaj, Banksy:

[...] zmierzch zapada, a z nim otacza
mię morze światel
czy to nowe miasto? Boże ile ich jest
pora spać
zdaje się jadać przez góry
trzeba spać szybko minął dzień. ●

* Prócz fragmentu wiersza Andrzeja Wróblewskiego, pozostałe są moimi zapiskami odwołującymi się do „Z nieodbytej wyprawy w Himalaje” Wisławy Szymborskiej



Wspominam o tym [o wydawanej przez nas z kolegami w podstawówce gazetce szkolnej], bo po latach sam piszę coś na kształt wstępniaka, zapraszając Państwa do rozwiązań Weekendówki, która od dziś co tydzień ukazywać się będzie w „Wolnej Sobocie”. W kwestii nazwy krzyżówki trwały w redakcji gorące dyskusje: były m.in. Łamikatka, Krzyżówkujemy, Janusz (bo skoro jest Jolka...), ale ostatecznie Janusz uległ Weekendówce.

Krzyżówki będą częściowo tematyczne – związane z aktualnymi wydarzeniami, czasem z jakąś rocznicą, czasem z motywem przewodnim, który po prostu przyjdzie mi do głowy. A że start przypada na rocznicę powstania „Gazety Wyborczej”, tak i premierowa krzyżówka za motyw przewodni obrała świętujący 33. urodziny tytuł – tak pisałem 14 maja 2022 roku, kiedy zaprosiliśmy Państwa do pierwszej „Weekendówki”.

Trochę czasu minęło, wody w Wiśle upłynęło i dziś przed Wami „Weekendówka” nr 100. Z tej wyjątkowej okazji wszystkim Weekendówkowiczom serdecznie dziękuję za tyle tygodni wspólnej zabawy, za wiele wiadomości, jakie od Państwa otrzymałem, za wszelkie uwagi, zastrzeżenia i pomysły – to dzięki Waszym sugestiom dodaliśmy do każdej krzyżówki rozwiązania z poprzedniego numeru, co najlepszym jest dowodem, że „Weekendówkę” tworzymy wspólnie, a to bardzo budujące.

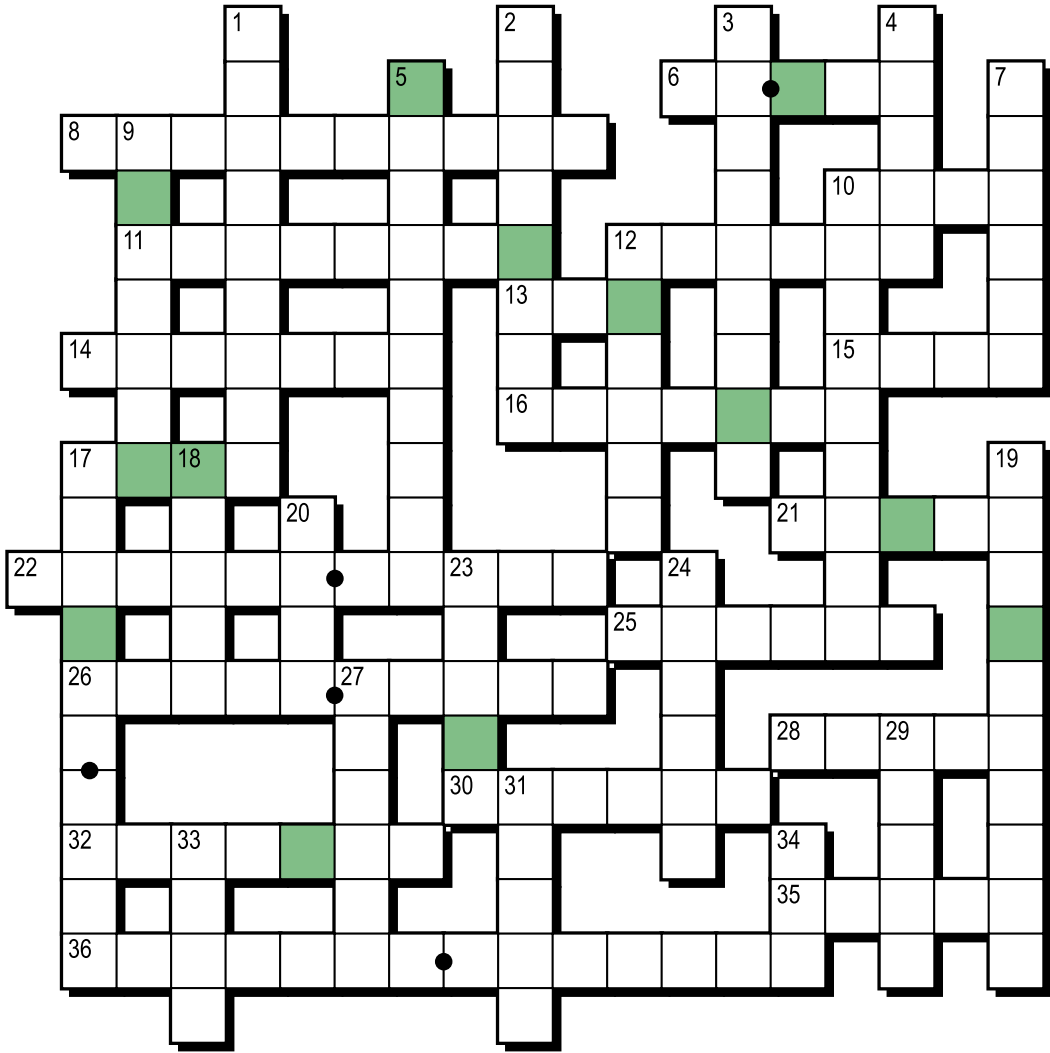
Miło się też złożyło, że patronem setnego wydania jest tak wyjątkowy bohater: W 1867 roku niemiecki muzykolog Ludwig Nohl opublikował książkę „Neue Briefe Beethovens” (Nowe listy Beethovena). Wtedy też świat po raz pierwszy odkrył miniaturę fortepianową „Dla Elizy”, dziś jeden z najbardziej rozpoznawalnych utworów muzyki klasycznej.

Zdaniem Nohla na manuskrypcie, który odkrył dwa lata wcześniej w Monachium, widniała data 27 kwietnia 1810 roku i tytuł: „Dla Elizy”. Manuskrypt zaginął, a wersję utworu, który znamy do dziś, zawdzięczamy transkrypcji, której dokonał badacz.

Nie ma też pewności, kim była owa Eliza. Zdaniem jednym Nohl, przepisując oryginalny tekst, pomylił się, bo w istocie utwór dedykowany był nie „Elise”, a „Therese”. Czyli Therese Malfatti, przyjaciółka i uczennica Beethovena, którego oświadczyń miała odrzucić. Drugą „podejrzaną” była Elisabeth Röckel, 17-letnia sopranistka, również znająca kompozytora, z którą również – tak, tak – miał planować ożenek. Pada też nazwisko Elise Barenfeld, innej niemieckiej sopranistki, niezwykle uzdolnionej, która od 12. Roku życia koncertowała z Johannem Nepomukiem Malzlem, przyjacielem Beethovena.

Dzisiejszą „Weekendówkę”, jubileuszową, poświęcamy więc niezwykłym muzom, które inspirowały wielkich twórców, a którym w konsekwencji zawdzięczamy niezwykle dzieła.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 99 z 20.04:

Poziomo:
6) Koloseum, 8) drogi, 10) epos, 13) pocałunek, 14) Lateran, 15) Czesław Miłosz, 16) wakacje, 18) pawie, 19) mecz, 21) Pole Marsowe, 23) waga, 27) centurioni, 28) kolonii, 29) Via, 31) Krym, 33) Palatyn, 35) cyfra, 37) Panteon, 39) Borgia, 41) mur, 42) pretorzy, 43) ośmiobok, 44) muzy

Pionowo:
1) kohorta, 2) Moravia, 3) Remus, 4) przystawie, 5) sportowcy, 7) miecz, 9) Galowie, 11) syn, 12) atrium, 15) Cezar, 16) wyspa, 17) Kaplica, 18) profil, 20) park, 22) autor, 24) Allen, 25) Villa, 26) Antoniusz, 30) idy, 31) Kapitol, 32) mit, 33) Piotr, 34) Tyber, 35) Campo, 36) Forum, 38) Neron, 40) Rzym

HASŁO:
SENEKA MŁODSZY

BLUES MUZ
Literey w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
6) piosenka Kultu („Tak bardzo, bardzo kocham cię...”) **8)** „Do muzy ... przy ostrzeniu pióra”, w repertuarze Jacka Kaczmarskiego **10)** ... Wiazemsky, francuska aktorka, była żoną i mężą Jeana-Luca Godarda **11)** poeta, którego (podobnie jak Chopina) inspirowała Maria Wodzińska **12)** Sandra Milo i Giulietta ..., muzy Felliniego

13) ... Gouel, inspirowała Pabla Picassa **14)** muza pieśni lirycznej **15)** ... Chochłowa, jedna z muz Picassa, lub imię adresatki utworu Edwarda Stachury „Listy do ...” **16)** siedziba Apollina i muz **17)** imię żony i muzy Salvadora Dali **21)** Krzysztof Kamil Baczyński (zafascynowany Barbarą, którą poślubił w 1942 r.) **22)** ulubiona aktorka reżysera z okresienia 10 pionowo **25)** często portretowana przez Rembrandta **26)** aktorka nazywana muzą Alfreda Hitchcocka **28)** np. „Dla Elizy” Beethovena **30)** machał muzom z orbity?

32) kochanek muz **35)** francuski malarz impresjonista, którego inspirowała Victorine Meurent **36)** nazywana muzą polskiego romantyzmu

Pionowo:
1) muza tragedii **2)** ... Jerzy Has, jego ulubioną aktorką była Barbara Krafftówna **3)** „... dla Joanny”, utwór Wolnej Grupy Bukowina („Śpij, moje myśli nad tobą czuwają na parapecie za oknem”) **4)** skrócona forma imienia muzy Goethego **5)** Jacek, malarz, którego fascynowała Maria Bał **7)** w mitologii rzymskiej: nimfa, żona króla Numy

Pompiliusza, dziś synonim towarzyszkii duchowej męża stanu, artyści **9)** Jan Kochanowski poświęcił jej „Treny” **10)** Michelangelo, włoski reżyser zafascynowany gwiazdą „Zaścienia” **12)** Alma, żona kompozytora Gustava, inspirowała Oskara Kokoschkę **17)** artystka bliska Fryderykowi Chopinowi **18)** imię w tytule poematu Andrzeja Bursy **19)** muza wspierająca Mistrza z powieści Michała Bułhakowa **20)** ... Birkin, muza Serge’a Gainsbourga **23)** muza komedii **24)** ... Wereszczakówna, ukochana Adama Mickiewicza

27) Diane, jedna z muz Woody’ego Allena **29)** w czasie ... milczą muzy (przystawie, wpisujemy w mianownik) **31)** wena, błyskotliwość, lekkość w wyrażaniu myśli **33)** ... Mankiewiczówna, popularna przedwojenna śpiewaczka i aktorka **34)** ... Thurman, uwielbiana przez Quentina Tarantino

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

WSPRZEDAŻY
wysokieobcasy
extra



TEMAT NUMERU:
Sekrety rodzinne, czyli o czym nie rozmawia się w domu

CO ONA ROBI Z PIENIĘDZMI:
Czy inwestycje są dla kobiet?